

KORNEL MAKUSZYŃSKI

SKRZYDLATY CHŁOPIEC

I

Pan Alojzy Raczek nie zaznał zbyt wiele szczęścia w życiu, życie bowiem jak gdyby się zawzięło na pana Alojzego Raczka. Widząc pogodę w jasnych, bładoniebieskich, jak gdyby wypłowyjących na słońcu jego oczach i widząc dobrotliwy uśmiech na jego obliczu, drobnym i jak gdyby zmiętym — postanowiło zagasić ten uśmiech i, zdmuchnąć ze spojrzenia pogodę. Pan Alojzy Raczek bronił jednakże skarbów swojego ducha z bohaterskim, nieustępliwym uporem Leonidasa¹. Jasności spojrzenia używał jak słonecznego grotu, a pogodą serca zasłaniał się jak tarczą przeciwko całemu zastępowi nieszczęść, zgryzot i udręczeń; przeto życie — srogi nauczyciel — nie mogło nauczyć powagi tego niesfornego ucznia, przyjmującego z radosnym uśmiechem chłosty i kary. Mało było nadziei, żeby pana Alojzego Raczka można było kiedyś wprowadzić na bity, prosty i utarty gościniec rozsądku, młodzieniec ten bowiem miał już lat przeszło sześćdziesiąt; wiek ten, wcale już srebrny, miała jedynie jego capią, rzadka bródka, na którą radosna pogoda jego ducha nie miała wpływu i nie ochroniła jej przed siwizną. Natomiast bładoniebieskie oczy tego człowieka miały lat nie więcej niż piętnaście lub osiemnaście i uśmiechały się uśmiechem tego zachwycającego wieku, podobnego do kwitnącej gałęzi.

Na pana Raczka waliły się z wielkim hukiem lawiny niepowodzeń lub chytrze i podstępnie ogarniała go powódź niezliczonych utrapień, on zaś z wielkim spokojem domorosłego filozofa otrząsał z siebie zimne i wilgotne okruchy lawiny lub gramolił się z wodnych mętów ostatnim wysiłkiem. I zawsze zdołał ocalić ten swój bładoniebieski, jak gdyby wypłowyjący na słońcu uśmiech. Srogie życie machnęło wreszcie na niego kościstą ręką, zrozumiawszy, że na pogodne pomieszanie zmysłów i na obłądną wiarę w radość serca nie ma rady. Wtedy pan Alojzy Raczek swobodnie odetchnął, uśmiechnął się promienniejszemu jeszcze niż zwykle i uczynił ścisły rachunek zysków i strat swoich długich i smutnych lat sześćdziesięciu. Straty były wielkie i dotkliwe. Pan Raczek pozostał na świecie sam jak zabłąkany na nieogarnionej pustyni wędrowiec. Wśród milionów ludzi nie było nikogo, co by się chciał przyznać do tego nieco śmiesznego oryginała z dziecinną twarzą i z kwitnącym spojrzeniem. Nie było — widać — żadnych innych Raczków na tym świecie, chociaż pokaźna ich ilość musiała krążyć na anielskich skrzydłach na drugim.

¹ Leonidas (V w. p.n.e.) — bohaterski król Sparty, w czasie najazdu Persów na Grecję stawiał opór przeważającym siłom wroga i poległ ze wszystkimi swymi żołnierzami broniąc wąwozu termopileńskiego.

Fortuna pana Alojzego także znajdowała się gdzieś na wysokościach, pod słońcem i pod gwiazdami. Gdyby był ją przynajmniej posiadał, byłby się niewątpliwie znalazł, choćby spod ziemi, jakiś daleki krewniak. Człowiek ubogi rzadko miewa krewnych, pan Raczek zaś, spadłszy dziesięć razy z wozu, większą część życia spędził pod wozem, był przeto zadowolony, że jest sam w chwilach smętnych i żalonych. Czasem przymierał głodem, czasem nie miał czym okryć grzbietu. Wtedy sycił się swoją pogodną mądrością i jak ciepłą, wełnianą chlamidą² okrywał się nadzieją, że po siwej zimie zjawi się zielona wiosna.

Tak się zazwyczaj zdarzało. Czasem i z obojętności ludzkiej wyrastał kwiat dobroci jak krokus wyrasta ze śniegu. Jasny uśmiech Alojzego Raczka posiadał przedziwną właściwość zjednywania serc. Zjednał on wreszcie opryskliwą potęgę: redaktora wielkiego dziennika, i pogodny Raczek został zamianowany korektorem, jasnym poprawiaczem czarnych, osmolonych drukarskich błędów. Już od roku pełnił ten roztropny urząd, a czynił to wybornie, pan Raczek bowiem odznaczał się wybitną inteligencją, w małej zaś swojej i niepozornej głowie posiadał cały lamus wiadomości. Układ ich i wzajemny do siebie stosunek oznaczyłby człowiek — zbyt metodyczny i zbyt wymagający — porównaniem wcale pospolitym, które mówi zjadliwie o pomieszeniu “grochu z kapustą”. Ponieważ jednak dobry Alojzy Raczek nie miał przenigdy zamiaru objęcia katedry filozofii na uniwersytecie i z wrodzonej skromności nigdy by jej nie przyjął, stan jego głowy należy uważać za wystarczający na prywatny użytek. Nie należy jednakże ukrywać, że w głębi spokojnej i najpocziwszej duszy miał on pilnie ukrywane skłonności do badania zjawisk tajemniczych, groźnych w swej nieuchwytej potędze i do snucia rozważań, mało wprawdzie bystrych, lecz za to nadmiernie rozwlekłych na temat nieskończoności, bezmiaru wszechświata, straszliwości niebieskich przestrzeni i rozgorzałej pożarami potęgi niepoliczonych słońc. Te sprawy niezmierne zastanawiały go zawsze głęboko i rodziły w małej jego głowie wielkie myśli. I one to były jedynym źródłem jego strapionych zgryzot. W najgorszych swoich czasach pan Raczek mało się troszczył tym, czym się nazajutrz pożywi, piekącym natomiast niepokojem napelniała go przeczytana gdzieś wiadomość, że za sto czterdzieści siedem miliardów lat obok ziemi przeleci kometa z ogonem, w którym wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będzie jakiś nieprzyjemny dla ludzkiego zdrowia gaz. Wtedy potężnie rozmyślał.

To było przede wszystkim powodem, że pan Michał Lepajłło uważał go za szkodliwego wariata, którego władze nie zamykają w szpitalu albo przez roztargnienie, albo przez źle

² Chlamida — obszerna wierzchnia szata starożytnych Greków.

pojmowane poszanowanie obywatelskich swobód. Lepajłło był to mąż wielce gruby, na gębie czerwony, napełniony zawsze swarliwym gniewem jak beczka dynamitem. Pochodził z Litwinów; w redakcji zaś owego dziennika, w którym pan Raczek był korektorem, zajmował się działem: “Wesela i pogrzeby”. Zajęcia swoje, odbywające się na tak bardzo oddalonych terenach, łączył wyborny ten dziennikarz z doskonałą wprawą i jedynie złośliwości przypadku przypisać należy, że czasem sprawozdanie z pogrzebu miało w sobie rytm mazura, a wesele odbyło się w nastroju trumiennym. Ustawiczna zmiana nastrojów wprowadziła jednak w umysłowość pana Lepajłły niecierpliwe podniecenie i zbytnią pobudliwość. Wybuchał z byle powodu i pryskał kąśliwymi słowami jak fontanna na wietrze. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa na twarzy miał ten człowiek pogrzeb, a w sercu wesele, gniew bowiem jego, nadęty i bulgocący jak indyk, dość szybko ucichał i układał się w trumnie pogardliwego spokoju. Cichy pan Raczek miał przywilej ustawicznego budzenia go z letargu i wprowadzania w stan nieprzerwanej awantury.

Czasem gruby, czerwony na gębie człowiek syczał przez zęby:

— Nigdy nie, byłem szczęśliwy, ale kiedyś wreszcie roześmieję się i będę tańczył ze szczęścia: kiedy napiszę o panu “pośmiertną wzmiankę”! Będę tańczył, słyszy pan, panie Raczek! Będę tańczył przy pańskiej trumience!

— Oczywiście — radował się pan Alojzy. — Kto opisuje i wesela, i pogrzeby, ten może urządzić wesele nawet na pogrzebie.

Los albo ściślej mówiąc — pan redaktor posadził ich przy pracy w jednym pokoju, twarz w twarz. Oddzieleni byli jedynie szerokością stołów, nad którymi spotykały się spojrzenia: chmurne i krwią pomazane Lepajłły i rozradowane, wesołe, niebieskie Raczka. Następował nagły trzask, coś migotało, coś błysło i zaczynało grzmieć: to Lepajłło wydobywał z brzucha warkot ostrzegawczy i groźny. Raczek piskał dyszkantem jakieś słowo i rozpoczynała się krótka, burzliwa awantura jak wiosenna burza. Wszystko zresztą pomiędzy nimi było awanturą.

Czasem Raczek, pracujący zawsze do bardzo późnej nocy, mrugał zmęczonymi oczyma i coraz niżej pochylał głowę nad płachtą uczernionej stronicy. Litwin nie mówił nic, tylko łypał powiekami, czasem ręką uderzał o stół, wreszcie używał ostatecznego efektu: zaczynał zgrzytać zębami. Potem łączył wszystkie te grymasy w jeden grzmot i wiązał je we wściekłość.

— Idź pan spać — grzmiał jak beczka toczona po wyboistym bruku. — Idź pan spać, mówię panu! Zdechłak pan jest, a ja nie mam zamiaru cucić pana, kiedy pan zemdleje. Szkoda kubła wody na takiego łapserdaka.

— Ale kto dokończy korekty? — pytał dobrotliwie Raczek. — Przecie pan nie potrafi, bo to zbyt inteligentna robota.

Lepajłło zmieniał wtedy oczy w dwa sztylety i przebijał nimi serce pana Raczka; podnosił w górę obie potężne ręce, przez co dawał mu jasno do poznania, że w tej chwili nędzne, uśmiechnięte jego życie niewarte jest główki zardzewiałej szpilki lub spalonej zapalniczki, gdyż jednym uderzeniem tych sękatych rąk urządzi panu Raczkowi pogrzeb najostatniejszej klasy, o czym w gazecie będzie jednowierszowa wzmianka. Następny ruch prawej ręki, w stronę ogromnego kałamarza, oznajmiał już nieco dokładniej wybór narzędzia śmierci i mieścił w sobie zapowiedź, że śmierć pana Raczka będzie czarna jak redakcyjny atrament. Na te wszystkie straszliwości odpowiadał pogodny mędrzec bardzo zmęczonym, lecz rozbrajającym uśmiechem, pozdrawiał mruczącego niedźwiedzia gestem Cezarów i spokojny, że niedźwiedź dokończy za niego żmudnej pracy, odchodził w nocny mrok i ciszę. Mącił ją, ale już na schodach, daleki grzmot w tym sensie:

— Całe szczęście, że jest ślisko! Może pan sobie wybije parę zębów...

Wojna tych dwóch nienawistnych potęg miała podłoże głębokie: oto zawodowy pesymista, autor niezliczonych nekrologów, nienawidził świata, gardził ludźmi, kłął w ziemię, narzekał na wiosnę, kiedy zaś padał deszcz, spoglądał podejrzliwie spode łba, czy ten deszcz nie pada wyłącznie ze względu na niego, aby mu uczynić pakość³. Któż przeto był jego naturalnym wrogiem? Oczywiście, że ów zwariowany Raczek, zawodowy optymista, który wszystkiemu był rad, wierzył wszystkiemu i wszystkim, jak dziecko garnął się do ludzi, a na widok rozkwitłego drzewa potrafił roześmiać się głośno i przez godzinę wpatrywać się w jego weselną białość. Walczył przeto czarny szatan z duchem światłości. Aryman z Ormuzdem⁴, hukający po nocy puszczyk z niemądrym skowronkiem, co wydzwania chwałę promienistego poranka. Dlatego to jednego razu, kiedy Lepajłło był w nastroju cmentarnym, opisawszy jakieś wspaniałe wesele, usiłował podeptać nogami wesołą filozofię swego wroga. Wymierzywszy w niego wskazujący palec, aby nie było pomyłki w adresie, chociaż we dwóch tylko w pustej siedzieli sali, mówił dobitnie, przenikliwie i zabójczo:

³ P a k o ś ć (stp.) — tu: na złość.

⁴ A r y m a n — wg wierzeń starożytnych Persów bóg ciemności i zła; O r m u z d — przeciwstawienie Arymana, uosobienie dobra i prawdy.

— Pan źle skończy, panie Raczek! Z całego serca tego panu życzę, ale to się stać musi i bez moich życzeń. A wie pan dlaczego? Bo pan jest brzydkim kłamcą i wytrawnym oszustem... Niech pan nie przerywa, bo przestanę mówić i zacznę łamać pańskie kruche kości!... Dobrze, że pan zbladł, stary szachraju... Jest pan kłamcą, bo się pan wciąż uśmiecha. Czy wolno zapytać, z czego się pan śmieje i czym się pan wciąż raduje? Bieda pana gryzie, na porciętach ma pan łaty, tak że wyglądają jak mapa, zdrowia pan nie ma, a gdyby panu przyszła szczęśliwa myśl do głowy, aby chcieć umrzeć, nie będzie nikogo, kto by panu podał kropelkę wody. Prawda to czy nieprawda? A pan się śmieje! Bo pan, jak małe dziecko, nie rozumie ani powagi, ani złości życia i wierzy pan, że pan będzie sypiał nie na pomiętym sienniku, lecz na różach. Otóż oświadczam panu, że mnie to gniewa i oburza! Ja nie mogę znieść widoku uśmiechającego się głupio człowieka, bo pan obraża ludzkość... Pańskie porcelanowe oczy doprowadzają mnie do szaleństwa! Nie pozwolę sobie obrażać, ja, człowiek smutny, który rozumie gorycz smutku. Ja wiem, panu chce się czasem płakać, ale pan umyślnie się uśmiecha, byle tylko mnie rozdrażnić... I dlatego, chociaż powinienem mieć litość dla ludzi upośledzonych na umyśle, nienawidzę pana i gardzę panem!

W odpowiedzi na to mordercze przemówienie, pan Raczek uśmiechnął się promieniście, co doprowadziło pana Lepajłłę do furii i do tak potężnego trzaśnięcia drzwiami, że cały dom wrzasnął w nagłej trwodze.

Wobec tak rozbieżnego sądu o świecie j, o ludziach, rozmawiali ze sobą dość rzadko, ale taka rozmowa przypominała dziwną zabawę: pan Lepajłło ciskał w pana Raczka słowa czerwone, ociekające krwią jak ochłapy mięsa, a dobry pan Raczek odrzucał w stronę pana Lepajłły słowa niebieskie jak niezapominajki. Zresztą jagnię nie chciało drażnić litewskiego lwa, a lew uważał rozmowę z jagnięciem za sprawę poniżej swej godności. Czasem jednak obydwóch wrogów nużyło czarne milczenie, pracowali bowiem w tych samych godzinach nocnych, sennych i sprzyjających rozmowom.

Właśnie siedzą obaj naprzeciwko siebie, twarzą w twarz. Pan Lepajłło pali krótką fajkę i chociaż ukończył swoje kwieciste pisanie, nie odchodzi. Dawno już spostrzeżono, że mrukliwy grubas, jak gdyby własnego szukał nieszczęścia, szuka nieustannie towarzystwa chudego, uśmiechniętego swego wroga. Było to samoudręczenie zaobserwowane u ludzi, którzy z rozpaczliwym, bolesnym uporem wciąż poruszają chory ząb. Minęła godzina druga; noc była zimna, a jesień myła szyby okien strugami deszczu. Alojzy Raczek, wpatrzony zmęczonym wzrokiem w wielkie, mokre płachty papieru, wyławiał ostrym szpikulcem ołówka zbędne litery i

nadziewał je jak czarne żuczki na szpilkę, ruchem nieco zniecierpliwionym wygładzał zburzony sens zdania albo zwaśnione słowa oddzielał od siebie płotem przecinka. Poprawiał pracowicie, cierpliwie, z doskonałą wprawą, rzadko marszcząc czoło. Nagle, odczytawszy jakiś ustęp gazety, wyraźnie drgnął. Poprawił się w krześle Jak ułan w siodle i zagłębił się w czytaniu z niezwykłą uwagą. Równie niespodzianie podniósł głowę i — łamiąc milczące traktaty — zwrócił się do Lepajłły z dziwacznym zapytaniem:

— Panie Michale, co będzie, kiedy słońce zgaśnie?

— Będzie ciemno! — huknął Lepajłło. — Będzie ciemno jak w pańskiej mózgowicy! A przy sposobności pozwolę sobie zauważyć, że nie jestem dla pana żadnym “panem Michałem”, lecz “Lepajłłą”, wyraźnie: “panem Lepajłłą”.

Równocześnie “pan Lepajłło” tchnął taką chmurą dymu jak pancernik, co się otacza dymową zasłoną, i tak wycelował swoją uwagę na Raczka jak śmiercionośne działo. Ale — o dziwo! — Raczek nie zwracał na to wszystko uwagi i odpędziwszy dym, jakby odpędzał muchy, mówił z wielkim przejęciem:

— Nadzwyczajny artykuł... Bardzo, bardzo ciekawy... “Kiedy umrze wszechświat?...” — Czy pan słyszał coś podobnego?

Niech pan sobie wyobrazi, że słońce, tracąc w przeciągu każdej minuty dwieście pięćdziesiąt milionów ton swojego ciężaru, w tym samym czasie, wskutek zamiany materii w energię, wypromienia z siebie dwieście dwadzieścia sześć kwintylionów ergów...

— Tylko tyle? Myślałem, że więcej — zasyczał Lepajłło jak szatan smażony w upale dwustu dwudziestu kwintylionów ergów.

Raczek nie zwracał na niego uwagi.

— To straszne — mówił. — Po upływie kilkuset bilionów lat nastąpi katastrofa. Niech pan słucha: — “...Wiele danych wskazuje na to, że obecnie, jako obywatele wszechświata, żyjemy raczej bliżej jego końca aniżeli początku...” — Rozumie pan? “Bliżej końca niż początku!” Kilkaset bilionów lat to przecie nie tak wiele...

Wtem drgnął Alojzy Raczek i kilkaset bilionów lat drgnęło razem z nim w nagłym przestachu; to straszliwy Lepajłło wyrznął potężną dłoń w ginący wszechświat, a równocześnie w stół, rycząc jak kosmiczny wicher:

— Czy pan nie ma większego zmartwienia? Co pana obchodzi kilkaset bilionów lat? Kto może wytrzymać z takim wariatem jak pan? Patrzcie ludzie! Słońce traci na wadze, a ten mentecaptus stracił rozum. I niechże pan sam powie: czy można z panem gadać po ludzku?

— Można — odrzekł Alojzy Raczek z wzniosłym spokojem. — Na to jednak trzeba mieć szeroki pogląd na sprawy wieczyste i nie tłuc pięścią w stół. Myślałem, że pana rzecz tak niesłychana zainteresuje i że pan pomyśli o sobie usłyszawszy, że i wszechświat czeka zagłada. Przepraszam, że się pomyliłem... Trudno ze ślepym gadać o kolorach, a z niedźwiedziem o astronomii. Jest to nauka zbyt wzniosła, a że ja ją i kocham, i rozumiem...

— Dosyć! — wrzasnął Lepajłło. — Dosyć, bo pana zamorduję! Pan zna się na astronomii? Boże miły! Wie pan, co ja panu powiem? Powiem panu tak, że pan z krzesła zleci. Licho wie, ile pan ma lat, bo wygląda pan na sto dwadzieścia — i co z tego? Żeby pan nawet przez tysiąc lat patrzył na gwiazdy, będzie pan taki sam mądry jak przy narodzeniu. On się zna na astronomii, bo patrzy w niebo? Cha! cha! Wół zjada trawę przez dwadzieścia lat, a czy wół zna się na botanice? Czy szewc, który łąta buty filozofa, zna się na filozofii? Czy krowa, która umoczyła ogon w farbie i smaruje nim płótno, jest Apellesem⁵? Czy bocian, który zjada żaby...

— Przestań pani — rzekł Raczek cicho, lecz dobitnie, wytrzymawszy bowiem szewca, wołu i krowę, nie mógł już wytrzymać bociana. — Rozmowa z panem jest całkiem zbędna. Nie życzę sobie znajomości z szanownym panem... I uprzedzam pana, że jeśli mnie pan przestanie poznawać na ulicy, sprawi mi pan prawdziwą przyjemność. A teraz proszę mi nie przeszkadzać w pracy!

Tyle było wspaniałej godności i tyle drżącej ze wzruszenia potęgi w tym przemówieniu, że awanturniczy Litwin zamilkł ze zdumienia. Przez chwilę zdawało się, że rozszrożony nosorożec prychnął z wściekłości i zaraz rozpocznie szarżę na nieszczęsnego Raczka, który pochylił się znów nad korektą i znowu przywoływał na swoją drobną twarz uśmiech, na moment jeden zdmuchnięty wichrem gniewu Lepajłły. Nieszczęście jednak przeszło mimo, jak burza, co się potoczyła dalekością widnokągu.

Ciężkie milczenie wisiało nad nimi jak brzuchata, czarna chmura. Raczek wędrował po wszechświecie, a Lepajłło sapał jak lokomotywa po dalekiej podróży i patrzył na wroga lekceważącym spojrzeniem. Wróg ukończył wreszcie pracę, wyprostował ramiona i zaczął cicho nucić, dając tym wyraźnie do poznania “wszystkim obecnym”, że ich uważa za powietrze.

⁵ Apelles — wielki malarz starożytnej Grecji z IV w. p.n.e.

Wreszcie wdział płaszcz, nałożył na głowę kapelusz i spojrzał jak gdyby zatroskanym wzrokiem na szyby, o które bił deszcz nudnym, szklanym dźwiękiem.

— Ach, ta plucha! — rzekł do siebie, najwyraźniej tylko do siebie.

— Niech weźmie mój parasol — ozwał się mrukliwy, dudniący głos Lepajłły, który mówił w przestrzeń, najwyraźniej w przestrzeń.

— Obejdzie się! — z miłym uśmiechem odrzekł Raczek w stronę kulawej, tępej szafy ze starymi gazetami.

— Słusznie. Szkoda dobrego parasola dla kiepskiego wariata — zduszonym głosem oświadczył Lepajłło w stronę zdumionego tym oświadczeniem pieca.

Pan Alojzy, nadziany triumfem jak indyk truflami, wyszedł na stare, trzeszczące schody. Uśmiechał się w ciemności, wielce rad, że potęgą ducha zmiażdżył tego drewnianego Perkuna⁶ i wgniótł go w proch. Za drzwiami przystanął, nasłuchując, czy zgnębiony Lepajłło nie jęczy z bóleści, w pohańbieniu i wstydzie.

W tej chwili usłyszał cichy jęk.

Uśmiech zwiądnął na ustach dobrego pana Raczka. Zaczął nasłuchiwać pilniej i wyłowił w czarnej wodzie ciszy jakby srebrną płótkę — cichutkie westchnienie. Zdumiał się. Przecie tak misternie i rzecznie nie wzdycha Lepajłło, który wichrem swego westchnienia mógłby wyrzucić słonia. Nie, to nie on. Ktoś musiał być na załomie schodów wiodących na drugie piętro, w nocy puste — mieściły się tam bowiem biura administracji. Raczek podszedł cichutko i zapalił zapalną.

— O Boże miłosierny — szepnął smutno.

Przy ścianie, na gołych deskach, spał niespokojnym snem chłopczyna może czternastoletni. Nogi miał bose, a jedną — zapewne zranioną — owinął gałgankiem. Zwinięta piątka zastępowała poduszkę. Błady był i wymizerowany. Z jasnej głowy zsunęła się czapeczka i leżała obok. Chłopak drżał z zimna i wzdychał przez sen.

Pan Raczek patrzył na niego wzrokiem przelękłym tak długo, aż zgasła zapalną.

— Boże miłosierny! — powtórzył Raczek w ciemności; pochylił się, ostrożnie ujął w ramiona śpiącego chłopaka i zaczął schodzić do redakcji. Chłopiec nie obudził się. Raczek łokciem nacisnął klamkę drzwi, otworzył je nogą i wszedł do pokoju, w którym Lepajłło właśnie wdziewał płaszcz.

— Panie Michale — szeptał — drogi panie Michale, niech mi pan pomoże!

⁶ P e r k u n — bóg piorunów, najwyższe w hierarchii bóstwo pogańskich Prusów i Litwy.

Lepajłło już chciał ryknąć, lecz zaniemówił w niepomiernym zdumieniu, wziął chłopca w swoje potężne ramiona i wzrokiem zapytywał, co to wszystko oznacza?

— Spał, biedaczyna, na schodach... — mówił Raczek zdyszczanym, zmęczonym szeptem. — Jak pies... Przecie nie można go tam zostawić... Nieszczęśliwe dziecko... To jakiś chłopczyna, co sprzedaje gazety... Panie Michale, coś trzeba z nim zrobić, ale co?

Lepajłło patrzył na chłopca dziwnym wzrokiem. Pan Raczek byłby przysięgł, że wzrok ten był wilgotny.

— Spał — szepnął jakby z wielkim zdumieniem, ale najcichszym szeptem, aby go nie obudzić.

— Musi być bardzo zmęczony... Połóżmy go tutaj... Czekaj pan! Ułożymy go na stole, a pod głowę damy mu stare gazety... O, taki... Dziękuję panu! Tu już nikt nie zajdzie do rana — szeptał z wielkim przejęciem. — Ale rano będzie miał ciężkie przejścia... Chyba, że ja tu zostanę.

— Pan pójdzie do domu — szepnął groźnym, opasłym szeptem Lepajłło. — Pan jest zmęczony i w ogóle kapcan pan jest, jeśli idzie o zdrowie. Ja tu z nim zostanę!

Raczek spojrzał na niego serdecznie.

— To ja go znalazłem — mówił. — Nie chcę panu czynić kłopotu.

— Wynoś się pan — mruknął Lepajłło.

— Dobrze, dobrze... Patrz pan, jakie to blade, biedactwo...

Drży z zimna. Czym go przykryć, mój Boże?

Litwin uderzył się nagle dłonią w czoło, czym prędzej zdjął z siebie płaszcz i troskliwie okrył chłopca.

— To ciepły płaszcz — szepnął, jakby chciał się usprawiedliwić.

Raczek uśmiechnął się jasnym, dobrym uśmiechem i chwycił w swoje drobne ręce potężną dłoń Lepajłły.

— Pan jest strasznie zacny — rzekł cichutko,

Lepajłło wyrwał rękę jak oparzony i pełen hamowanej z trudem wściekłości rzekł potężnie:

— Czy pan chce, żebym pana zabił od razu, czy dopiero jutro?

II

Raczek wstawał zwykle późno, aby odespać przepracowaną noc, nazajutrz jednak wpadł wcześniej do redakcji. Lepajłły, oczywiście, nie zastał, a o chłopcu nic mu nie umiano powiedzieć. Raczek nie mógł go zapomnieć: wciąż miał przed oczami widok biedaczyny, zwiniętego w kłębek jak psiak na chłodzie, i tak, zapewne, zmęczonego, że go nie obudziło ani światło, ani głosy, ani przenosiny ze schodów na stół redakcyjny. Czuły na każde nieszczęście drżał i truchlał pan Alojzy na widok bezbronного nieszczęścia dziecka. Ten chłopczyna był prawie dzieckiem, zmiętym, zziębniętym i pewnie głodnym dzieckiem. “Co się z nim stało lub co z nim uczynił Lepajłło? Dobrze to chłopisko, ten Lepajłło — myślał — tylko raptus i paliwoda. Serce ma lepsze od gęby, bo gębę ma paskudną”.

Postanowił zająć do Lepajłły, który mieszkał ze swoją owdowiałą córką, cichą kobieciną, i z jej dzieckiem, pięcioletnią dziewczynką, Danusią. Nie było właściwie powodu do tych nagłych odwiedzin. Raczek sądził jednak, że wplątawszy pocziwego Litwina w tę nocną awanturę z małym, biednym oberwańcem, powinien przejąć teraz ten nieszczęsny depozyt z rąk tymczasowego opiekuna. Być może, że Lepajłło nie wie w tej chwili, co począć z chłopakiem, którego on znalazł, trzeba będzie przeto odebrać niedźwiedziowi to mizerne ludzkie chuchro, nakarmić, czymś obdarować i oddać ulicy, skąd przyszło i gdzie zapewne mieszka.

Spoza drzwi mieszkania Lepajłły słyhać było dzikie okrzyki pomieszane z dziecięcym piskiem. Raczek począł nasłuchiwać.

“Czy ten człowiek morduje dziecko?” — pomyślał ze strachem.

Dopiero jasny i cienki śmiech dziewczynki oznajmił jego słusznemu przerażeniu, że krwawy Litwin zabawia swoją wnuczkę. Sądząc z odgłosów, była to zabawa w sam raz dla niedźwiedzi lub dla ludożerców, a nie dla misternego dziecka.

— Wyrażna to opieka boska — rzekł Raczek do siebie — że to biedne dziecko nie dostanie konwulsji ze strachu, kiedy pan Lepajłło ryknie dla zabawy.

Odważnie jednak zadzwonił, rad, że Lepajłło w dobrym jest usposobieniu. Stropił się więc cokolwiek, kiedy zdumione oczy Lepajłły przywitały go, równocześnie ze zdumieniem, bezdenną pogardą i groźbą śmierci w męczarniach.

— Pan po co i do kogo? — pytał Litwin.

Raczek uśmiechnął się niepewnie.

— Do kogoż by? Do pana... — Chcąc zaś zagasić rudy płomień gniewu pana Lepajłły, dodał szybko: — Ach, jakież piękne dziecko!

Dziewczynka, ujrawszy człowieka—niebieskie oko, człowieka—uśmiech i człowieka—rzewna bródka, szybko podeszła ku niemu. Wtedy Lepajłło wrzasnął przeraźliwie i krzyk ten zarzucił jak arkan na nieszczęsnego Raczka, który — jakby pociągnięty — cofnął się w tył.

— Niech pan nie dotyka dziecka! — wołał Lepajłło. — Wariatom nie wolno dotykać dzieci. Danusia, uciekaj!

Danusia jednakże, przywykła do lwich ryków, nie zwracając na nie uwagi, już siedziała na chudych kolanach rozanielonego pana Raczka, z wielkim podziwem przypatrując się jego capiej brodzie. Lepajłło zaniemówił, a Raczek rzekł dobrotliwie:

— Dziecko ma zawsze więcej rozumu niż stary koń.

— Zawsze! — potwierdziła Danusia, nie wiedząc, co czyni.

Lepajłło rozejrzał się krwawym wzrokiem, jakby szukając czegoś ciężkiego, co by zastąpiło kosę śmierci. Przez chwilę zatrzymał spojrzenie nawet na szeroko rozrosłej szafie, która zdawała się mieć odpowiednie warunki do wyprawienia miłego pana Raczka do jego ojców, starych — dziś już w niebie mieszkających — Raczków. Pan Raczek jednak uśmiechał się tylko, rozrzewniony szczebiotliwą gadaniną ślicznego dziecka, któremu z całego serca ofiarował swoją brodę do wesołych igraszek i najwyraźniej pokpiwał sobie z morderczych spojrzeń Lepajłły, taką cudowną mając przed sobą tarczę. Dopiero niewiasta służebna, wielkim przywołana krzykiem, zdołała wydobyć ją z ramion Raczka i Danusię wyprowadzono do przyległego pokoju. Pan Raczek został bezbronny, twarzą w twarz ze śmiercią,

Lepajłło patrzył na niego długo i przenikliwie.

— Pan jest najbezcenniejszym człowiekiem — mówił zduszonym głosem — jaki kiedykolwiek chodził po świecie... I do tego na pokrzywionych, pałkowatych nogach. Przez pana nie spałem przez całą noc, a teraz, kiedy wreszcie chciałem odpocząć, przychodzi pan nieproszony i, deprawuje pan biedne dziecko, które pan może zarazić cholerą albo tyfusem... W panu pewnie siedzi ze sto takich chorób... Zapytuję pana, po co pan tu wlaź?

— Niezbyt pan jest gościnnie, panie Lepajłło — uśmiechnął się Raczek, ale z trudem, — Mogłem przypuszczać, że we własnym domu będzie pan miłszy niż zwykle.

Słowa te musiały ugodzić w serce pana Lepajłły, gdyż spojrział niepewnie i mruknął:

— Jestem niewyspany, a kiedy jestem niewyspany, jestem wściekły.

— To się zdarza wśród niedźwiedzi — rzekł dobrotliwie pan Raczek. — Aj, aj, tylko niech pan znowu nie zacznie krzyczeć! Pożartować przecie można. Uspokój się pan. Zadam panu tylko dwa pytania i odchodzę.

— To dobrze, że pan odejdzie — rzekł Lepajłło z głębokim przekonaniem. — A teraz niech pan gada. Ja będę spokojny, ja będę nawet bardzo spokojny. Ja po dzisiejszej nocy sam temu się dziwię, ale będę spokojny...

— Przecie pan sam się zaofiarował — rzekł Raczek z nieudanym zdziwieniem. — Pan sam chciał zostać przy tym śpiącym nieszczęśniku.

— A co miałem zrobić? — krzyknął Lepajłło. — Czy miałem pozwolić, aby rano biednego chłopczynę skrzywdzono za to, że spał na redakcyjnym stole?

— Ależ ja byłbym chętnie pozostał...

— Pan? Pan byłby zemdłał siedem razy ze zmęczenia i rano znaleźliby pana na drugim stole, bo kosz na papiery jest za mały nawet dla pana. Zresztą zrobiłem, co mi się podobało, ale pomysłu z tym chłopaczkiem do końca życia panu nie przebaczę. To ładny ananas, ten pański wychowanek!

— Jaki znów wychowanek? Co pan wymyślił!

— Dobrze wymyśliłem... I to tylko panu powiem, że jeżeli pan co znajdzie, z całą pewnością można to posłać na wystawę. Z pana jest ziółko, nie daj Panie Boże! Pan mnie urządził! Raczek słuchał ze zdumieniem.

— Niechże pan powie — rzekł zatroskany.

— Owszem, powiem, powiem, a pan niech zakryje ręką swoje niewinne oblicze i niech się pan wstydzi. Otóż ten pański chłopaczek spał do samego rana jak księżę pod moim płaszczem. Kiedy się uczynił ruch w redakcji, otworzył oko: jedno, potem drugie i nagle się przeraził...

— Oczywiście, biedne dziecko zobaczyło pana... Stary by się przeraził, cóż dopiero taki chłopczyna.

— Może pan kpić, bardzo proszę. Ja to wszystko dołączę do generalnego rachunku i kiedyś się policzymy.

— I cóż dalej? — pytał szybko Raczek.

— Dalej? Dalej było tak, że mnie omal krew nie zalała. Ten smyk, ujrzawszy, że leży w jakimś pokoju, na jakimś stole, pod jakimś płaszczem, krzyknął przeraźliwie i rzucił się do ucieczki... Ja za nim, myślałem bowiem, że trzeba chłopca nakarmić... On poza stół, ja poza stół, on do pieca, ja za nim. Musiałem przy tym krzyknąć...

— Wyobrażam sobie! — bąknął Raczek.

Lepajłło nie zwrócił na to uwagi.

— ...Musiałem przy tym krzyknąć i chciałem go schwytać.

Wtedy ten pański pupilek chwycił kałamarz, mój własny kałamarz... i cisnął go we mnie.

— Oj, to niedobrze — zmartwił się Raczek, ale z uśmiechem.

— Niedobrze? Zobacz pan moje ubranie, a wtedy pan powie, czy to niedobrze.

— I co dalej?

— Nic. Chciałem tego urwipołcia zabić, ale mi się nie udało.

— Całe szczęście, że się tylko tak skończyło.

— Nie, panie, to wcale się nie skończyło, bo ja go jeszcze zabiję. A jeżeli jego nie odnajdę, to na panu poszukam zemsty, bo pan nie wie, co było potem.

— Było coś jeszcze potem? — zapytał Raczek z wesołym zainteresowaniem.

— Było, dzięki panu, było! Niech pan sobie wyobrazi, że ten zwierzak, ten pański znajda, uciekł na schody, potem przed dom, gdzie ze czterdzieści takich wyrostków jak on oczekiwało na poranną gazetę. Kiedy wpadłem w to szlachetne zgromadzenie, zziąjany i ociekający atramentem, chłopak ten zaczął wyć przeraźliwym głosem... Czekał pan, niech odsapnę!... Zaczął wyć wskazując na mnie, że ja ukradłem mu czapkę!

— Ach! — przypomniał sobie pan Raczek.

— Zrobiło się zbiegowisko, urwisy wołały wniebogłosy: “Oddaj czapkę”. Ja w nogi, oni za mną... Cała ulica zaczęła wołać: “Oddaj czapkę” — a ten pański ananas wrzeszczał najgłośniej. Uciekałem, jak gdybym naprawdę ukradł czapkę i przez dwie godziny wracałem do zmysłów w redakcji, gdzie mnie każdy pytał podejrzliwie: “Panie Lepajłło, jak tam właściwie jest z tą czapką?” Całe szczęście, że tę ohydłą czapkę znaleziono.

— Na schodach, nieprawdaż?

Lepajłło spojrzał podejrzliwie.

— Pan o niej wiedział?

— Widziałem ją, ale zapomniałem ją podnieść. To zabawne!

Wtedy Lepajłło stracił panowanie nad sobą.

— Och tak! Więc to pańska intryga? Pan wiedział, a ze mnie zrobili opryszka... I to jest dla pana zabawne? Czy pan wie, jak wśród uczciwych ludzi nazywają takie postępowanie? Otóż ja panu oświadczam...

— Resztę niech pan oświadczy temu plecowi! — przerwał Raczek wesoło, cofając się przezornie na dawno upatrzoną pozycję w stronę drzwi, które szybko otworzył i równie szybko zatrzasnął.

Obliczenie szybkości było dokładne, w tymże bowiem momencie uderzył we drzwi szczególny pocisk: pan Lepajłło, zerwawszy but z lewej nogi, cisnął nim z precyzją szybkostrzelnej armaty.

— Cha! Cha! — zaśmiał się na schodach brodaty szatan — Alojzy Raczek.

Będąc jednak człowiekiem przezornym, co mądrą przezornością wspiera swoją odwagę, wielkich tym postępowaniem naśladowując wojowników, nie wyszedł z bramy domu wprost na ulicę. Słusznie mógł mniemać, że opanowany żądzą krwi Lepajłło rzuci z okna na jego głowę jakiś przedmiot niezwykle ciężki: wazon z kwiatami, kufer lub żelazko do prasowania. Przemknął przeto chyłkiem pod ścianą domu i dopiero z bezpiecznej odległości odważył się zwrócić pogodnie oblicze w stronę śmierci. Ależ tak! Lepajłło stał zaczajony za firanką okna, a w rękę dzierżył ogromny kubeł z wodą.

— Niech pan ją wypije, panie Lepajłło! — zawołał Raczek z piskliwym śmiechem.

Wróg zdumiał się, potem cofnął się we wstydzie w mrok swojej jaskini.

Raczek, wesoły jak szczygieł — chociaż niezbyt do tego miłego ptaszka był podobny — szedł podrygującym krokiem.

Czasem przystawał i wytryskał cichutkim śmiechem jak fontanna perlistym szmerem, ile razy przypominał sobie i wyobraził z lubością minę Lepajłły oczernionego atramentem.

“To wyborny jakiś chłopczyna — myślał rozbawiony.

— A pan Lepajłło zacna dusza...”

Postanowił chłopca odnaleźć koniecznie, bo tyle już o nim myślał i tyle się o nim nasłuchiwał, że mu się ten biedaczyna zaczął wydawać kimś bliskim i dobrze znajomym. Ułożył sobie przeto, że około godziny czwartej, kiedy czereda chłopaków, przypominająca gromadę swarliwych i wesołych wróbli, gromadzi się przed redakcją, aby zabrać do rozprzedaży gazety, będzie go tam wypatrywał. Uznawszy ten plan za rozsądny i niezawodny, udał się pan Raczek do swojej

jadłodajni, która oznajmiała koślawym napisem, że w niej wszystkie potrawy przyrządzają na “deserowym maśle”. Jednakże ostry, jadowity sceptycyzm ludzi jadających w owym przybytku z głośnym uporem stwierdzał, że owe “deserowe masło” jest jakimś zjełczalym tłuszczem i przenigdy nie pochodzi w prostej linii od tak szlachetnego zwierzęcia, jakim jest krowa. Raczek, zawsze ze wszystkiego zadowolony, zjadał rozmaite straszliwości tej jadłodajni bez zbytniego zagłębiania się w dochodzenie, dlaczego pieczone z wołu takie zawsze robi miny, jakby chciało donośnie zarzeć końską modą i wierzgnąć wesoło. Tego dnia nie zwrócił nawet uwagi na to, co zjadał, i jedynie życzliwej uwadze sąsiada zawdzięczał, że nie pożarł strzępka wzorzystej tkaniny pływającej w zupie jak wodorost w morzu Sargassa. Uczynił za to rzecz niezwykłą, gdyż placek ze śliwkami, czyli zakalec różowo upstrzony, zawinął w papierek i z uśmiechem ukrył w kieszeni. Potem, niezbyt najedzony, lekki na ciele i duchu, usiadł na ławce w Alejach, łowiąc niebieskimi oczami ostatnie srebrne i wiotkie jak pajęczyna błyski jesienno słońca; dzień bowiem był pogodny. Kasztany płakały ciężkimi, brunatnymi łzami swoich owoców mocno bijących o ziemię, oderwany liść chwiał się w powietrzu jak raniony samolocik i drżał z trwogi, że go za chwilę ludzkie zdepcą stopy.

W oznaczonym czasie znalazł się wśród gromadki chłopców przed redakcją i począł przyglądać się im pilnie. Nie szukając długo ujrzał swego smyka, który nic o tym nie wiedząc, że pan Lepajłło dybie na niego i że niedawno zapowiedział Raczkowi tragiczną jego zagładę, z wielkim spokojem ducha podparł mur domu i niedbałym spojrzeniem spozierał na życie wielkiej ulicy. Był to chłopak ładny, niezbyt wyrośnięty, jasnowłosy i jasnooki. Nędza zwiślała z niego łachmaniasta i jedyną ozdobą tej wymizerowanej osoby była czapeczka, niezbyt jeszcze zniszczona, wielki — widać — skarb owego chłopczyny, jeśli z rana tak o niego walczył krzykliwie, zjednoczonych na tę chwilę Greków, a swoich zwykle skłóconych kompanów wołając na pomoc. Twarzyczkę miał inteligentną, oczy bystre i mądre doświadczoną mądrością ulicy. Raczek patrzył na niego z żywym i serdecznym zajęciem. “Jego” chłopak, równocześnie pogromca Lepajłły, wart był — z pobieżnego przeglądu sądząc — tej sympatii, którą dobry pan Raczek już w sobie wypiautował.

Błądząc spojrzeniem chłopiec dostrzegł wreszcie miły i serdeczny uśmiech na dziwacznej, capią bródką ozdobionej twarzy. Nie przypuszczając, że to ktoś pod jego adresem posyła tę ciepłą życzliwość, odwrócił głowę szukając właściwego odbiorcy. Nikogo nie było w tej stronie. Chudy pan wyglądał wprawdzie nieco cudacznie i niezwykle, nie sprawiał jednak wrażenia takiego

pomyleńca, co się śmieje do muru albo do dorożkarskiego konia, który w pobliżu wrósł w ziemię drewnianymi, powykręcanyimi nogami. Chłopak pojął wobec tego, że chudy pan — z niewiadomych powodów — uśmiecha się do niego. Spojrzał bystrzej rozumnymi oczami i uznał, że uśmiech ten jest bardzo jakiś serdeczny i bardzo życzliwy i nie ma bynajmniej powodu do tego, aby poczuć się dotkniętym na honorze gazeciarza, mocno drażliwym i wyczulonym, gotowym każdej chwili do bitki. Wobec tego, wedle prawideł handlu zamiennego, uśmiechnął się także, odsłaniając zdrowe zęby, bardzo bezrobotne i nie narażone na zbytnią przy częstym jedzeniu udrukę. W tej chwili gromadka chłopców, wydawszy gardłowy, zmacony okrzyk Komanczów biegnących na zdobycie fortu białych, wpadła do szerokiej, ziejącej bramy. Chłopiec pozostawszy wskutek chwili nieuwagi na starcie, zwrócił się szybko, aby pobiec za gromadą.

— Hej, chłopcze! — zawołał wtedy Raczek.

Zdziwiony chłopiec przystanął i, wahał się przez krótką chwilę na bosych piętach.

— Poczekaj no, chłopcze! — rzekł Raczek zbliżając się.

— Nie mam czasu, panie chudy! — odpowiedział chłopiec.

— Ważna sprawa... — mówił szybko stary człowiek, wciąż się uśmiechając, jak gdyby bał się, że spłoszy to półdzikie stworzenie. — Bardzo ważna sprawa... Nie bój się!

— Ja się nie boję — odrzekł chłopiec zdziwiony — ale stracę czas.

— Zwrócę ci stracony zarobek... Ale chcę z tobą pomówić.

Bystre oczy chłopca zbadały szybko pana Raczka i jego rozsądną obietnicę: jakkolwiek ten dziwny człowiek wyglądał, można było jednak mieć niejaką pewność, że będzie w możności pokrycia finansowych strat miłego oberwańca w przypuszczalnej wysokości dwudziestu, do trzydziestu groszy.

— Mogę zaryzykować! — rzekł chłopiec z powagą. — Ale czy pan potem nie zwieje?

— Nie, moje dziecko — złożył przyrzeczenie Raczek i podpisał uśmiechem. — Pójdź ze mną na chwilę do redakcji.

Chłopiec odskoczył, jakby ujrzał grzechotnika.

— Na górę? — zapytał. — Tam nie pójdę!

Ku jego największemu zdumieniu chudy pan począł śmiać się w wysokiej tonacji i rzekł:

— Czy boisz się tego pana, którego oblałeś atramentem?

Chłopiec spojrział podejrzliwie.

— To pan w tej sprawie? — powiedział jakby zawiedziony, że człowiek, którego obdarzył zaufaniem, złowił go na marną przynętę uśmiechu i chce go schwytać na dobre.

— Nie w tej, nie w tej! — mówi szybko Raczek. — Broń Boże! Chociaż wolę ci to od razu powiedzieć, że skrzywdziłeś najlepszego człowieka na świecie, który nie tylko że żadnej nie chciał ci uczynić krzywdy...

— To dlaczego chciał mnie złapać? — zapytał chłopiec, już z wypiekami na twarzy.

— Boś głupio uciekał! A ten pan chciał cię nakarmić!

— Ten gruby?

— Gruby czy nie gruby, ale zacny i kochany. Gdybyś nią był uciekał, wszystko byłoby dobrze. I teraz nie uciekaj, tylko mi uwierz, że cię umyślnie szukałem.

— Jak pan mógł mnie szukać, skoro pan pierwszy raz mnie widzi? — zapytał z niedowierzaniem.

— Ja ciebie już raz widziałem — odrzekł pan Raczek cicho, bardzo serdecznie.

— Kiedyż to?

— Ubiegłej nocy... Kiedyś, biedaku, spał na schodach. To ja ciebie znalazłem i ja ciebie zaniósłem do redakcji. A tamten pan to jest redaktor, pan Lepajłło, który ciebie własnym płaszczem okrył i czuwał nad tobą, aby cię rano nikt nie skrzywdził.

Chłopiec zaczął patrzeć na Raczka niespokojnie i mrużył powieki, jakby z trudem odtwarzał sobie awanturę ubiegłej nocy.

— To on nie wziął mojej czapki?

— Twoja czapka przydałaby mu się na mały palec. Po kiego licha temu panu twoja czapka? Jak ci na imię?

— Ignas — rzekł chłopiec z nagłym ożywieniem. — Proszę pana...

— Gadaj, śmiało gadaj!

— Czy pan wie, jaka była awantura?

— Wiem, wszystko wiem... Bądź jednak spokojny, tamten pan śmiał się z tej awantury, tak samo jak i ja ("Kłamco, bądź przekłety!" — pomyślał pan Raczek ze zgrozą). Przepraszam tego pana i wszystko będzie w porządku.

— Ależ on krzyczał, że mnie musi zabić — bronił Ignas swojej złej sprawy.

— Ten pan nie zabił dotąd nawet muchy... Ale nie o to idzie... Ja ciebie szukałem, Ignasiu, bo mi ciebie bardzo żal... Jesteś bosi, sypiasz na schodach, a przecie są jeszcze na świecie

ludzie... Wszystko jedno!... Nie mogę pozwolić, abyś ty, chłopcze, ginął, kiedy ja opływam w dostatki... Nie znaczy to, abym był bardzo bogaty, ale jakoś mi się wiedzie... Mam mieszkanie, mam co jeść... Ach, ty zakuty łbie! — krzyknął nagle. — Chłopcze, uspokój się, to nie do ciebie było powiedziane. To do mnie, bo to ja jestem zakuty łeb...

To mówiąc, wydobyl z kieszeni przetluszczone zawiniątko i podał chłopcu,
— Masz, jedz, boś pewnie głodny... To wyborny placek ze śliwkami... Co ci jest, dziecko kochane?... Czy ci nie wstyd? Bierz placek, bo go cisnę pod tramwaj... Ależ, chłopcze, spokojnie, spokojnie... Nigdy nie trzeba się wzruszać...

Pan Raczek spostrzegł, że chłopcu zaszklily się oczy. Czula, drżąca dusza dziecka zatrzepotała skrzydłami jak motyl. W biedniutkie, chłopięce serce napłynęła jakaś ciepła słodycz i wezbrała w zdziwionych, jasnych, czystych oczach. Pan Alojzy był wielkim zdobywcą ludzi, nawet tak nadmiernie rozrosłych jak Lepajłło, więc mu było łatwo objąć uśmiechem i rzewnością głosu to dziecko, zziębnięte na ciele i strasznie zziębnięte na duszy, bo bardzo, bardzo pewnie samotne.

Ignas jakby oczarowany słodyczą dobroci wziął w rękę ciastko i nawet na nie nie spojrzal, nie spuszczał natomiast spojrzenia z twarzy tego jakiegoś człowieka, który przyszedł nie wiadomo skąd i obcemu chłopcu mówi słowa dobre i ciepłe.

— Czy pójdziesz ze mną, drogi chłopcze? — zapytał pan Raczek.

Chłopiec nie odpowiedział, jak gdyby mu zabrakło głosu, i tylko skinął głową. Szedł potem za chudym panem po znajomych schodach i do znajomego pokoju.

— Niech pan siada, panie Ignacy — mówił Raczek w głębokim przekonaniu, że nic bardziej nie ośmieli tego nagle zalękłego pędraka jak wyborny dowcip z tym “panem Ignacym”. Pomyślał równocześnie, że Bóg mu dał niezmierną przemyślność i dowcip, jakim niewielu ludzi na świecie mogłoby się pochwalić.

Chłopiec był widocznie oszołomiony i przez małe jego serce wiały w szybkim locie: nieznana radość, wzruszenie, bo jaźń, podejrzliwość i wdzięczność. Nie wiedział dobrze, czemu się to wszystko dzieje i co to wszystko oznacza, nieomylnym jednak instynktem dziecka czuł to jedno, że ten starszy pan jest dobry i że mu można zaufać. Ten sam instynkt kazał dziecięcemu sercu gwałtownym porywem pokochać człowieka, co to dziecko tuli do swojej ciepłej dobroci i obejmuje jego zbiedzona duszyczkę ramieniem...

Raczek widząc, że chłopiec drży, pomyślał o sobie, że jest nędznym potworem, godnym wzgardy pana Lepajłły, gdyż od godziny opowiada chłopcu androny zamiast uczynić wszystko, aby biedactwo ogrzać. Rzekł mu pośpiesznie:

— Ty sobie, chłopczyno, przez czas jakiś tu posiedzisz, a ja wyjdę i wnet powrócę... Nie bój się, mówię ci, nie bój się. Nikt tutaj teraz nie przyjdzie, a woźnemu powiem, że siedzisz tu z mego polecenia, Ale zarazi Nie należy czynić niczego bez namysłu!... Pokaż nogi!

Chłopiec wyciągnął bosc nóżęta.

— Wczoraj miałeś na jednej z nich jakiś gałganek. Co to było?

— Zraniłem się, ale już zagojone — odrzekł chłopiec siląc się na spokojną odwagę.

— Wybornie! — mówił wesoło Raczek i począł oglądać nogi chłopca jak znawca, co ogląda obrazy. Ignas patrzył zdumiony, jak siwy pan to się ku niemu zbliża, to odskakuje, palce u ręki rozstawia i jak rozczapierzonym cyrklem mierzy jego nogę.

— Nie! — mruknął wreszcie Raczek. — Miara musi być ściśłą. Czym by tu zmierzyć? Aha! Mam...

Podszedł do zawalonego papierami stołu Lepajłły i wziął jeden arkusz zapisany drobnym pismem, uśmiechnął się jednak z zadowoleniem spostrzegłszy, że odwrotna strona była czysta. Ułożył papier na podłodze, kazał na nim stanąć Ignasiowi prawą nogą, potem przyklęknawszy — obrysował ją ołówkiem.

— Szewcy znają ten przemyślny sposób! — zawołał wesoło.

— Siedz tu, miły chłopcze, i pożeraj te śliwkowe delikatesy. Ja wrócę za chwilę.

Chłopiec siedział w mroku i rozmyślał, czujny na każdy szelest i trzask na schodach. Postanowił sobie, że ucieknie, jeśli zjawi się ktoś inny, a nie ten pan, najdziwniejszy, jakiego widział w życiu, i zapewne najlepszy wśród wszystkich ludzi na świecie. Przymknął oczy z uśmiechem, radośnie wzruszony tą dziwną przygodą. W pokoju było ciepło i spokojnie, i dobrze, och, jak bardzo dobrze! Wielkie to jakieś i nieznanne szczęście móc tak sobie siedzieć w cieple, a pod bosymi nogami nie czuć jadowitego błota ani wilgoci deszczu. Na schodach jest tak strasznie. Twardo i zimno i wielka trwoga ścisła serce, zanim wreszcie zapadnie się w sen. Wtedy jest już wszystko jedno. Ta wilgoć, to błoto i te schody to może straszniejsze od głodu. W tej chwili Ignas otworzył szerzej oczy i jakby nagle obudzony, spojrzął na papierowe zawiniątko. Rozwinął je ostrożnie, jak gdyby bał się, że marzenie okaże się złudą, i oto roziskrzonym wzrokiem ujrzał cudo cudów i rozkosz rozkoszy. Aż westchnął z niezmiernego zachwytu i począł jeść pełne zakalca

ciasto roztropnie, po okruszynce, aby rozkosz trwała do skończenia świata. Boże! Boże! Więc można być nadludzko szczęśliwym... Chciał krzyknąć z radości, z dumy i z zachwytu... Wierzył temu panu, pokochał tego pana, ale połykając takie oczywiste, słodkie, różowe świadectwo jego dobroci gotów był uwielbić go i pójść za nim, dokąd zechce. Wielki młody, wilczy głód oszukany tą mizerną słodyczą zachwycił się wzruszonym zachwytem. Nigdy jeszcze nie jadł czegoś równie smakowitego, czegoś równie cudownego. Żaden z jego przyjaciół i kolegów nie jadł nigdy takich wspaniałości. Nie uwierzą mu, gdy im opowie, zresztą nie potrafiłby im powiedzieć tego, bo chyba żaden człowiek nie umiałby wypowiedzieć tej niebiańskiej rozkoszy.

Ktoś idzie... Ignasz sprężył się i zamienił cały w słuch. Trzasnęły jedne drzwi, gderliwie zaskrzeczały drugie. Ukrył szybko okruszynę w papierku, papierek wetknął w kieszeń i przygotował się do ucieczki jak pies na obcym podwórku.

— To ja, chłopcze! — usłyszał miły głos i aż westchnął uspokojony.

Siwy, uśmiechnięty pan spojrzał na niego z rozrzewnieniem, zapaliwszy elektryczną lampkę. Pokazał mu jakieś pudełko i zasmakowawszy w nieporównanym dowcipie zapytał:

— Jak pan myśli, panie Ignacy, co jest w tym pudełku?

— Nie wiem — odrzekł cicho chłopiec.

Raczek zmrużył szelmowsko lewe oko i strojąc niezwykle miny, otworzył pudełko.

— To są buty! — zawołał triumfalnie. — Buty dla pana dobrodzieja... I skarpetki też są... I też dla pana dobrodzieja. Już nie będzie nam zimno i będziemy wyglądali wspaniale. Dawaj nogę, najpierw prawą...

Przykląkł i zaczął odziewać sine, obłocone, odrapane i poranione nogi chłopca, który pochylił nisko głowę i przerażonym wzrokiem patrzył na niezmierne swoje szczęście. Pan Raczek śmiał się głośno, strasznie rad.

Nagle drgnął i spojrzał na swoją rękę, na której nagle poczuł ciepło.

— Chłopcze! — rzekł groźnie — jeżeli będziesz płakał... jeżeli będziesz płakał... to jakże ja ci... jakże ja ci zawiążę te przeklęte buciska?...

III

Pan Raczek jednym dmuchnięciem zmiotł dawne plany i powziął nowe, olbrzymie i niezwykle: zamiast papierowego domku postanowił wybudować mocny i niewzruszony gmach. Ten chłopak zapadł w jego serce. Upadły na nie szczęśliwe, pełne miłości i wzruszenia łyzy dziecka. Przeto pan Alojzy Raczek nie pozostawi go teraz na ulicy obdarowawszy butami. Ten chłopiec — miły i ładny, rozgarnięty i uczciwy, głodny i odarty — wart jest czegoś więcej niż mizernej pary butów.

Siedzieli przy sobie, a chłopiec opowiadał o sobie małymi, niezgrabnymi słowami. Miał już rok czternasty, nazywał się Ignas Olecki. Stracił najpierw ojca, kiedy miał szósty rok. Ojciec zginął w wojnie dwudziestego roku; zaledwie go sobie przypomina. Matka umarła sześć lat później, do cna wymęczona pracą na życie i na jego wychowanie. Nikt nie był dla mego lepszy na świecie, niżli była matka. Teraz to pan Raczek jest taki dobry. Matkę zabiła gruźlica wezwawszy do pomocy głód i nędzę, bo mimo wysiłków zarabiała mało i musiała żywić jeszcze własną matkę, babkę Ignasia. Uczyła go sama i posyłała do szkoły. Uczył się pilnie, bo chciał nauczyć się jak najwięcej. Kiedy matka umarła, podawano go sobie z rąk do rąk; krewni matki, bo ojciec krewnych nie miał, karmili go — każdy przez czas krótki — potem jeden odsyłał go drugiemu. Przez czas niejaki mieszkał we Lwowie, potem w małym miasteczku podgórskim, gdzie wydobywają naftę. Z nauką było coraz gorzej: uczył się dorywczo, nigdy jednak nie miał potrzebnych książek. W ten sposób wałęsał się niemal przez trzy lata. W ubiegłym roku oświadczył mu krewny matki, że on sam i jego dzieci nie mają co jeść i że nie może go chować dłużej w ciasnym domu. Dano mu trochę pieniędzy i list do jednego pana w Warszawie, który kiedyś obiecał jego matce, że mu nie da zginąć. Przybył z tym listem do Warszawy równo w dwa tygodnie po śmierci tego pana. Nie wiedział, co z sobą począć. Do krewnych nie miał po co wracać, w Warszawie czekała go rozpacz. Przytulono go u jakichś biednych ludzi na Starym Mieście, którzy dzielili się z nim ostatnim kawałkiem chleba. On wszystko czynił, by czasem kęs tego chleba przynieść im: czasem używano go do posyłek, czasem zarobił parę groszy w jakiś przemyślny sposób. Nieszczęsne te grosze zanosił owym biedakom, takim nędzarzom jak i on. Wreszcie jął się sprzedawania gazet i zrobił wielką karierę, bardzo bowiem rzadko zdarza się dzień, aby nie miał nawet kawałka chleba. A na schodach spał dlatego, że u owych biedaków na Starym Mieście jest przeraźliwy tłok, jedenaście

osób nocuje w jednej izbie i płacą za to ciężkie pieniądze: dziesięć groszy za nocleg na tapczanie, pięć za nocleg na podłodze, a trzy grosze za miejsce na podłodze koło drzwi, bardzo niewygodne, bo często w nocy ktoś nastąpi śpiącemu nogą na twarz. Dlatego tak tanio. On korzystał z tego miejsca darmo, ale jak długo nie ma jeszcze mrozu, woli przespać się gdzie indziej, choćby na tych redakcyjnych schodach. W lecie jest świetnie, ale teraz to coraz gorzej i niedługo trzeba będzie wracać do owego “hotelu” na Starym Mieście. Zima jest dlatego najstraszniejsza. Ale to nie! Teraz, kiedy ma buty, przedłuży swój sezon sypiania na wolności, bo w nogi zawsze najbardziej zimno. Czasem tak mu drętwiały, że nie mógł podnieść się i wtedy płakał. O czapczkę walczył tak bardzo dlatego, że ją kupił za cenę trzydniowego głodu. Jakże może być gazeciarz bez czapki? Ale ma i czapkę, i buty, i jest taki szczęśliwy jak nikt na świecie. Nic mu bieda nie robi, bo się jej wcale nie boi. Przetrzył najgorsze, a może kiedyś dostanie posadę gońca albo zostanie chłopcem w sklepie. Czytał przecież w gazecie, że jeden amerykański milioner taką samą jak on cierpiał biedę, potem sprzedawał zapalki, potem gazety, a teraz jest potężnym człowiekiem.

Ignasz uśmiechnął się ślicznym, dziecięcym uśmiechem do swego marzenia, a pan Raczek rozmyślał i mówił do swojego serca:

— Nie ma większej zbrodni na świecie niż niedola dziecka. Cóż zawinił ten chłopczyzna, co ma jasną duszę i jasne oczy, że go kasa chłód, a głód zabija? I jakże ja mogę na to patrzeć, stary sybaryta, najedzony, ubrany i wyspany? Zastanów się pan, kochany panie Raczek! Jeśli tego rozkosznego chłopca zostawisz na ulicy, Pan Bóg ci tego nie przebaczy i ty sam sobie tego nie przebaczysz. To biedactwo sto razy zmarnieje, zanim zostanie milionerem. O drogi chłopcze! Gdzie twoje miliony?... Milion nędz, to prędzej się zdarzy... Ale jest taki jeden pan Raczek, co ciebie nie opuści. Jest sam na świecie, a choć niedołęga i może trochę pomyłony, ale w gruncie rzeczy niezły chłop. Po tym, co mu opowiedziałeś, już ciebie nie opuści! Jakoś się tam podzielimy... Łgarstwo to jest ponure, że opływam w dostatki, ale prawdą jest, że chleb rozmnaża się za boską sprawą, więc i mój chleb wyrośnie i ciebie nakarmi. Słowo daję, że to ładnie pomyślane! Panie Raczek, niech pan. przyjmie serdeczne powinszowania: udało mi się pan i jestem z pana zadowolony... Jak on ślicznie patrzy, ten smyki Patrzenie państwo: pan Lepajłło powie, że stary wariat znalazł młodego wariata, bo ten pan Ignacy uśmiecha się jak pan Alojzy! Nie, chłopczku, z takim uśmiechem nie zginiesz, bo ja na to nie pozwolę. Jeżeli umiesz się uśmiechać, to znak, że masz uczciwe serce. Zły człowiek nie umie się śmiać, choćby nie wiem jakie gutaperkowe sztuki robił z fizjonomią. Jesteś dobry i uczciwy! Szkoda tylko, żeś trafił na takiego

kompana, jakim jestem ja, ale w braku laku dobry i opłatek. Pójdiesz tedy ze mną, panie Ignacy, bo ja nie pozwolę, aby dzielny chłopiec marł z głodu i spał na schodach. Sprytny to ty jesteś, bo znamy się krótko, a tyś już zawojował takiego twardego jak ja człowieka, nie myśl jednak, że będziesz rządził Alojzym Raczkim! Przyjaźń przyjaźnią, ale na żadne sentymenty nigdy sobie nie pozwalałem i nie pozwolę!

W tym miejscu Raczek uczynił groźną twarz, aby tym dobitnie i podkreślić twardą nieustępliwość serca. Mina była dość przeraźliwa — tak że chłopak, nie wiedząc o czym jego dobroczyńca tak długo rozmyślał, spojrział na niego z przestachem. Twardy Raczek zmiękł wobec tego czym prędzej i roześmiał się głośno.

— Postanowiłem, że od dnia dzisiejszego zostaniesz przy mnie... Co mam, tym się z tobą podzielę, ale ci zapowiadam, że jeśli mi tu będziesz urządził sceny i będziesz mi dziękował, rozejdziemy się natychmiast, Czego tak patrzysz, jakbyś zgłupiał? Cóż w tym nadzwyczajnego, że jeden człowiek poratuje drugiego? Oddasz mi, kiedy będziesz miał... Co tu dużo gadać!

— O Boże! — szepnął chłopiec.

— Nie wzdychaj, nie bucz i nie mrucz, bo mnie zgneviasz, a tego nie wiesz, jaki ja potrafię być w złości!

— Czemu pan to wszystko czyni? — zapytał Ignas drżącym szeptem.

— Bo mi się tak podoba — odrzekł wesoło Raczek. — Czemu to czynię? — powtórzył zakłopotany. — Ach, zapomniałem ci powiedzieć! Zdaje mi się, że znałem twego ojca.

Ignas spojrział na niego tkliwie, a panu Raczkowi wydało się, że się chłopiec uśmiechnął.

“Zdaje się, że mi nie dowierza — pomyślał Raczek. — On jest za mądry na takie kiepskie łgarstwa”.

By pokryć kontuzję, wpadł od razu w wielką wesołość.

— Chodźmy — mówił szybko. — Po drodze objaśnię ci, jakich należy użyć sztuk i bardzo złożonych zabiegów, by móc spokojnie zamieszkać u Alojzego Raczka. Czy wiesz o tym, że ja się tak nazywam?

— Nie wiedziałem — odrzekł chłopiec. — Teraz wiem: pan Alojzy Raczek. To śliczne nazwisko. Imię też bardzo ładne.

Raczek spojrział szybko na Ignasia, ze straszliwym podejrzeniem, że chłopiec ośmiela się stroić żarty, ujrzał jednak rozjaśnioną wielkim szczęściem, lecz poważną jego twarz. Westchnął przeto:

— Czemu tego nie słyszy ten krwawy Lepajłło... Nic, nic, mój chłopcze... Mówiłem sam do siebie. Co się zaś tyczy mego nazwiska, nie jest ono może “śliczne”, jak ty powiadasz, ale stare jest i szanowne. Jest w nim coś rzymskiego i dostojnego. Wyobrażam sobie, że z dodatkiem Julius Caius mógł się tak zwać rycerz starożytnych Rzymian... Ale chodźmy, Ignasiu!

Droga w stronę ulicy Ciepłej była długa, Raczek bowiem albo szedł bardzo powoli, wlokąc za sobą ciężkie myśli jak żelazne łańcuchy, albo też przystawał, kiedy tajemne jego plany wymagały nieruchomej rozwagi, albo też wchodził do rozmaitych sklepików, z każdego małe wynosząc zawiniątko. Kiedy zbliżyli się do ulicy tak przytulnie nazwanej, Raczek począł objawiać żywy niepokój. Chociaż trudno było przypuszczać, aby go podsłuchiwał podstępny jakiś szpieg, nasłany przez straszliwego Lepajłłę lub innego wroga, pan Alojzy zaczął przemawiać ostrożnym szeptem, często lustrując bystrym spojrzeniem okolicę. Krajobraz jednakże wydawał się spokojny.

— Bo to, uważasz, Ignasiu — pouczał chłopca pan Raczek — sprawa z moim mieszkaniem nie jest całkowicie prosta. Odnajmuję wprawdzie pokój od pewnej pani i płacę najpункtualniej, owa jednak dama zapowiedziała mi swojego czasu, a ja podpisałem jakiś cyrograf, że gdybym kogo kiedykolwiek wprowadził do mojego mieszkania, wtedy ona “wyleje mnie na zбитy łeb”. Brutalne to wyrażenie od niej pochodzi, a ja je tylko powtarzam, i to z wielkim niesmakiem.

— Ja nie mogę robić panu przykrości — rzekł żywo Ignasz.

— Dowodzi to wielkiego taktu, mój chłopcze. Dobrze cię wychowali, co mnie niepomierne cieszy, ale nie o to idzie. Dama może sobie gadać, co się jej żywnie podoba, bo od tego jest damą, a mnie chyba wolno rozporządzać moim pokojem. Nie chcę jednak awantury i nie chcę używać przemocy, obawiam się bowiem, że nawet we dwóch nie moglibyśmy nadażyć potężnej wymowie owej damy. Tu trzeba użyć chytrłości! Muszę ci się przyznać, że przez całą drogę o tym tylko myślałem jak by cię przemycić do mojego legowiska i tak cię tam ukryć by moja gospodyni jak najdłużej nie zauważyła twojej obecności. O mieszkanie teraz trudno, dlatego taką zachowuję ostrożność.

— Och, ile pan ma przeze mnie zmartwienia — szepnęła Ignasz.

— Dajże pokój, dajże pokój! Najpierw: nie są to żadne zmartwienia, poza tym lubię wszelki hazard, niebezpieczeństwo i igranie z ogniem. Moja gospodyni nie jest wprawdzie ogniem, tylko słońiem, ale jest żywiołem w każdym razie. Będziemy więc walczyć z żywiołem! Wybornie! Co się nam może stać? Na to istnieje wielka mądrość ludzka, aby opanowała potwory i moce niszczące. Chytrność jest mądrością wtedy, kiedy wróg jest silniejszy, bardziej zapalczywy i

— że tak powiem — straszliwie pyskаты. Bądźmy przeto chytry! Pan Lepajłło, który ma też maniere słonia, poszedłby na takiego wroga wprost i burzyłby cały dom, ale ja cenię metody walki wytwornej, bez zgiełku i bez zbiegowiska. Nie znasz mnie, drogi chłopcze, ale z czasem dowiesz się, że w opinii wielu ludzi uchodzę za najchytrzejszego człowieka swojej epoki. Bądźmy przeto chytry, jak powiedziałem. Czy widzisz ten dom, który ma tak odrapaną facjatę, jak gdyby chciał z siebie zdrapać liszaje i opadający tynk? To dom, w którym mieszkam. Pierwsze okno na parterze z prawej strony. Zapamiętasz?

— Oczywiście!

— Więc uważaj: ja wejdę i zbadam teren. Jeżeli wspomniana przeze mnie osoba jest nieobecna lub znajduje się w odległej kuchni, zapalę zapalkę i dam ci znak przez okno. Wtedy ostrożnie, jak można tylko najostrożniej, wślizniesz się do mieszkania, a ja będę już stał przy drzwiach i w milczeniu wskażę ci drogę.

— A jeżeli nie będzie znaku?

— Widzę, że z tobą można iść na bój, bo jesteś przezorny.

Jeżeli znaku nie będzie, musisz czekać i albo doczekamy się sposobnej chwili, albo w ostateczności wciągnę cię przez okno, co jednakże mogłoby zwrócić uwagę rojnej ulicy i zainteresować policjanta. Zresztą to dość wysoko. Przeto, Ignasiu, stań sobie tutaj i czuj duch! Czuj duch! Ja będę chytry jak wąż, a ty bądź Indianinem. Baczość, chwila się zbliża!

Ignas patrzył rozrzewniony i rozbawiony równocześnie, jak jego najlepszy opiekun skradał się ku domowi, a zanim wszedł w bramę, zatrzymał się na chwilę i spojrzął w niebo, błagając je o opiekę.

“O, jakież to kochany człowiek ten pan Raczek” — myślał Ignas, pilnie patrząc w pierwsze okno z prawej strony.

Minęła długa chwila, a okno było ciemne.

— Nie udało się... — szepnął chłopiec.

I znowu wypatrywał oczy. Po dziesięciu minutach spojrzął przypadkiem w inną stronę i ujrzał szybkie znaki ogniste w oknie z lewej strony bramy. Zastanowił się, nie wiedząc, co to ma znaczyć. Patrzył teraz pilnie w tę stronę. Zapalka zgasła i ktoś, zapaliwszy nową, kreślił nią na czarnej tablicy mroku ogniste koła i zygzaki.

“Nie rozumiem — pomyślał chłopak. — Pan Raczek mówił najwyraźniej: »z prawej strony«”.

Nie śmiał uważać tego znaku za ów sygnał umówiony, bardzo dziwiąc się równocześnie, że w tym domu istnieje, widać, powszechny zwyczaj palenia zapalek w oknie. W tej chwili ujrzał, że ktoś otwiera okno z lewej strony i usłyszał przenikliwy szept:

— Pst... pst... Ignasiu!...

— A jednak to pan Raczek — szepnął chłopak. Skinął porozumiewawczo głową i po chwili skradał się do drzwi. Pan Raczek otworzył je ostrożnie, najostrożniej zamknął i, ujawszy w ciemności rękę chłopca, wiódł go do swojego pokoju. Zbliżył głowę do jego ucha i szepnął gniewnie:

— Wypaliłem wszystkie zapalki... Czemuś nie przychodził?

— Bo miało być w oknie z prawej strony, a było z lewej — szeptem odpowiedział Ignas,

— Co takiego? — zdumiał się Raczek półgłosem i zdławił go od razu. — Czekaj no! Ależ tak... A ja byłbym przysiągł, że moje okno jest z prawej!

— Stąd po prawej — szeptał Ignas — z ulicy po lewej.

— Masz rację... masz rację... Omamiła mnie trwoga... Ale teraz ani szeptu, ani jęku, ani westchnienia! Smok jest w domu... Usiądź sobie tutaj między piecem i szafą, a ja muszę dać znak, że jestem w domu.

Ignas wtulił się w kąt, usiadłszy na drewnianym krześle, i patrzył na dziwną komedię, którą odgrywał najchytrzejszy człowiek swojego czasu, ów lis bowiem i wąż, i Ulisses, i Zagłoba zapalił elektryczne światło, więc scena była oświetlona. Najpierw zaczął z wyraźnym hałasem chodzić po mizernym i wypłówałym pokoju, potem — dając Ignasiowi znaki mrużeniem oka i uśmiechając się porozumiewawczo — bębnił palcami po stole. Zdumiał się ów czworonóg, nie zdarzyło się to bowiem za jego pamięci, bardzo atramentem i tłuszczami splamionej, aby ów cichy i spokojny lokator zdobył się kiedy na tak żywe objawy swojego istnienia. Z sąsiednich apartamentów dochodziły jakieś stłumione odgłosy, które nagle ucichły, jakby zdumione. Pan Raczek położył palec na ustach, jak gdyby chciał raz jeszcze zakrzyknąć: “czuj duch!” i zaczął nadśluchiwać. Niezmierna jego chytrość napięła swoje diabelskie moce jak cięciwę, co zaraz wypuści strzałę w wielkie ucho tego domu. Ignas patrzył z wesołym, rozradowanym zdumieniem na miny, które stroił pan Raczek, szczęśliwy, że wyborna komedia tak cudownie się rozwija.

— Teraz słuchaj i podziwiaj! — rzekł mu pan Raczek rozanielonym spojrzeniem.

I nagle — niby beztrosko, niby tak sobie, od niechcienia, byle tylko zabawić swoją samotność, absolutną samotność, nieulegającą żadnej wątpliwości samotność — pan Alojzy zanucił;

*Jako od wichru krzew połamany,
Tak się duszyczka sta — a — rgała...*

Słowa były smutne, lecz pan Raczek śpiewał je dziarsko i ochoczo, nie zdołał jednak dokończyć śpiewania równie fałszywie, jak zaczął, bo ostatnie słowa wyrwano piosence tak, jak kolorowy ogon ptakowi.

Głos, nabrzmiały ponurym dostojeństwem i brzękiem zardzewiałego żelaza, zakrzyknął ostrzegawczo spoza drzwi zastawionych szafą:

— Panie Raczek! Tu nie opera! Czy pan słyszy?

— Cóż to? Zanucić sobie nie wolno? — pisał Raczek, z jasnym, choć cienkim niezadowoleniem.

— Idź pan śpiewać na podwórze albo pod kościół, gdzie dziady śpiewają...

— Dobrze! — oświadczył boży śpiewak. — Mogę nie śpiewać, ale nie pozwolę siebie obrażać...

Głos coś tam burknął, ale sens zginął w czeluści brzuchatej szafy.

Raczek posłał w tę stronę pocałunek od ust i podniósł nogę znak że gdyby mógł, zatańczyłby z radości. Poprzestał jednak na tej symbolicznej demonstracji i uśmiechał się do Ignasia najszczęśliwszym z uśmiechów. Teraz zaczął z nim rozmawiać na migi, a widząc, że roztropany Ignaś świetnie mu odpowiada i szczerzy zęby z nieludzkiej radości, bawił się jak dziecko. Wielka radość, łaskawa i dobroczynna, serdeczna radość — największy cudotwórca — zdjęła z jego siwego serca lat równo pięćdziesiąt. Stary człowiek, szczęśliwy, bo sierocą nędzę uczynił szczęśliwą, miał w tej chwili lat tyle, co ten chłopiec. Był młody, rozbawiony, gotów do figlów i śmiał się: oczami, sercem, trzęsącą się bródką i każdym ruchem rąk, które — starym obyczajem ludów wschodnich — zaprzęgał do gadania.

Wtem — czujny jak wódz Nakrapiany Wąż albo Srokaty Byk — złowił uchem szelest w wąwozie kurytarza. Znieruchomiał z ręką ostrzegawczo wzniesioną w górę, a Ignaś, jak przerażona wiewiórka, skulił się w dziupli pomiędzy szafą a piecem. Ciężkie kroki zachwiały domem, potem ktoś przystanął u drzwi i — widać — podsłuchiwał, wreszcie energiczne stuknięcie we drzwi roztlukło na czerepy szklaną kulę ciszy.

— Panie Raczek! Jest pan tam czy pan umarł, że tak cicho? — ozwał się głos zjeżony i szorstki jak stary koc.

— Jestem, jestem — odrzekł skwapliwie Raczek. — Co się stało?

— Nic się nie stało, tylko ja wychodzę do kina, a pan niech nie zapomni zgasić światła wychodząc. Pan sobie zbyt często urządza iluminację. Słyszysz pan?

— Słyszę, słyszę! — odkrzyknął Raczek pomyślawszy, że raczej mógłby nie usłyszeć huczącej armaty niż tego głosu.

Kiedy drzwi trzasnęły, pan Raczek wybuchnął jak petarda.

— Możemy gadać! — cieszył się rozgłośnie. — Smok poszedł do kina. Cha! cha! Pojęcia nie masz, Ignasiu, jaka to dzielna dama. Królowa Amazonek pasłaby u niej gęsi. A gdybyś kiedy ujrzał stworzenie z obliczem tak nakrapianym jak indyjskie jajo, wiedz o tym, że to jej córka. Teraz jesteśmy wielcy panowie... Wyłaż z kąta, boś nie parasol, abyś tam tkwił bez ustanku... Nie bój się! Tu obok nikt nie mieszka, bo tam jest "salon". Każdy pies zawyłby na widok tego "salonu", ale tak się ta nora zowie. Dalej mieszka jedna pani, a dopiero poza jej pokojem, od podwórka, rezyduje władczyni. Aria z "Halki" jej się nie podoba, słyszałeś? Ta kobieta nie ma duszy, a jeśli ma, to taką żelazną jak żelazko do prasowania... Bóg z nią!... Teraz do stołu, panie Ignacy. "Pomian, panie, z Odrowążą..." — to też z "Halki"... "Zjedzą sobie tę kielbasę!" — ten dodatek jest mój. Kiedy jestem wesoły, umiem z miejsca przerobić każdą arię. Siadaj, bracie, i jedz zdrowo!

Dwaj chłopczkowie, z których jeden miał siwą brodę, patrzyli z żywą radością na swoje uśmiechnięte oblicza i na poważną kielbasę. Ignas musiał raz jeszcze powtórzyć swoją smutną historię, Raczek raz jeszcze się rozrzewnił i raz jeszcze przysiągł duchowi swojemu, że tego miłego chłopczyny nie opuści. Po uczcie — zachowując przezornie ostrożność — zaznajomił go z terenem działania, pokazał wszystkie zakamarki mieszkania i wydał następujące rozkazy:

— Umyjesz, kapcanie miły, nogi i potem legniesz na posłaniu. Wezmiesz część materaca z mego łóżka i jedną poduszkę, a nakryjesz się tym szczątkowym zabytkiem, co udaje dywan. I śpij, ale cicho! Nie gadaj przez sen ani nie śpiewaj.

Gdyby kto dobijał się do drzwi, ucisz nawet serce, bo nasza dama słyszy, jak trawa rośnie albo jak mucha brzęczy. Ja teraz wyjdę, a ty zamkniesz drzwi na klucz, kiedy zaś usłyszysz, że cały dom zasnął, otwórz drzwi z klucza, abym mógł powrócić. Zrozumiałeś wszystko?

— Zrozumiałem, proszę pana.

— To dobrze. I jeszcze jedno: musisz to wszystko robić po ciemku. Moja gospodyni widzi zapewne i w ciemności, nigdy jednak do mojego pokoju nie wchodzi o tej porze. Do widzenia, dziecko kochane. Nie bój się i śpij sobie jak król, co się okrywa dziurawym dywanem. Czyś oszalał?... Co ty wyprawiasz? Mnie nikt nigdy nie całował po rękach... Ejże, panie miły, bo się pogniewam! Bądź zdrow... Bądź zdrow... Czego jeszcze?

Ignaś, nagle wzruszony, rzekł cicho:

— Niech się pan nie gniewa... Ja pana bardzo kocham.

— Przesada, przyjacielu, przesada — mówił Raczek szybko, nie mniej wzruszony od Ignasia.

— I mam prośbę... — dodał chłopiec. — Pan pewnie zobaczy w redakcji tego grubego pana. Bo ja chciałbym go przeprosić... Za tę czapkę i za wszystko... Czy ja mogę do niego napisać list?

Raczek zmrużył oczy i długo patrzył dziwnym spojrzeniem w jasną twarz chłopięcą.

— Pisz! — rzekł szybko. — Tam jest papier, atrament i pióro.

Ignaś, pomyślawszy przez długą chwilę, pisał list.

— Zaadresuj! — rzekł Raczek.

— Dobrze, proszę pana. Jak to się pisze? “Szanowny Pan”.

— Nigdy! — zaśmiał się wesoło mąż. — “Szanowny Pan” jest na nic! Cha! cha! Pan Lepajłło jest Litwinem, a co drugi Litwin, którego nazwisko kończy się na *o* i w którym sterczą dwa *ł*, jest kniazem. Wal mu: “Jaśnie Oświecony”.

— To pan Lepajłło jest księciem?

— Jest czy nie jest, pisz “Jaśnie Oświecony”. Doskonale!

List zostanie doręczony... A ty jesteś uczciwa kreatura, Ignasiu. Dobrześ zrobił, żeś to napisał, bo pan Lepajłło wart nie tylko dobrego słowa, ale najlepszego. Nie pytam, coś mu tam napisał, bo pewnie dobrze, ucieszysz zanego człowieka. A teraz gaś światło, przyjacielu, i zamknij za mną drzwi. Aj, aj, byłbym zapomniał! Boisz się myszy?

— Broń Boże!

— To bardzo dobrze, bo tu jest ich kilka, a jedna taka bezwstydna, że biega sobie po łóżku i wywraca, zdaje się, koziołki. Dzisiaj czuć w lokalu kielbasę, więc będzie wielkie zgromadzenie. Pamiętaj, abyś się nie przestraszył i nie rzucał butami.

Rzekłszy to pan Raczek, bardzo szczęśliwy, wsiąkł w noc podśpiewując sobie w duszy, równie fałszywie śpiewającej jak jej ciałodawca: “Pomian, panie, z Odrowążą, w jedno godło dziś się wiążą...”

— Ha! — krzyknął nagle niezmiernie rad.

Jakiś przechodzień odskoczył, przestraszony, potem smutno i litościwie pokiwał głową, słusznie mniemając, że odrobina litości i współczucia nie zaszkodzi człowiekowi, co głośno i bez powodu na ulicy wykrzyka.

IV

Kiedy wszedł do redakcyjnej sali, pan Lepajłło już tam siedział. Raczek przywitał się uprzejmie, co zostało umyślnie niezauważone. Raczek natomiast zauważył, że nagromadzoną w powietrzu, a promieniejącą z głowy Lepajłły elektrycznością można by łatwo oświetlić któryś z małych krajów europejskich. Na tej głowie powinna widnieć tabliczka z ostrzeżeniem: "Baczność! Wewnątrz wysokie napięcie!" Toteż Raczek miał się na baczności. Usiadł i ostrzył ołówek.

Na widnokręgu sali zahuczał grzmot.

— Panie Naleśnik! — zawołał Lepajłło.

Człowieka tak nazwanego powinni wnieść na patelni, ale wszedł on sam. Był to woźny redakcyjny, nigdy niczemu się nie dziwiący, nawykły do najprzedziwniejszych wiadomości, katastrof i krwawych zdarzeń.

— Panie Naleśnik! — grzmiał Lepajłło. — Czy może mi pan powiedzieć, gdzie się podziała z mojego biurka pierwsza kartka z nekrologu miliardera Keitha?

— Miliarder ten przecież żyje... — ośmielił się wtrącić Raczek, zadrżawszy na myśl o tej kartce, którą zdejmował miarę nogi Ignasia.

Lepajłło rozwiął ruchem ręki dym tych słów i rozmawiał tylko — wyraźnie: tylko — z Naleśnikiem.

— Nie wszystkim wiadomo, ale pan, jako inteligentny woźny, wie, że dobry dziennikarz nie czeka na to, aż komuś podoba się umrzeć, bo dobry dziennikarz ma gotowy nekrolog na wszelki wypadek. Niech pan to przy sposobności wyjaśni ludziom ciemnym i ciężko myślącym. A teraz pytam po raz drugi: gdzie jest ta kartka?

— Ja wśród szpargałów nie grzebię! — objaśnił Naleśnik szmerem znudzonej fontanny.

— Wiem o tym, wierzę panu i dziękuję. To tylko chciałem wiedzieć dla spokoju sumienia. Ja wiem, że to nie pani Pan jest poważnym człowiekiem, a nie złośliwym lemurem. Są natomiast inni, którym się zdaje, że ja to puszczę płazem.

— Czy mogę odejść? — pytał woźny.

— Niech pan odejdzie, ale niech pan będzie w pobliżu. Trzeba będzie albo zatelefonować po pogotowie, albo wynieść trupa.

— Rozumiem — rzekł bez najmniejszego zdumienia woźny.

Już był przy drzwiach, kiedy z kolei smakowite jego nazwisko wywołał Raczek.

— Słucham pana.

— Proszę ten list wręczyć, komu należy — mówił lekceważącym tonem Raczek, podając mu list Ignasia.

Stary woźny odczytał adres, skinął głową, obszedł dookoła obszerny pokój i podał list Lepajlle.

— Do pana redaktora — rzekł sennym głosem.

Lepajllo wziął list w rękę z niewypowiedzianym niesmakiem, ujrawszy zaś na kopercie promieniste słowa; “Jaśnie Oświecony” — chciał ryknąć z nagłej wściekłości, lecz się rozumnie powstrzymał pojąwszy, że nie jest to pismo tego marnego Raczka. Litery były wprawne, nadobne, lecz wybitnie młodzieńcze. Rozerwał gwałtownie kopertę i czytał. List był krótki, ale pan Michał czytał go długo, po raz drugi i trzeci. Raczek patrzył ukradkiem i zdołał złowić spojrzeniem na jowiszowym obliczu Litwina jasną smugę rozczulenia. Straszliwy Lepajllo wyraźnie zmiękł i uciszwszy swoje furie zwrócił się do Raczka:

— Czy to pan mu dyktował ten list?

— Przysięgam panu, że nie. Nie tylko nie dyktowałem, ale nawet nie czytałem.

— Więc niech pan przeczyta.

Raczek szybko przejrzał list, zalęknął gromadkę słów niezdarnych, lecz tak prostych i serdecznych, jakimi umie przemówić młodość.

— Dobry chłopak! — szepnął Raczek.

— Tak, tak — gorąco poświadczył Lepajllo rzucając spojrzenie na adres, który, nabijany brylantami owych słów “Jaśnie Oświecony”, świecił tysiącami promieni.

— To naprawdę dobry chłopiec i nie jego wina, że się dostał w złe towarzystwo... Czego pan się drze? (Raczek wcale “nie darł się”). Mówię, bo mam z panem kilka niezłatwionych rachunków. Ale na wszystko będzie czas! Teraz powiedz pan, szybko i krótko, co jest z tym nieszczęsnym chłopcem? Gadajże pan, do licha! Na co pan czeka?

— Czekam, aż pan skończy — rzekł dobrotliwie Raczek. — Już dobrze, dobrze! Uprzedzam pana, że jeśli pan będzie chwycił za lampę, dam się zabić, a słowa nie powiem.

Powiedział jednak wszystko, a mówił z tak rzewnym wzruszeniem o dziecięcej niedoli, że Lepajllo też się wzruszył ponad zwyczajną miarę, a co ptak objawia śpiewem, a poeta wierszem, cichym jak westchnienie, on objawił sapaniem, mrużeniem i łapaniem własnych palców, mocno

trzaskających. Czasem wydał okrzyk: “O, biedaczyna!” — albo — “Boże, ile jest na świecie niedoli!” — i znowu słuchał krótkiej, lecz cudownie miłosiernej opowieści Raczka.

— Dobrze pan zrobił! — zakrzyknął wreszcie. — Bóg niech panu nagrodi najlepiej rozumem, bo tego panu najwięcej potrzeba. No! no! bez obrazy... ale serca nie potrzebuje panu dawać... Uściskałbym pana, gdybym się nie brzydził... Czego się pan. znowu śmieje? Aha! A z tą pana gospodynią należy zrobić koniec w krótkiej drodze. Zapowiadam panu, że jeśli zechce tego chłopaka wyrzucić, wtedy ja, Michał Lepajłło, podpalę jej budę, a ją cisnę na węgle.

— To zły pomysł — wtrącił Raczek. — Bo gdzież my wtedy zamieszkamy?

— Jak to gdzie? — wrzasnął Lepajłło. — Rozumie się, że u mnie! Znowu się pan śmieje? Słuchaj pan, panie Raczek! Nie chcę panu robić krzywdy ze względu na tego chłopca, ale jeśli pan każde moje słowo będzie ścigał swoim zaśniedziałym śmiechem, to i ten dobry chłopak pana nie ocali. Czy pan słyszy?

— Nie tylko ja słyszę, ale na ulicy już także musi być zbiegowisko.

Pracowali tej nocy w miłej zgodzie ku wielkiej radości niebios. Czasem jeden zagadał do drugiego, najczęściej zaś Lepajłło pytał o jakiś szczegół dotyczący Ignasia. Zajął się nim żywo, z całą swoją serdeczną popędliwością. Na Raczka spoglądał z nieukrywaną ciekawością i niemalże łaskawie, a ponieważ tej nocy wcześniej wychodził, byłby się z nim pożegnał po chrześcijańsku. Żłudne jednakże są wszelkie obliczenia ludzkie. Około północy zakrzyknął pochylony nad korektą Raczek:

— To niesłychana lekkomyślność!

Łaskawie nastrojony Lepajłło wdał się w rozmowę.

— Co się stało? — zapytał pykając z fajki.

— Czytam właśnie — mówił z ferworem Raczek — ile kartofli produkuje się na globie ziemskim. Cyfra jest wielka, niezmierna, straszna!

— Ach — mruknął Lepajłło — kartofle!

— Niech pan tak lekceważąco o tym nie mówi. Kartofle, kartofle! Ja cokolwiek głębiej patrzę na tę sprawę i zrobiłem sobie na boku małe obliczenie. Niech pan słucha: kartofle zaczęły robić swoją karierę światową w drugiej połowie siedemnastego wieku, a teraz mamy wiek dwudziesty. Rozumie pan?

— Dawno to zauważyłem, że to wiek dwudziesty. I cóż z tego?

— To z tego, że produkujemy kartofle prawie od dwustu lat. Ileśmy ich wyprodukowali?

— Diabli wiedzą!

— Otóż to: “diabli wiedzą”! Ale rozumny człowiek może obliczyć, że miliardy kilogramów. A teraz pytam pana: gdzie się podziewają od dwustu lat obierzyny z tych miliardów kartofli?

— Hę? — zdumiał Lepajłło. — A na cóż panu ta wiadomość?

— Na co? Zaraz się pan dowie! Otóż twierdę, że człowiek jest lekkomyślną, najlekkomyślniejszą małpą na świecie. Wyrzucał te obierzyny, gardził nimi, zapełniał nimi śmietniki, bo mu było dobrze, bo miał co jeść i miał za wiele tego jedzenia.

Ale gdyby był pomyślał o dniach głodu, o czarnej przyszłości i o kryzysie, mógłby był gromadzić przez wieki niezmierny zapas świetnego pokarmu, przechować go w olbrzymich chłodniach i śmiałyby się dzisiaj z głodu i z nędzy. Teraz miałby obierzyny w niezmiernej ilości, piramidy obierzyn, góry smacznych łupin, które każdy mógłby sobie brać i jeść do woli.

Teraz pan rozumie, dlaczego mi wstyd za lekkomyślność człowieka. Czego pan na mnie tak patrzy?

Raczek zapytał o to słusznie, gdyż Lepajłło wygramolił się spod straszliwej góry łupin kartoflanych i miał w oczach krwawe zdumienie.

— Dość! — krzyknął uderzywszy pięścią w stół. — Dość, bo nie wytrzymam! Człowieku, dość! I na Boga, niech mi pan powie... Panie Raczek, niech mi pan powie: czy pan udaje tylko wariata, czy pan jest naprawdę pomyłony?!

W taki to sposób umarła przyjacielska pogoda tej nocy, co jednak na kartoflanym ekonomicie nie uczyniło wielkiego wrażenia. Kiedy wzburzony Lepajłło trzasnął drzwiami, Raczek począł pracować z niezwykłym pośpiechem i już po dwóch godzinach zdążył ku domowi.

“Czy go tam nie przyłapali?” — myślał niespokojnie.

Dom jednak spał poczciwie wraz ze swoim nowym, niezameldowanym lokatorem. Uczynił sobie misterne posłanie i żaden król nie spałby nigdy smaczniej na edredońskich puchach⁷ niż on w kąciku, pod milczącą strażą dwóch olbrzymów: pieca i szafy. Raczek przyjrzał mu się z rozczuleniem, uśmiechnął się zadowolonym uśmiechem i legł na łożu. Po chwili już śniło mu się, że tępy nożem obiera skórę z niezmiernego kartofla, a kartoflem jest Lepajłło.

Czujny jednak jak żuraw obudził się około ósmej, kiedy dom otwierał zaropiałe oczy i rozpoczynał swoje chuderlawe, umęczone życie. Ignas już nie spał. Wymienili milczące znaki

⁷ E d r e d o Ń s k i p u c h — cenny puch specjalnego gatunku kaczek (tzw. edredonów) żyjących na Północy.

spiskowców, po czym Raczek szeptem pouczył chłopca, co ma uczynić. Teraz ukryje się w szafie, bo do pokoju przyniosą śniadanie. Po śniadaniu Ignas musi zwiać, bo podczas porannego rozgardiaszu łatwo będzie prześliznąć się przez mroczną katakumbę przedpokoju. Spotkają się na obiedzie i wtedy omówią ściśle plan żywota.

Napoleońskim zdolnościom strategicznym Raczka zawdzięczać należy, że wszystko odbyło się wedle rachuby i roztropnego przewidywania. Ignas znikł jak Indianin, a brodaty wódz odpoczywał jeszcze w łóżku zajęty rozmyślaniami na tematy wieczyste, co go usposobiło sennie. Spał ze dwie godziny, aż z krainy wzniosłych marzeń przywołano go na padoły gwałtownym dobijaniem się do drzwi. Rzeźwością poranka napełniony głos gospodyni obwieścił niesłychaną wiadomość, że do pana Raczka przyniesiono paczkę i list.

— Tu nie hotel — dodał kosmaty głos — a ja nie jestem portierem. Niech pan sobie sam odbiera swoje posyłki. To mogą być kradzione rzeczy, a ja nie chcę mieć do czynienia z policją. Czy pan śpi, czy panu mowę odebrało?

— Mnie? Nie! — krzyknął Raczek. — Ale gdyby się to zdarzyło w tym domu...

Nie dokończył, bo się zatrwożył własnej odwagi. Najpierw przeczytał list. Na kopercie było jego nazwisko, list jednak zaczynał się impertynenckim okrzykiem:

Panu Raczkowi listu tego czytać nie wolno! Oddać go natychmiast Ignasiowi Oleckiemu!

— Lepajłło! — zaśmiał się Raczek.

Wytwornym stylem, używanym w listach dyplomatycznych, pan Lepajłło oświadczał, że nie tylko nie żywi do Ignasia urazy lecz przeciwnie: rad by nawiązać z nim bliższą znajomość. A na znak przychylnej przyjaźni — wiedząc, że Ignas znajduje się: “w przejściowym, zapewne, przykrym położeniu” — prosi go o przyjęcie swojego ubrania, które, odpowiednio przerobione, może okazać się pożyteczne. List kończył się strasznie pocziwymi słowami i podpisem tak zamaszystym, jakim okrutni królowie podpisywali wyroki śmierci.

Miły uśmiech Raczka zmienił się jednakże w śmiech rozgłośny szaleńca, kiedy z osłony żółtego papieru wydobył podarunek Lepajłły.

— Och! Och! — zakrzyknął.

Był to stary, na stu weselach wysłużony frak, w który mogło się odziać dwóch najmniej nowożeńców. W otchłannej czeluści spodni Ignas mógł się ukryć cały, jak Achilles⁸ w namiocie, a za lat pięćdziesiąt, gwałtownie się odżywiając, mógłby skorzystać z ich połowy.

— Zwariował jaśnie oświecony Lepajłło z tym jaśnie wyświeconym frakiem! — cieszył się Raczek.

Na jego radość spadł po chwili krwawy sęp.

— Woźny z redakcji do pana! — zagrzmiała ze słusznym już gniewem jerychońska trąba głosu. — A od jutra niech pan sobie sprawi lokaja, aby rozmaitym rzezimieszkom otwierał, bo ja nie będę! Tu nie komisariat, aby był ciągły ruch. Słyszysz pan, panie Raczek?

To “panie Raczek” zostało z namiętą uszczypliwością pomazane pogardą jak zawieszistą smołą, więc już nie odpowiedział wzniosłszy jedynie jasne oczy ku powale, aby tą drogą spojrzeć w niebo. Potem, pogadawszy z woźnym, dowiedział się, że jest wezwany na godzinę dwunastą do naczelnego redaktora. Zatrokał się bardzo i zaczął przypominać sobie gwałtownie, jakie zbrodnicze mógł strzelić głupstwo przy swojej korekcie? Zdarzyło mu się już raz, że w damskim jednym artykule zalecającym pożywe obiady — “sandacz z jajem” zmienił w “sandał z jajem”, czego czytelnicy ani ugotować, ani tym bardziej strawić by nie mogli. Wczoraj wiódł z tym litewskim straszliwcem gwałtowną rozprawę o tanim wyżywieniu ludzkości, być więc może, że w podnieceniu nie dojrzał jakiegoś skandalicznego błędu. Skóra na nim ścierpła, a serce poczęło uderzać niespokojnym rytmem. Z pewnością jakaś awantura. Ten Lepajłło doprowadzi go wreszcie do zguby...

Strach wiódł go pod rękę, kiedy wchodził do gabinetu naczelnego redaktora i nie śmiał spojrzeć w oblicze swojego pracodawcy. Czeką gromu spoza grubych szkieł dostojnika. Czuł, że wszystkie sejsmografy⁹ świata zapisują teraz wielkie trzęsienie jego nóg, w które — odwiecznym zwyczajem — schodzi załękła dusza... Coś się jednak dzieje dziwnego. Pan redaktor nie ciska w niego lampą ani krzesłem, lecz długo na niego spogląda, czemuś się dziwi, czymś się trapi i wreszcie zaczyna łagodnym głosem:

— Mówił mi pan Lepajłło...

⁸ Achilles — słynny z odwagi bohater “Iliady” Homera.

⁹ Sejsmograf — niezwykle czuły przyrząd rejestrujący drgania skorupy ziemskiej.

“Jednak to Lepajłło!” — jęknął Raczek w przepaściach ducha i uczyniło mu się smutno, że ten człowiek, którego — mimo śmiesznych zwad — lubił i poważał, oczernił go przed przełożonym.

— ...że pan przygarnął jakiegoś biedaczynę. Wpadł do mnie dzisiaj, nieomal o świcie, i narobił straszliwego krzyku, już nie prosząc, ale żądając, i to morderczym tonem, abym panu z tego powodu podwyższył gażę. Straszną godzinę przeżyłem dziś przez pana i gdybym tak nie lubił tego Litwina, jak go lubię, doszłoby do bitwy między nami. To prześmieszny człowiek i bardzo zacny człowiek. On pana bardzo kocha...

Wielki głaz dawno już spadł z udręczonego serca Raczka.

Słów redaktora słuchał z zachwytem, a zjawa Lepajłły stanęła przed jego oczyma w promienistej aureoli.

— Słyszałem, że się wciąż kłóćcie — mówił redaktor — tymczasem widzę, że rzecz wygląda zgoła inaczej.

— Takie sobie wesołe igraszki — bąknął Raczek.

— Czy pan go prosił o wstawiennictwo?

— Nigdy w życiu! — zawołał Raczek z wielką mocą.

— I ja tak sądziłem. Pan Lepajłło chciał mnie zarżnąć z własnej inicjatywy — śmiał się redaktor. — Ale co ja z panem zrobię? Jakże pan nakarmi tego małego chłopaka, czym go pan odzieje? Znam tę historię ze szczegółami i trudno mi ganić pana za dobre serce, stary szaleńcze. Czasy są jednakże ciężkie, panie Raczek...

— Pan Bóg łaskaw — wygłosił Raczek z lęklwym uśmiechem.

— Co ja zrobię, co ja zrobię? — mówił redaktor, jak gdyby do siebie. — Może by z tego chłopca zrobić gońca albo użyć go do pomocy w drukarni?

— O, nie! — rzekł żywo Raczek — To strasznie zdolny chłopak, ja go będę posyłał do szkoły.

— Do szkoły? Ale za co?

— Będę oszczędzał... Nie będę jeździł tramwajem, nie będę palił papierosów...

— Hal To pańska sprawa — rzekł redaktor. — Pan Lepajłło miał słuszność, kiedy mówił o panu... A ja chciałbym panu pomóc... Prawdę mówiąc: czynię to raczej ze strachu przed Lepajłłą, a nie w tym celu, aby mi pan dziękował, więc niech pan tego zaniechał. I niech mi pan powie: czy pięćdziesiąt złotych podwyżki wystarczy?

— O Boże! — jęknął Raczek z wielkiego szczęścia.

Chciał śpiewać z nieludzkiej radości wyszedłszy z gabinetu redaktora, zaniechał tego jednak, gdyż ulubiona aria: “Jako od wichrów krzew połamany...” — nie była odpowiednia na chwile radosne i szczęśliwe.

— Ach, ten Lepajłło, ten Lepajłło! — gadał w głos do siebie. — Kryształ, nie człowiek! Dajże mu, Panie Boże, zdrowie! To jest przyjaciel, to jest kolega...

— Co pan mówi? — zapytał sekretarz redakcji.

— Mówię, drogi panie, że najlepszym człowiekiem na świecie jest Michał Lepajłło.

— To dziwne! — zaśmiał się sekretarz. — Lepajłło był tu dziś rano i obwieścił całej redakcji, że panu ręki nie poda, bo uważa pana za szkodliwego pomyleńca, który chce karmić ludzkość łupinami z kartofli. Co to znowu za historia z tymi kartoflami?

— Et, niewinna historia, mówić nie warto...

Raczek zdążył krokiem tanecznym ku swojej jadalni, miłym spojrzeniem każdego pozdrawiając przechodnia.

U wejścia stał już Ignas jak ułan na pikiecie¹⁰ i dojrawszy swego patrona, podskoczył ku niemu z takimi objawami radości, jak gdyby syn witał dawno niewidzianego ojca; potem wzięwszy się pod rękę wkroczyli do garkuchni. Zgłodniały wędrowiec na Saharze poczułby ją powonieniem z odległości stu kilometrów. Podróżnik podbiegunowy, zjadłszy już wszystkie psy i podeszwy od butów, zawahałby się, zanim zjadłby cokolwiek w tej znakomitej jadalni, której nie trzeba było szyldu ani reklamy, każda bowiem potrawa oznajmiała się sama krzykliwym zapachem. Ani Raczek, ani Ignas nie byli wybredni. Wybredność w jedzeniu nie jest cechą ludzi wzniosłego ducha; Sokrates swojego ducha karmił czosnkiem, który nie jest potrawą bogów. Toteż, kiedy Ignas czynił wilcze ruchy, aby pogryźć jakąś twardość, Raczek zapytał go dobrotliwie:

— Czy masz słabe zęby, Ignasiu?

— Nie — odrzekł wygłodzony Ignas — ale tego rozgryźć nie mogę.

Okazało się przy bliższym badaniu, że był to kawałek postronka wyborną sztuką kucharską ukrytego w siekanym mięsie.

— Zarżnięto krowę i zapomniano zdjąć z jej rogów postronek — oświadczył Raczek. — Rzeźnicy bywają roztargnieni...

¹⁰ P i k i e t a — dawne określenie placówki lub czujki w wojsku polskim.

Udali się potem na włóczęgę w bladym, jasnozłotym słońcu a przysiadłszy na ławce w Łazienkach rozważali głębokie sprawy. Ignas dostał wypieków na wieść, że jest właścicielem fraka, i podniecony słuchał mądrych planów Raczka.

— Frak pójdzie na szmelc i zostanie sprzedany po długich targach, a pan Ignacy pójdzie do szkoły. Nie będziesz, brzdącu jeden, zbijał bąków! Chcesz się uczyć?

Ignas odpowiedział zachwyconym spojrzeniem, nie umiając znaleźć najcudowniejszego jakiegoś słowa.

— To nie będą żarty! — dodał Raczek ostrzegawczo, — Ja w tych sprawach żartów nie znam.

Słowa te wyszczerzyły zęby jak krwawe buldogi, chłopczyna jednak wcale się nie przeraził, zachwyty bowiem tak go napełnił całkowicie, że na strach nie było już miejsca w małym ciele. Zwiastunem tego zachwyty był okrzyk:

— Pan jest najmądrzejszy na świecie! O, ile lat pan musiał się uczyć!

— Ukończyłem parę uniwersytetów... — rzekł Raczek niedbale.

Pomyślawszy jednak z rumieńcem na sercu, że jest niegodnym łgarzem, dodał szybko:

— O ile sobie przypominam, że dwa... ze trzy... Coś około tego... Ale mniejsza o mnie! Ciebie trzeba posłać do szkoły...

— Jak ja się panu...

— Nie kończ! Będziesz miał czas dziękować, kiedy dojdiesz do czegoś. Nie myśl zresztą, mój Ignasiu, że ja to robię bez odpowiedniej kalkulacji. Hol ho! Na mądrzejszego trafiłeś, niż to sobie wyobrażasz... Bo to... widzisz, chłopcze, ja sobie myślę tak: podzielisz się, panie Raczek, kawałkiem chleba z panem Ignacym, a za to kiedyś pan Ignacy podzieli się z tobą. Ja jestem chytry lis, mój drogi! Więc nie ma za co dziękować, nie wiadomo bowiem, kto komu będzie więcej zawdzięczał. To, co robię, to doskonały interes, ale dla mnie.

Nie krępuj się, Ignasiu. W odpowiednim czasie za te wszystkie nędzne mizerności, które ode mnie otrzymasz, ja ciebie, panie miły, obedrę ze skóry. Prawdę mówiąc, to mi cię szczerze żal...

Ignas nieśmiałym ruchem położył rączynę na wyschniętej, żylastej ręce starego człowieka, a na drugiej jego ręce ułożyła — się złota, słoneczna, ciepła plama jak złoty liść jesienny, a on rozważał w dobrym sercu, co mu większą sprawia pieszczotę: czy ten pocałunek ręki dziecięcej, czy pocałunek słońca? Więc dodał cicho:

— Ot, gadam, aby gadać... Nie zwracaj na to uwagi, mój chłopcze... Podzielę się z tobą wszystkim, bo jesteś sierota... No i ja jestem sierota...

— Czy pan nie ma nikogo na świecie? — zapytał cicho Ignas.

— Nikogo... Nikogo...

Słowa te upadły tak cicho jak dwa liście oderwane od gałęzi.

— Od wielu lat jestem sam — mówił Raczek, jakby serdecznie się zwierając. — Czasem nie mam do kogo zagadać, a nie ma gorszego nieszczęścia dla siwej głowy jak samotność.

Zresztą, co tam głowa! Siwe serce nie może być samotne...

Pragnie przytulić się, pragnie ogrzać się, bo chłód coraz większy na nie pada, pragnie uśmiechnąć się, a dokoła jest pustka. Samotność jest straszną rzeczą. Niech nas Bóg chroni przed nią... Dlatego nie opuszczaj mnie, chłopcze... Nigdy mnie nie opuszczaj...

Oczy Ignasia napełniły się zdziwieniem... Przecież to on powinien na kolanach błagać, aby go ten dobry stary człowiek nie opuścił, a ten stary człowiek jego o to prosi.

— Ja nigdy pana nie opuszczę! — rzekł szybko.

— To dobrze, to dobrze!... — szepnął Raczek i jakby chcąc rozwiać wzruszenie zaśmiał się niepewnie. — Ale my sobie gadamy niestworzone historie, a nikt z nas nie pomyślał, jak się dzisiaj dostać do naszej jaskini strzeżonej przez smoka.

— Widziałem dziś indycze jajo! — rzekł Ignas z nagłym ożywieniem.

— Co takiego widziałeś? — zapytał Raczek ze zdumieniem.

— Indycze jajo. Pan tak przecież mówił o córce gospodyni.

— Aha! Rozumiem... mówisz o piegowatym pisklęciu smoka. Jakże to mogłeś ją widzieć?

— To tak było: kiedy wymknąłem się dzisiaj rano, spotkałem w bramie taką małą dziewczynkę, bardzo nakrapianą, która niosła bułki. Spojrzała na mnie podejrzliwie i pyta: “Z których ty drzwi wyszedłeś?” A ja jej na to: “Z żadnych drzwi nie wyszedłem, bo ja tu szukam jednego pana...” “Jakiego pana?” —powiada ona i widać, że mi nie wierzy. “Pana Lepajły!” — odpowiedziałem, bo mi właśnie przyszedł na myśl. Wtedy ona roześmiała się i powiada: “Takiego tutaj nie ma, bo tu nie menażeria!” Głupia, proszę pana, czy nie?

— Ona głupia, a ty zdrowo łągałeś. Teraz jednak musisz dobrze uważać, bo dziewczyna ma piegi na obliczu, ale nie na oczach. Zobaczy cię, narobi krzyku, i koniec z nami. Czuj duch, Ignasiu! A teraz chodźmy. Ja pójde zasięgnąć języka w sprawie twojej szkoły, a ty z nastaniem

ciemności bądź przy bramie domu. Udało się raz, uda się drugi raz — zanim będę miał odwagę pogadać z gospodynią.

Do rozmowy doszło wbrew wszelkim spodziewaniom tego dnia jeszcze.

Powtórzywszy wszystkie chytre podstępny z wczorajszego wieczora i nakarmiwszy Ignasia, Raczek poszedł do pracy. Zaostrzył ołówek jak harpun, na który za chwilę zacznie nabijać czarne mątwy błędów, i czekał na pierwsze korekty; wonczas wszedł Naleśnik z oznajmieniem, że pana Raczka wzywają do telefonu. Ponieważ nie zdarzało się to nigdy, Raczek poczuł bicie serca jak jego dziadkowie na widok telegramu. Usłyszawszy głos, Raczek zadrżał.

— Indycze jajo! — szepnął ze strachem,

Dziewczynka telefonowała z apteki, aby pan Raczek natychmiast powracał do domu, gdyż w jego pokoju schwymano młodego rzezimieszka.

— ...Mama kazała panu powiedzieć, że to pewnie pański współnik, bo on gada, że pan go zna. I że zaraz przyjdzie policja!

— Boże drogi! — jęknął zrozpaczony Raczek.

Kiedy wpadł do domu, wpadł zaraz w niezmierny gniew.

W piekielnym mieszkaniu był piekielny krzyk i harmider.

Ignas, z wielkim przerażeniem w oczach, siedział na krześle, przywiązany do jego grzbietu postronkiem używanym do suszenia bielizny. Stróż pilnował drzwi. Gospodyni wołała wniebogłosy, że pan Raczek ukrył u siebie mordercę, który miał ją w nocy zarznąć kuchennym nożem. “Indycze jajo” bulgotało indyczą modą przeraźliwe historie;

— ...Ja go już dzisiaj rano widziałam, jak chodził na przespługi. On tu już musiał być poprzedniej nocy... Nie bój się, mamusiu, bo jego i tak powieszają... Taki mały, a już taki zbój!

— Nie zbliżaj się — krzyknęła mamusia — bo cię jeszcze ugryzie! O! Jest pan nareszcie! Będzie pan miał ładny bał, panie Raczek!

Raczek po raz pierwszy w swoim życiu ryknął. Dosłownie ryknął. Z lewego oka cisnął piorun na gospodynię, piorunem z prawego stłukł “indycze jajo” i wydając z siebie głos lwi, rozrywał więzy Ignasia.

— Policja! Policja! — wrzasnęła gospodyni.

— Cicho pani bądź! — krzyknął Raczek tak gromko, że gospodyni umilkła śmiertelnie zdziwiona, że z owego chudzielca mógł wydobyć się głos tak potężny.

Stróż wetknął głowę poważną jak dostojność prawa.

— To morderca! — wołała gospodyni ośmielona widokiem stróża.

— Trzeba by stu takich, żeby panią zamordować — odegrzmiał Raczek. — Dziewięćdziesięciu dziewięciu uciekłyby przed panią. To pani chciała zamordować tego chłopca! Jakim prawem związała go pani? Ja pójdę po policję, a nie pani. Nie bój się, Ignasiu.

— Aha! To pan go zna?

— Tak, znam go. To jest... to jest... mój bratanek...

— To całkiem inna historia — oświadczył stróż i wycofał swoją dostojałość,

— Bratanek czy nie bratanek, precz z mego domu! I pan, i ten bratanek. Jeden hołota, a drugi łapserdak, a tu porządny dom! Ja się przelękłam i dziecinkaomalże nie zemdląca. Wyoście się w tej chwili!

Ale Raczek stał się straszny. Z odwagą, którą jeden Homer¹¹ mógłby wyśpiewać, podskoczył ku niej jak bokser wagi koguciej.

— Wyniesiemy się, kiedy się nam będzie podobało! Pokój zapłacony, a ja jestem u siebie! A jeżeli pani i ta panienska nie opuszczą tego pokoju — i to natychmiast — w takim razie...

— Niby co? Niby co będzie “w takim razie”?

— Stanie się nieszczęście! — krzyknął Raczek. — Bo ja... bo ja...

Szukał gwałtownie najstraszliwszej groźby, aż natchnienie położyło mu na usta piorun.

— Poślę po pana Lepajłę! — wrzasnął triumfalnie.

Groźne, nieznane słowo... Tajemnicza chmura rozświetliła się błyskawicą siną, jadowitą, zapowiadającą jakieś nieoczekiwane nieszczęście. A taka jest moc tajemnicy, że obie damy wycofały się w mroczne zdumienie do dalszych apartamentów.

Raczek, dysząc, groził pięścią w stronę ściany, a ściana wyraźnie drżała.

¹¹ H o m e r (ok. IX w. p.n.e.) — największy poeta starożytnej Grecji, twórca “Iliady” i “Odysei”.

V

Trzeba by użyć wielokroć razy wszystkich najczarniejszych słów, jakie zna mowa polska, utrapionych i pełnych zgryzoty, aby opisać udręki Raczka, kiedy szukał nowego mieszkania. Dzięki sprzymierzonej pomocy i osobistej zawziętości znalazł je wreszcie na krańcach miasta, w owych stronach, gdzie rosną ostatnie wysokie drzewa patrzące z lękiem, jak się wielkie miasto ku nim zbliża nieustępliwym, kamiennym krokiem przyświecając sobie słońcami elektrycznych latarni i jak je dnia jednego wyłamie z odwiecznych posad, a na tym miejscu zwali ogromne głązy domów. Tu była granica gwałtownych wichrów, przylatujących z pól, i rzeźwość powietrza. Obok znajdowały się lotniska, płaskie krainy olbrzymich ptaków.

Raczek pozbierał z pomocą Ignasia cały swój ziemski dobytek, który można było udźwignąć jedną ręką. Perłą tego majątku był parasol tak piękny, że go pan Raczek nie otwierał nigdy podczas deszczu, aby go nie zniszczyć, i kilka książek dowodzących, że chociaż ich właściciel łgał niewinnie twierdząc, że ukończył “parę” uniwersytetów, jednak miał zamiłowania naukowe; tytuły książek brzmiały dostojnie, a już wprost wspaniale pysznił się jeden z nich: “Tajemnice wszechświata, czyli: co samouk o astronomii wiedzieć powinien?” Garderoba człowieka poczciwego nie mogłaby jednak zapełnić wszechświata, gdyż Ignas wziął ją całą pod pachę i poniósł na nowe mieszkanie.

Wyjście z ziemi egipskiej, z domu niewoli, odbyło się bez awantur, uczestniczył w nim bowiem Lepajłło. Powiadomiony o wzięciu w jeństwo Ignasia i o słowach, ociekających krwią, pełnił w tej chwili straż honorową, która na każde zawołanie mogła przeobrazić się w niszczącą trąbę powietrzną. Złe moce spoglądały przez szczelinę drzwi na jego olbrzymią postać — grozą i furią napełnioną jak balon. Złe moce cierpiały męki piekielne, że nie mogą wylać na Raczka niezmiernej kadzi słów, z których każde rani, a ostatnie zabija. Lepajłło był zbyt straszny i toczył oczyma, szukając wroga. Spojrzenie to zapowiadało, że chętnie schrupałby kilka ludzkich kości i chętnie napiłby się krwi. Wreszcie jak dziki wódz, co patrzy na plądrowanie miasta, zapytał gromko:

— Czy wszystko już zabrane?

— Oprócz myszy, wszystko! — zameldował Raczek.

— Dobrze! Przeklnij pan ten dom i chodźmy.

Za drzwiami zabulgotał jakiś głos jak samowar i zasyczał.

A oni wyszli z godnością. Najpierw szedł Ignasz, za nim Raczek niosący swoją bibliotekę, a pochód zamykał niezwyciężony Lepajłło. W tym samym bojowym szyku, lecz z radosnymi twarzami wchodzili do nowego mieszkania na poddaszu umierającego, osiwiatego domu, który kiedyś był podmiejskim dworkiem, a teraz miał rezygnację w mętnych oczach okien, przygarbił się z rozpaczą i pochylił czekając, kiedy go połknie kamienny olbrzym.

— Mieszkanko było biedniutkie, ale wesołe: pokoik z kuchenką, na której nigdy nie gotowano homarów i nie pieczono bażantów. Okno pokoiku patrzyło na lotnisko. W zbutwiałej skrzynce chwiały się za oknem poczerńiałe badyle pelargonii, krwawych niedawno płomieni, zgaszonych przez deszcz. Widok stąd był szeroki, co najbardziej radowało niebieskie oczy Raczka, nawykłe do podróży po niebiosach i po gwiazdzistych rozłogach wszechświata. Cudo to było, nie mieszkanie, pałac po mrocznej speluncie z ulicy Ciepłej. Najważniejsze zaś było to, że żadnej nie było gospodyni, Na dole mieszkał stolarz i ogrodnik—cudotwórca, co z dwóch grządek umiał wydobyć pożywienie dla siebie i swojej rodziny. Raczek, który od pierwszej chwili umiał zdobyć sympatię ludzką, najmilsze od razu uczynił na nich wrażenie i wywołał uśmiech na smutną twarz stolarza.

— Dobry to jakiś człowiek — rzekł Raczek do Lepajłły.

— Twarz jak sama zgryzota, a do mnie się uśmiechnął!

— On nie do pana się śmieje — odparł Lepajłło. — On się cieszy, że może dla pana zrobić trumnę.

— Niech robił Ale do pana to się chyba jeszcze nikt nigdy nie uśmiechnął,

— I dobrze zrobił, bo połamałbym mu kości. A pan niech przestanie gadać i niech pan porozstawia meble.

— Jakie meble?

— Prawda, przecie pan nie ma nawet łóżka! A na czym Ignasz będzie spał? Tfu, do licha! Ładnie się pan dorobił... Ani krzesła na trzech nogach!

— Ród nasz — odparł z powagą Raczek — ucierpiał bardzo podczas szwedzkiego najazdu. Napastnicy złupili nas i wywieźli nasze ogromne bogactwa!

— Szkoda, że nie wywieźli przy sposobności i całego rodu — mruknął Lepajłło. — Nie opowiadaj pan arabskich awantur i niech pan szuka łóżka dla Ignasia. Sam może pan sypiać choćby w becze.

Raczek drapał się w głowę, jak gdyby chciał z niej wygrzebać garnitur mahoniowych mebli, Lepajłło zaś, pokrzykując, już gadał ze stolarzem, który obiecał sporządzić dwa tapczany wyborne i wbić gwoździe w ścianę, gdyż proste to urządzenie zastępuje szafę.

“Długi szereg takich dowcipnych pomysłów, wymyślonych przez ludzi, których bieda jest roztropna, zmienił niedługo mieszkanko Raczka w wygodny apartament, urządzone z dobrym smakiem, gdyż pozbawiony cech parweniuszowskich: krzykliwych barw, jaskrawych złocień, ciężko zwisających brokatów, mnóstwa kryształowych żyrandolów i fałszywych arcydzieł malarstwa. Raczek żywiołowo nie cierpiał zbytku. I gdyby nie Ignas, którego trudno było nosić, mógłby powtórzyć za filozofem—oberwańcem dumne słowa, że “wszystko swoje nosi przy sobie!”¹²“.

A Ignas szalał. Kiedy przeminęła wstydliva boleść — że dał się schwytać i w związanej niemocy musiał pozwolić, aby mu urągało “indyczne jajo” — wpadł w nieustanny, nieprzerwany zachwyty. Czternaście jego lat gorzało jak czternaście świec. Serce śpiewało jak skowronek w złocie poranka. Oczy błyszczały, napełnione promienistą radością. Wpatrzony w swojego pana Raczka jak w słońce stroił takie jak on miny, tak samo się uśmiechał i z nadzwyczajną powagą cedził słowa, bo pan Raczek był na tym świecie najlepszy, najzacniejszy i najmędrzy wśród najmędrzych. Tak wyraźnie oświadczyła Ignasiowi płomienna, dziecięca miłość i Ignas uwierzył w to całą duszą. Małpia powaga pryskała jednak jak kruche szkło, kiedy Ignasia ogarnęło szaleństwo zielone i cielęce. Po wielu biedach, nędzach i włóczęgach, po wielu nocach, przespanych z głową na kułaku, było mu tak dobrze, jak mu było kiedyś u matki, a u matki było mu jak w raju, w którym ona była aniołem, wśród aniołów najlepszym i najcudowniejszym. Raczek zajął teraz jej miejsce, a jej miłość, na zawsze zapamiętana, zamieszkała w sercu tego dobrego człowieka jak ptak niebieski w gnieździe i uśmiechała się jego uśmiechem do swojego dziecka. Bystry chłopiec zrozumiał, że ten siwy człowiek, sam biedaczyna, musi od ust własnych odjąć kęs chleba, aby go nakarmić, zdawał sobie sprawę z jego bezbrzeżnej dobroci i kiedy nad tym rozmyślał, przysięgał sobie porywczymi, czerwonymi słowami, że gdyby za tego człowieka trzeba było poddać życie, uczyniłby to bez wahania. Młode, jastrzębie oczy przejrzały na wskroś i dostrzegły wielką treść tego niepozornego siwego człowieka: serce — szlachetne, pełne niezmiernej dobroci serce. Cały pan Raczek był tylko dodatkiem do swego serca. Przejrzysty był

¹² Wszystko swoje nosi przy sobie (*omnia mea mecum porto*) — powiedzenie przypisywane mędrcom greckiemu Błasowi, mające oznaczać, że prawdziwym bogactwem człowieka jest jego wartość wewnętrzna.

jak jasna, kryniczna. woda, prosty jak owi rybacy znad Genezaretu, co poszli głosić miłość, przebaczenie i miłosierdzie. Pan Raczek był starym dzieckiem, łatwowiernym i bezbronnym, które każdy mógł oszukać i omamić. A jednak nikt tego nigdy nie uczynił, bo najgorszy człowiek zawaha się, zanimby skrzywdził dziecko albo takiego starego człowieka, który ma w oczach dziecięcą, uśmiechniętą ufność.

Ignas kochał go całą mocą młodego serca. Kiedyś, kiedy dorośnie, odplaci mu się i odwdzięczy, utuli jego starość, otoczy go ramieniem. A dziś uczyni wszystko, aby stary człowiek nie poczuł ciężaru, i nigdy nie przyprawi go o zmartwienie. Będzie dobry, będzie pilny i będzie strzegł radości, aby nigdy smutek nie zabłąkał się do ich mieszkania. Pan Raczek nie lubi smutku, więc go tutaj nie ujrzy. A ponieważ ciężko pracuje, i to nocami, Ignas nie pozwoli, aby drobne przykrości życia mąciły mu wypoczynek.

Chłopiec rozważał wszystko bystrze: zawarł przyjaźnie sąsiedzkie, spenetrował okolicę, a po kilku dniach znał ją tak, jak gdyby się tu urodził. Wiedział, gdzie można kupić najlepszego chleba i gdzie najtaniej dostać można drzewa na opał. Każdy z sąsiadów udzielał mu przemyślnych, fachowych wiadomości, a syn ogrodnika, będący w jego wieku, dopełnił jego oświecenia. "Stary" praktyk, którego uczyła ulica, zapobiegliwy i poradny, urządził gospodarstwo w sposób znakomity i puścił je w ruch ku wielkiemu zdumieniu Raczka, który znał drogi słońce, nigdy jednak nie wiedział dobrze, gdzie można kupić nafty.

Raczek spał jeszcze, a Ignas wiercił się jak wrzeciono, pracowity jak Kopciuszek; przyrządzał śniadanie, czyścił buty (Raczek, zapatrzony w gwiazdy, włożył zawsze w najgłębsze kałuże) i szedł do szkoły nie budząc wielkiego astronoma. Szerokim wpływom Lepajłły, który miał nadzwyczaj rozgałęzione stosunki wśród żywych i umarłych, zawdzięczał, że się do niej dostał, przedziwne zaś sztuki, używane w handlu, sprawiły, że wyświechtany frak zacnego tego męża opłacił książki i kajety. Lepajłło uczynił ze sprawy Ignasia sprawę wielkiej wagi i mordował nią każdego, kogo posądzał o odrobinę dobroci. I oto — jak magik, co z pustego cylindra dobywa gęś, kaczkę, prosię, tuzin jaj i bukiet papierowych kwiatów — straszliwy szatan i czarnoksiężnik Lepajłło wydobył z ludzkiej dobroci uporczywym gadaniem, zaprawionym po trosze obelgami: ubranie i płaszcz, i chłopięcą bieliznę. Mało brakło, a Ignas byłby dostał automobil od żywych znajomych Litwina albo karawan od tych, których on wysławiał pięknym słowem po zgonie.

— Słuchaj no — mówił, wzięwszy Ignasia na stronę. — Wierzę ci, że jesteś dobry chłopak. Masz tu książki... Masz tu płaszcz... Ale gdybyś pana Raczka nie kochał z całej duszy, to byłbyś

kapcan i małpa... Rozumiesz, brzdącu? Nie ma na całym świecie lepszego człowieka niż on... Nie powtarzaj mu tego, co ja ci tutaj gadam, za żadne skarby nie powtarzaj... Ale mi wierz! Gdyby takich było więcej jak on, lżej byłoby na świecie.

— Ja strasznie kocham pana Raczka — mówił Ignas namiętnie.

— Wiem o tym, ale powiedzieć nie zawadzi.

— I pana bardzo kocham — dodał chłopiec nieśmiało. Lepajłło oblał się krwistym rumieńcem.

— Jak powiedziałeś?

— Powiedziałem, że pana też bardzo kocham.

— Jak to? Nie boisz się mnie?

— Wcale się pana nie boję. Pana wszyscy kochają i nikt się pana nie boi.

— Głupi jesteś! — wrzasnął Lepajłło. — Wszyscy się mnie boją... Nie umiem być słodki, z każdym szukam awantury. Nie przecz, bo ci zrobię jakąś krzywdę... Zresztą, pal cię lichu! I kłaniaj się "swemu" panu Raczkowi.

Odchodził, mrużąc, i dalej rozmyślał, co należy uczynić, aby ulżyć tej nienawistnej kreaturze Raczkowi i jego przybranemu synowi?

A im było dobrze razem na własnym gospodarstwie.

Po południu Raczek czytał uczone księgi albo się bawił głębokim rozmyślaniami, kiedy go księgi znużyły, Ignas zaś uczył się niezmordowanie. Kiedy Raczek spojrzawszy oczami ducha w niezgłębioną przepaść wszechświata nagle westchnął z nadmiernego podziwu i przerażenia, Ignas odpowiadał westchnieniem jak echo, Czasem znamienity znawca słońca i gwiazd, błądzący myślą pośród ich niezliczonej gromady jak pasterz krąży wśród niepoliczonego stada swoich owiec, uświadomiwszy sobie potworną a niedawno wyczytaną wieść o tym, że słońce liczy osiem bilionów lat wieku, brał w drżące ręce ołówek i wypisywał tę straszliwą cyfrę, aby się jej przyjrzeć z podziwem. Lubował się w tych przepaścistych rachunkach, w których miliard był ziarnkiem piasku, pestką niezmiernej dyni wszechświata, mizerną jednostką, na której widok uśmiechał się z lekceważącym wzruszeniem ramion. Dopiero bilion znaczył dla niego tyle, co grosz dla miliardera.

Właśnie, dla miłej rozrywki, dodawał do siebie odległości niebieskie, aby zdobyć miłą ku patrzeniu liczbę z dwudziestu zerami, kiedy Ignas stęknął cichutko.

— Co ci jest, Ignasiu? — zapytał Raczek, wychyliwszy się z mgławicy Oriona, gdzie rad przebywał.

— Nie mogę sobie dać rady z rachunkami. Nie mogę dodać sześciu ósmym do siedmiu dziewiątych i podzielić tego przez dwie trzecie.

— He? — zdumiał się Raczek.

Zlął z wysokości, skacząc rażno przez konstelację, zwaną Rzeką Erydan, i pochylił się nad Ignasem. Rachmistrz, co grzebie wśród bilionów jak wśród ulęgałek, pomoże nieszczęsnemu uczniakowi.

— Sześć ósmym i siedem dziewiątych, powiadasz? To drobiazg... spróbuj no jakoś dodać...

— Próbowałem i nie idzie.

— Dziwne, dziwne... — mruczał Raczek. — Gdyby tak równe miliony i miliardy... Nie lubię zajmować się ułamkami — oświadczył głośno. — Wyszedłem z tego i musisz sam pomyśleć, mój chłopcze.

Starał się szybko pojąć tajemnicę tego zawilego rachunku, ale osłabł tylko i otarł poi. z czoła. Rzekł tedy groźnie:

— Jest to tak łatwe, że wstyd by był, gdybyś musiał aż mnie wołać na pomoc!

I uciekł daleko, aż na gwiazdę zwaną Aldebaranem. Spółka: Alojzy i Ignacy, odżywiała się teraz lepiej, obiady bowiem jadali u ogrodnika, którego żona знаła wielką tajemnicę przyrządzania z mizernych ingrediencyj¹³ potraw smakowitych i zdrowych. Nie było w tym jedzeniu zbornej różnorodności, bo niemal codziennie kluski jechały na kluskach i poganiały kluskami, lecz Raczek twierdził z zachwytem, że nigdy w życiu nie jadał lepiej, i z dreszczem przerażenia wspominał dawną garkuchnię. Głośnym cmokaniem, obyczajem ludów wschodnich, podwyższał swój zachwyty aż do ekstazy, kiedy każdej niedzieli wspaniałość obiadu przechodziła wszelkie marzenia i na stole zjawiał się zadzierzysty za życia, choć głupawy baran lub niewinne cielę. Raczek jadł radośnie i wygłaszał rozropne sentencje wspominając słynnych żarłoków starożytności: Lukullusa, Witeliusza i Gamasza, do których — wedle swojego mniemania — mógł być zaliczony. Sentencje te były wyborną przyprawą, jeśli baran — po zgonie nawet swoje przykre zachowując maniery — był twardy, łykowały i nieustępliwy. Prawdziwą jednak radością tych uczt było miłe towarzystwo ludzi prostych i pracowitych, którzy słuchali z zachwyconą uwagą dostojnych bredni

¹³ Ingred i e n c j e — tu: składniki.

“pana redaktora”. Raczek lubił ich bardzo za szacunek jemu okazywany i za troskliwą życzliwość okazywaną Ignasiowi. Żona ogrodnika, spracowana babina, matka dobra i poczciwa, patrząc na sierocność Ignasia rozszerzyła swe serce, aby go starczyło i dla tego miłego chłopca. Znała jego historię z własnego opowiadania Ignasia i uważała za punkt kobiecego honoru chociaż w malutkiej części zastąpić mu matkę. Nie zdając sobie sprawy z wielkiej tajemnicy kobiecego serca — która sprawia, że gdyby na świecie wymarły wszystkie matki, a jedna tylko pozostała, ta jedna ogarnęłaby miłością wszystkie dzieci świata i byłaby wielką, świętą matką — przytuliła czasem tego chłopca do siebie.

Ignas zawarł ścisłą przyjaźń z jej synem. Ogródniczek był chłopcem wesołym, mającym przedziwne oczy, szybkie, rozbiegane, wszystkowidzące: nie umiał patrzeć nawet przez chwilę w jeden punkt, lecz przeskakiwał spojrzeniem z przedmiotu na przedmiot, z nieba na ziemię, z drzwi na dom, jak gdyby wszędzie działo się coś godnego widzenia i na co trzeba byłoby spojrzeć natychmiast, gdyż zaraz zniknie. Zdawało się, że głowę ma osadzoną na sprężynie zwinnej i niespokojnej, głowę tym tylko bardzo zmartwioną, że nie może kręcić się dokoła osi, aby ujrzeć błyskawicznie, co się dzieje poza nią. W spojrzeniu tego chudego, nad wiek wyrośniętego dryblasza, była piekielna ciekawość, żarłoczna żądza zobaczenia wszystkiego, co się odbywa w kręgu jego rozlicznych interesów. Nie wyrobiło to w jego burzliwej głowie roztropnego spojrzenia na świat, nigdy bowiem nie był ciekaw, jak się cośkolwiek skończy, zawsze tylko zdołał dojrzeć jedynie początek zdarzenia i już ciskał oczami w inną stronę. Pan Raczek stwierdził przenikliwie, że ów Michałek — tak się bowiem zwał — nigdy nie będzie dobrym świadkiem w sądzie, nie potrafi bowiem opowiedzieć, co widział, gdyż widział zbyt wiele. On jeden jednak pośród miliona ludzi mógłby zdać ściśle sprawozdanie ze wszystkich szczegółów akrobacji w cyrku pcheł albo z lotu jaskółek. Ponieważ nikt tego nie był ciekawy, zapędzono Michałka do uprawy ogrodu każąc mu zamykać oczy, jeśli jego wiecznie spieszące się spojrzenie przeszkadza mu w tej pracy powolnej i wymagającej skupienia. Nie można mu było jednak zabronić używania obłąkanej właściwości jego własnych oczów na użytek prywatny, kiedy ogród spał w jesieni i w zimie. Wtedy śmieszny Michałek ciskał z nich spojrzenia, jak czasem żak rzuca migotliwe błyski lusterkiem, w które schwytał blask słoneczny. Wskutek tego na najbliższym terenie jego działalności nic się stać nie mogło bez jego wiedzy. Każdy wróbel został zauważony i nie mógł się wyprzeć “w żywe oczy”, że nie przelatywał z płotu na dach w południowej godzinie, każdy kamień i każda deska w parkanie zostały zapisane lewym lub prawym okiem Michałka—Sokole Oko. Nie

zostało to stwierdzone, lecz mogło uchodzić za pewne, że wesoły ten chłopiec potrafi lewym okiem obserwować zjawiska na niebie, a prawym liczyć równocześnie grzebiące w ogródku kury. Dlatego to może najsprzeczniesze wzruszenia mieszały się na jego jasnej, szczerej fizjonomii, jak gdyby kto mieszał mleko z atramentem, często się bowiem zdarzało, że lewe oko patrzyło na sprawy smutne, które malują oblicze żalnością, prawe zaś tymczasem śmiało się z widoku rzeczy zabawnych i sprowadzało na twarz jaskrawą radość. Wskutek tego oblicze Michałka nigdy nie zaznało spokoju ani statecznej, nieruchomej powagi.

Terenem jego migawkowych badań wzrokowych była najbliższa okolica, a najbliższa okolica była lotniskiem. Zawsze tam coś się działo, zawsze znalazł się jakiś żer dla jego łakomych oczu. Jako najbliższy sąsiad, co się urodził tuż za ogrodzeniem lotniska, miał specjalne przywileje na tym groźnym terenie, skąd wylatywały olbrzymie sępy ze stalowymi dziobami. W chwili, kiedy Michałek jednym okiem ujrzał po raz pierwszy swoją rodzoną matkę, drugim ujrzał zapewne aeroplan i odtąd zawsze — choćby tylko tym jednym okiem, przeznaczonym do badania sfer niebieskich — lustrował loty wielkich ptaków. Nic w tym dziwnego, że najlepszy znawca lotnictwa nie mógł wiedzieć o nich więcej niż ten chłopiec z rozbieranymi oczami. Michałek jednym krótkim spojrzeniem poznawał każdy samolot, jednym rzutem oka wypatrywał go na wysokościach, drugim zaś okiem przyglądał się startowi drugiego. Znał wszystkich lotników, a lotnicy znali tego śmiesznego wyrostka, swego sąsiada z dziwnym spojrzeniem, który pozwalał sobie czasem na “fachowe” uwagi.

Zawarłszy przyjaźń z Ignasem ukazywał mu z daleka skrzydlate życie lotniska.

— Patrz, Ignas — mówił z łaskawością starego wyjadacza, co naucza żółtodzioba — Lwów leci na cywilne z dziesięciominutowym opóźnieniem, bo ma wiatr z przodu. Ale gdzie jest trzynasty?

— Jaki trzynasty?

— Trzynasty gołąb. Nie widzisz gołębi, tam na prawo? To jednego szewca gołębie, ale wczoraj latało ich trzynaście, a dzisiaj jednego brakuje.

Ignas zdumiał się.

— Jak ty możesz widzieć aeroplan ze Lwowa, co przylatuje z lewej strony, a daleko, po stronie prawej, liczyć gołębie?

— To jest wielka sztuka — mówił Michałek z uśmiechem — ale można się nauczyć,

— A skąd ty wiesz, że ten aeroplan spóźnił się o dziesięć minut?

— Żadna sztuka! Po słońcu. Widzisz ten komin? Kiedy słońce jest nad tym kominem, Lwów powinien już siedzieć na lotnisku. Oni jadą, jakby zegarek chodził, i tak powinno być. Tutaj u nas jest porządek. I ten trzynasty gołąb już się znalazł, bo się odbił, głupi. A tam leci “potez”. Patrz w górę, gdzie ten obłok. Widzisz?

— Nic nie widzę...

— Bo ty masz jeszcze zdechłe oczy. Ja mogę patrzeć prosto w słońce, i nic!

— Widzę, widzę! — szeptał Ignasz. — Boże, jak wysoko!

— Jakie tam znowu “wysoko”! Będzie ze dwa tysiące metrów, ani mniej, ani więcej.

— Skąd ty możesz wiedzieć?

— Oko mam, bracie — odrzekł Michałek niedbale.

Ignasz spojrział z zazdrosnym podziwem na “człowieka—oko”, który usiadłszy na jakimś chylącym się parkanie i grzejąc się na słońcu nazywał dziwnymi imionami dziwne rzeczy i wyjaśniał ich przeznaczenie. Wykładowi temu brakowało systematyczności, kiedy bowiem Michałek utkwivszy lewe oko w opasłym budynku objaśniał, co oznacza jego nazwa “hangar gościnny” — stało się właśnie coś w wielkiej od tego hangaru odległości, co niezwłocznie zauważyło prawe oko chłopca. Porzucał przeto czym prędzej temat i podejmował inny. Wielu też trzeba było dni, aby Ignasz w bystrym rozumie ułożył w należyтым porządku to, co mu ten potężny wyjawiał znawca. Z okna mieszkanca jak z teatralnej loży patrzył czasem długo na olbrzymi, trawą porosły teatr, na którym jakoby grano nieśmiertelną komedię Arystofanesa¹⁴ “Ptaki”, bo na tym teatrze straszliwe, stalowe ptaki główną odgrywały rolę. Ludzie wyglądali z oddalenia, jak gdyby byli mali i drobni, natomiast owe skrzydlate potwory, niezbyt wielkie na niezmiernych wysokościach, usiadłszy na ziemi, stawały się ogromne, rozłożyste i potężne. Koło każdego z nich krążyło kilku ludzi, zapobiegliwych i czujnych, pracowitych niewolników olbrzymia, co na twardej ziemi był nieporadny i odpoczywał w nieruchawej ciężkości. Kiedy jednak poczał nagle drzeć w żądzę lotu i wydawał z siebie głos niecierpliwy i gwałtowny, ludzie odskakiwali usuwając mu się z drogi, aby ich nie stratował na śmierć. Stalowe serce ptaka zaczynało bić stalowym, miarowym, potężnym kołataniem: z szumem podgarniał olbrzymi wiatr pod skrzydła i długo biegnąc po ziemi dla nabrania rozpędu, podnosił swoje ciężkie cielsko i wreszcie kładł się na powietrze.

Ignasz patrzył oszołomiony i zawsze mu było tego widoku za mało. Dotąd widział samoloty na niebieskich wysokościach, jak malowane na niebieskim papierze obrazki ptaków czy owadów;

¹⁴ A r y s t o f a n e s — największy komediopisarz starożytnej Grecji żyjący na przełomie V i IV w. p.n.e.

teraz znalazł się tuż obok ich gniazda, w mateczniku tych najdziwniejszych stworzeń, i może widzieć ich życie: niecierpliwe, wielkim głosem napełnione chwile wzlotów i łagodne, pełne zmęczenia siadanie ich na ziemi u drzwi wielkich, drewnianych klatek. Samolot jest ptakiem żywym, więc gdyby go nie zamykano w tych klatkach, mógłby uczynić coś strasznego: poczuwszy wielki wiatr lub zapach burzy oszalałby pragnieniem pędu i wzbiłby się w chmury sam, bez człowieka, co umie spętać szaleństwo jego mocy i uciszyć jego huczące, stalowe serce. Sam zginąłby albo roztrzaskany miedzianym młotem burzy, albo zagnany na śmierć przez wichry, złe i wściekłe, że muszą dźwigać olbrzyma, co im dziobem rozrywa piersi.

Chłopiec patrzył rozplómiionymi oczami na drobnego człowieka, który nieustraszony i zimny, rozważny i czujny dosiada ognistego, skrzydlatego smoka i wzlataje na nim w chmurne odmęty. Posiada nad nim władzę i kieruje jego lotem nie zawahawszy się ani na chwilę jedną, nie okazawszy ani na jeden moment słabości lub zwątpienia. Potwór drży, ilekroć człowiek dotknie go niemylnym ruchem ręki, i leci coraz wyżej, warcząc. Może to być głos radości ptaka, co pije błękit, lub złe i nienawistne warczenie olbrzyma, który musi służyć drobnej, mądrej istocie, pętającej wolą swoją szaleństwo i wściekłość demona. Chłopak wsłuchiwał się w te głosy, co cichły na wysokościach, a wzmagały się do straszliwego natężenia, kiedy samolot poczuł zapach ziemi. Ziemia — widać — jest dla niego żywiołem nienawistnym, dla którego nie jest stworzonym, więc na jej widok wydaje z siebie złe, warkotliwe głosy, aby ją przerazić i zmusić do zapadnięcia się w głąb. Głosy te budziły go wczesnym rankiem, ptaki bowiem budzą się o świcie, a samoloty mają obyczaje ptaków, ale budziły go bardzo często wśród nocy, jak gdyby miały zarówno obyczaje sów widzących w ciemności. Czasem zdawało się, że mroczne niebo wali się z nagłym hukiem na domek śpiących ludzi albo że jedna z gwiazd pana Raczka pada z nieba ze straszliwym trzaskiem i warczeniem. Ignasz budził się w zalęku, lecz zanim zdołał oprzytomnieć, głosy odlatywały na wielkich, szerokich skrzydłach, jak gdyby grzmot potoczył się po skłonie nieba. Po wielu dniach przywykł jednak do tych rozgłośnych lotów jak młynarz do huku młyna. Każdego zaś ranka, zanim wyszedł do szkoły, patrzył przez okno lustrując lotnisko i badał ciekawie, które samoloty odbędą dzisiaj swoją pracę. Następnym spojrzeniem badał kierunek wiatru, co można było odczytać z położenia długiego, płóciennego worka bez dna, zawieszzonego na "hangarze gościnnym". Biało—czerwony wąż, wiatrem napełniony, nadymał się i wypręzał kierując ogon w stronę wiatru. Na środku lotniska trzepotała flaga startowa, wędrowne stworzenie, co na jednej nóżce wędruje po całym lotnisku, a gdzie ją wetkną w ziemię, stamtąd wielki ptak rozpędza się do lotu.

Tak się już zżył z tą uskrzydloną okolicą, że zaczął radować się jej radościami i martwić jej zmartwieniami. Dzień jasny, błękitny i pogodny cieszył go tak, jak cieszy zapewne tych ruchliwych ludzi w żołnierskich mundurach, co odsuwają olbrzymie drzwi hangarów i wytaczają samoloty ostrożnie i z największą uwagą. Coraz mniej jednak było dni pogodnych, a coraz więcej szarych, spopielałych, ołowiano—chmurnych. Ignaś patrzył z troską na niskie niebo, wzdęte jak morze, po którym wiatr hula i miętosi je, i tłamsi. Czuł, że nie ma dzisiaj radości na lotnisku i że wiele na nim musi być troski. Białoczerwoną flagą targa wichur tak, że jej strzelisty łopot słychać daleko, a wąż, nadęty wiatrem, rzuca się i kręci w udręczonym niepokoju. Stąd dobrze nie widać, lecz Ignaś jest pewny, że żołnierze spoglądają ku niebu chmurnym spojrzeniem. Ciężkie będą dzisiaj loty i ciężka będzie walka z jesiennym, nieustępliwym wichrem. Znowu patrzył pilnie, które samoloty dzisiaj polecą, jeśli w ogóle polecą.

Każdy dzień czegoś go uczył i coś mu opowiadał. Posiadał już całą niemal wiedzę Michałka, brak mu było jedynie “osobistych stosunków” z tymi cudownymi, skrzydlatymi ludźmi, co się roili na lotnisku w szarych odzieniach, zatłuszczonych oliwą i smarami; ruchliwi, prędcy, baczni i niestrudzeni dokonywali jakiejś ciężkiej pracy, której nie mógł jeszcze pojąć, gdyż nie widział ich z bliska. Czasem ich kilku obsiadło samolot, co zadyszany powrócił spod nieba, i przez długie godziny nie odchodzili od jego cielska; zapewne czyszczono każdą jego śrubkę i każdy z niego ocierano pyłek, zanim go wprowadzą do hangaru. Czynią to zapewne z miłością, bo czynią wszystko bardzo troskliwie i starannie. Czasem któryś z nich zakrzyknie wesoło albo radośnie się rozśmieje, więc im ta praca sprawia zapewne przyjemność. Ignaś wie już o tym, że człowiek pracujący w milczeniu, kiedy praca nie wymaga milczącego skupienia, pracuje niechętnie. Stolarz w ich domku, rzemieślnik wyborny, raduje swoją pracę śpiewaniem. Zapewne lżej jest pracować, kiedy się pracuje radośnie. Ci tam, przy samolotach, oliwą popstrzone kocmołuchy, są młodzi, zdrowi i śmieją się głośno. Michałek z wielkim uznaniem mówi o nich, że to wyborne chłopcy.

Właśnie kilku pośród okrzyków wtacza zmęczonego smoka do hangaru. Jeden, smukły jak sosna, stoi z boku i kieruje głosem; dwóch popycha ciężkie cielsko, a dwóch uniosło smoczy ogon, aby nie zawadził o próg hangaru. Klatka jest prawie pełna, bo już w niej cztery stoją samoloty, więc ten piąty wtaczają ostrożnie. Nagle ten wysmukły, splamiony jak kozak, co się kąpał w dziegciu, woła rozgłośnie:

— Kitę na lewo!

Wtedy owi dwaj, wydelegowani w stronę ogona, pokrzykując zwracają ogon ptaka na lewo.

— Stop! — krzyczy zwycięsko wysmukły.

“Aha! — myśli Ignaś. — »Kita« to jest ogon, a »stop« znaczy »stój«. Ciekaw jestem, czy Michałek wie, co to jest »kita«?”

VI

— Świetnie się chłopak uczy! — cieszył się Raczek. — Po prostu świetnie! Niech pan sobie wyobrazi, że niedługo będzie wiedział bodajże więcej ode mnie.

— To żadna sztuka — odrzekł Lepajłło.

— Dla pana byłyby to jednak sztuka, ale jeśli Ignas mnie prześcignie, będę temu rad. Pan sobie nie może wyobrazić, co się z tym chłopcem dzieje. W nim się coś pali i coś się gotuje. Zdolny, szelma, pojmuje wszystko w lot, a wciąż tylko czyta i czyta. Nie można mu nastarczyć książek. W szkole chwalą go wniebogłosy i bardzo go tam kochają. Powiadam panu, że jestem szczęśliwy.

— Tak go pan kocha? — zapytał Lepajłło miękkim głosem.

— Czy ja go Kocham? Boże mój! Czy ja go Kocham... To tak, jak gdyby pan pytał, czy Kocham wiosnę. Byłem sam i już nie jestem sam. Bo ja byłem bardzo biedny, panie Michale.... Samotna starość to jest okropna rzecz! Ale niech pan nie myśli, że ja Kocham za to, że mi starość umila. O, nie, drogi panie! Za to go Kocham przede wszystkim, że jest taki, jaki jest. To jest złoty chłopaki! wdzięczny, i dobry, cudownie dobry... Wszyscy tak o nim mówią, bo tak jest.

— To ładnie — mruzczał zamyślony Lepajłło. — A cóż pan myśli z nim zrobić?

— A cóż ja mam z nim zrobić? Wykształcę chłopca i zrobi z niego człowieka.

— Mnie o to idzie, czy ma pan jakiś dokładny plan. Czy pan się zastanowił nad tym, w jaką stronę zwróci pan Ignasia?

Niech się pan nie gniewa, ale pan jest trochę mentecaptus i potrafi pan w najlepszej intencji wymyślić coś takiego, co rozsądnemu człowiekowi nie mogłoby się nawet przyśnić.

— Ech, pan zawsze swoje...

— Ja zawsze swoje, ja zawsze swoje! Nic na to nie poradzę, że pan liczy gwiazdy, a nigdy pan nie wie, jaki jest dzień tygodnia. Coś pan sam ze sobą urządził? Pokończył pan jakieś szkoły, wtoczył się pan po całym świecie i jest pan naszym korektorem. Ładna kariera! Ja piszę, a pan włóczy się za tym pisaniem, jak wrona za pługiem, i wyławia pan robaki czy też robaczywe litery. Niechże pan pilnuje, aby chłopak nie zapatrzył się na pana. Czy on zdradza jakieś specjalne zdolności, jakieś wyraźne upodobania? .

— Właśnie, właśnie! — odparł Raczek gorączkowo. — O tym chciałem z panem pomówić. Otóż Ignas ma jedną słabość... Mogę powiedzieć, że go ogarnęła *idea fixa*. Wie pan pewnie, co to znaczy?

Lepajłło wzniosł wzrok ku niebu.

— Jak panu wiadomo, mieszkamy obok lotniska. Przypuszczam przeto, że ciągły widok samolotów i ustawiczna obserwacja życia na lotnisku rozbudziły w chłopcu dziwne tęsknoty. Może o nich gadać godzinami albo godzinami patrzeć na ich koziołki. Kiedy o tym mówi — ma na twarzy wypieki, a kiedy patrzy — nie można go oderwać od okna. Coś mi się zdaje, że Ignas dostał małego kręćka na temat latania.

— Jak pan na temat astronomii.

— To jest ogromna różnica — odrzekł Raczek z wielką żywością. — Ja na żadną gwiazdę nie wleżę i z gwiazdy nie zlecę! Moje zamiłowanie jest spokojne i wzniosłe. Z aeroplanem jednak jest sprawa nieco gorsza. To niebezpieczna gra, panie Michale! Niech się chłopak uprze i polecą jutro...

— Kiedy ma lecieć? Już jutro? Zdaje się, że nie pan spadł z gwiazdy, ale jakaś gwiazda spadła panu na głowę.

— Nie mówię, żeby zaraz jutro, ale kiedy się w młodej duszy jakieś marzenie rozpali i zacznie potem stygnąć, to się utrwali i już go żadna siła nie odmieni.

— Nie zdaje mi się — rzekł Lepajłło. — Każdy sztubak marzy zawsze o tym, aby zostać konduktorem tramwajowym, i gdyby się te marzenia spełniły, połowa ludzkości składałaby się z tych konduktorów.

— Ignas to już nie sztubak. Ho! Ho! Ten chłopiec wie, czego chce...

— Tym lepiej!

— Jak to: "tym lepiej"?

— A niech zostanie lotnikiem. Czy jest co piękniejszego na tym świecie nad latanie ponad światem, wśród chmur i obłoków? Panie Raczek! Śliczna to jest rzecz mieć skrzydła. My obaj już za starzy jesteśmy na to, aby zrozumieć rozkosz posiadania tych skrzydeł, ale taki młody jastrząb chce latać. My już szukamy grobu na ziemi, a oni szukają życia wśród błękitów. Ludzkość chce latać i chce lecieć coraz wyżej. Oni lepszą część wybrali, drogi panie. To my jesteśmy biedni, płazy ziemskie, co nigdy nie latają i trzymają się tej nieszczęśliwej ziemi pazurami, a oni rozszerzają sobie świat. To są dumni ludzie i może szczęśliwsi będą od nas. Cóż my, dwa kościane

dziady, wiedzieć możemy o tym, co się dzieje na wysokościach? Przyznam się panu, że czasem zawistnym okiem patrzę, jak tam ktoś młody i szalenie odważny śmiga wśród obłoków... Och, jakbym ja tam poleciał, jakbym ja poleciał!

— Żaden aeroplan pana nie uniesie — rzekł Raczek ponuro.

— Pańskiego ciężkiego dowcipu też! — wrzasnął Lepajłło.

— I powiadam panu, że jeżeli chłopiec zechce zostać lotnikiem, sam go do tego będę namawiał.

— Wcale się nie zdziwię. Pan rodzonego syna rzuciłby pod pociąg, cóż dopiero obce dziecko. Ja jednak nie chcę Ignasia narażać na niebezpieczeństwo. Oczywiście, są to jedynie przypuszczenia, bo chłopiec nigdy o tym wszystkim nie wspominał, ale ja umiem patrzeć i widzieć!

— Zezowata kura zobaczyła ziarnko i gdacze...

— Pańskie docinki nie czynią na mnie wrażenia, panie Lepajłło! To jest, że tak powiem, litewskie gadanie. Pan słyszy o tym ode mnie po raz pierwszy, a ja zastanawiam się nad tą sprawą i wiele na ten temat rozmyślałem.

— I dużo pan wymyślił?

— Zęby pan wiedział, że dużo. Ja też obserwuję te piekielne, latające maszyny i doszedłem do przekonania, że człowiek, wymyśliwszy je, popełnił okropną pomyłkę. Chce pan wiedzieć dlaczego? Bardzo proszę! Otóż człowiek chce latać. Doskonale! Niech lata... Kto mu tego zabroni? Ale dlaczego człowiek powierza swoje zdrowie i życie maszynie bezrozumnej, bez czucia, bez serca i bez ducha? Maszynie, której jest wszystko jedno, czy spłonie w powietrzu, czy rozbije się w drzazgi, wyrznąwszy o drzewo lub o ziemię? Niech pan tak nie rozszerza oczów, bo ja nie mówię głupich rzeczy.

— To się panu tylko zdaje — mówił rozsierdzony Lepajłło.

— Stuknij się pan w czoło! Bo jeżeli człowiek nie będzie latał na potężnej maszynie, to na czym będzie latał? Na miotle? Na łopacie?

— Ani na miotle, ani na łopacie. Zamiast maszyny jednak człowiek powinien był dążyć do wyprodukowania istoty obdarzonej zdolnością latania, ale żywej, rozumnej, posiadającej instynkt samozachowawczy, aby ta skrzydlata istota chroniąc własne życie, chroniła zarówno życie lecącego na niej człowieka. Taki wspaniały twór, widzący i czujący, leciałby rozumnie, roztropnie, ostrożnie i nie byłby narażony ani na spalenie, ani na wybuch, ani na oderwanie się śmigła czy też

skrzydła. Oto co wymyśliłem! A tylko nieukom może się to wszystko wydawać fantazją. Nie, panie Lepajłło! To nie jest fantazja. Pan może przypadkiem słyszał o pterodaktylach, olbrzymich stworzeniach przedpotopowych, posiadających skrzydła? Pewnie pan wie, co to był pegaz, skrzydlaty koń? Skrzydlaty gad istniał z całą pewnością, tak jak istnieją nietoperze i skrzydlate ryby, a pegaz mógłby istnieć. Dziesięciu groszy nie dałbym za to, czy nie istniał w mrokach dziejów. Dlaczegoż więc, pytam pana, ludzkość nie dąży albo do odnalezienia gdzieś w nieznanych zakątkach świata skrzydlatego jaszczura, albo do wyhodowania przez odpowiednie krzyżowania skrzydlatego konia? Po co nam wściekle i niebezpieczne maszyny? Czy nie byłoby to roztropniej i mądrzej lecieć na żywym, posłusznym stworzeniu, czułym, wesołym, posiadającym swój własny rozum i swój wyborny instynkt, niż na bezdusznym, stalowym potworze? Pegaz, panie Lepajłło, pegaz, skrzydlaty koń, oto co by wymyślił Alojzy Raczek! I powiadam panu, że jeszcze kiedyś ludzkość zrozumie, że ja miałem słuszności... Oby tylko nie było za późno... Ale co panu jest? Panie Michale, czy pan chory?

— Wody! — szepnął Lepajłło bardzo blade.

Raczek podał mu szybko szklankę z wodą i spoglądał na niego z czułą troskliwością.

— Czy panu lepiej?

Lepajłło łypnął oczami i rzekł głucho:

— Jeszcze nie, ale zaraz mi będzie lepiej... Niech pan czym prędzej ucieka, jak długo jestem osłabiony.

— Ale dlaczego? — zdumiał się Raczek.

— Bo kiedy wrócę całkowicie do przytomności, to pana zmiążdżę... Za tego pterodaktyla i za tego pegaza... Uciekaj, człowieku, bo ja za siebie nie ręczę... Przebaczyłem panu kartofle dla ludzkości, ale te bzdury to nad moje siły! Potworze, wyjdź stąd czym prędzej!

— Wyjdę, bo nie znoszę grubiaństwa, a pan jest grubianin! — rzekł Raczek z godnością. — Ale zdania mojego nie zmienię!

Już był za drzwiami, a zawołał raz jeszcze:

— Nie zmienię!

Bardzo był z siebie rad, że wzorem wielkich przewodników ludzkości nie uląkł się i nie dał się złamać.

— Dojechałem mu tym pterodaktylem! — mruknął uradowany, idąc szybko, bo noc była zimna, lecz pogodna. Patrzył ze współczuciem na nocnych stróżów, śpiących w zagłębieniach

bram, i na drzemiących dorożkarzów, kiwających się na koźle nad upiorami swoich nieszczęsnych koni. Razem ze współczuciem spłynął na niego natchniony pomysł, aby zimową porą ogrzewać ulice miast. Można by wielką tę myśl rozwiązać prosto: małe miasta nakrywać drewnianymi dachami i otaczać je korkowymi ścianami, większe zaś i wielkie ogrzewać za pomocą rur podziemnych rozprawiających ciepło i za pomocą licznych fontann wybuchających ukropem jak gejzery. Kiedy rozmyślał tak gorąco, chuchał mocno w zziębnięte ręce, rękawiczki bowiem miał w kieszeni. Kiedy znajdował się bardzo blisko domu, przypomniał sobie, że w taką mroźną noc należy użyć nocnego tramwaju, i zdziwił się, kiedy go musiał opuścić po kilku minutach.

Z równym zdziwieniem spojrzął na okno swego mieszkania, które płonęło bladym rumieńcem światła. Przyśpieszył kroku, zaniepokojony, godzina bowiem była pierwsza po północy. — To dziwne, że Ignas jeszcze nie śpi... Wszedł bardzo cicho i stanąwszy w ciemnej kuchence ujrzał chłopca zatopionego w jakiejś książce. Ignas, posłyszawszy szmer, zerwał się i spłonął, jakby schwytyany na gorącym uczynku. Raczek spochmurniał.

— Co ty wyprawiasz, chłopcze?

— Bardzo pana przepraszam. Nie przypuszczałem, że to tak późno... — odrzekł Ignas zalekłym głosem.

— Pokaż tę książkę! Co to jest?

Chłopiec miał minę wyraźnie przerażoną i bąkał coś niepewnie. Raczek wziął książkę i odczytał tytuł "Budowa aeroplanów". W tej chwili świsnął za oknem wiatr, a Raczek usłyszał w tym urągliwym świcie najwyraźniej głos Lepajłły i gniew go ogarnął. Ten litewski tur pragnie latać, a Ignas uczy się budowania aeroplanów.

Chłopiec po raz pierwszy ujrzał blady gniew na dobrym obliczu Raczka; był to widok tak niezwykły, że zaczął drżeć i patrzył na niego zalekłym, błagalnym spojrzeniem. Raczek jednak unikał jego wzroku.

— Skąd masz tę książkę? — zapytał chmurnym głosem.

— Pożyczył mi ją pan Szczęsny...

— Kto taki? Kto to jest Szczęsny?

— Sierżant lotniczej eskadry treningowej.

Pułap zwał się na udręczoną głowę Raczka, a on, nie mogąc udźwignąć tego ciężaru, usiadł na tapczanie i powtarzał w zdumieniu:

— Sierżant... lotniczej eskadry... eskadry treningowej...

— Bo są rozmaite eskadry — zaczął szybko tłumaczyć Ignasz. — Jest eskadra sztabowa i jest...

— Nie jestem ciekaw. Nic mnie nie obchodzą twoje eskadry. Ale skąd ty znasz tego sierżanta?

— Ja... ja go dawno znam... Michałek go znał... A raz on tu przyszedł do jego ojca... I wtedy go poznałem... On jest bardzo miły... Ja mu pożyczyłem "Złoto z Porto Bello", a on mnie dzisiaj tę książkę... Ja bardzo przepraszam...

— Za co przepraszasz? — mówił grobowym głosem Raczek w stronę ściany.

— Bo pan się gniewa. Ale ja nie wiedziałem, że tak późno... Strasznie mi przykro, że pan musi się gniewać... Ja nigdy nie chciałem...

Słowa Ignasia zaczęły opływać łzami, więc Raczek rzekł czym prędzej:

— Ja nie dlatego gniewam się, że czytasz po nocy, będziesz jutro niewyspany, i tyle, ale mam prawo gniewać się, że zawracasz sobie głowę aeroplanami. Dość już jest wariatów na świecie, abyś i ty miał postradać zmysły. Przyznasz chyba, że na to, aby fikać kozły w powietrzu, trzeba być wariatem.

— Nie, proszę pana — odrzekł Ignasz gorąco — trzeba być bohaterem.

Ponieważ pułap już raz jeden zwałił się na głowę Raczka, nie stało się to po raz drugi. Raczek spojrzał na Ignasia z niepomiernym zdumieniem i ważył w duszy, co ma uczynić, czy powtórzyć mu lśniąca i bujną teorię stworzenia pegaza, czy najpierw wydrwić ową "bohaterską" pomyłkę człowieka, co wymyślił maszynę? Wybrał jednak trzecie rozwikłanie przykrew sytuacji i rozkazał głucho:

— Idź spać!

Sam jednakże nie mógł usnąć, bo rój myśli brzęczał w jego głowie jak rój dokuczliwych much. Zasypiał i budził się. gorączkowo, zdawało mu się bowiem, że słyszy gniewny warkot samolotu. Kiedy odpędził brzęczące myśli i kiedy widmowy samolot, kruk złowróźbny, przepadł w czarnej ciszy nocy, zbudziło go przerażenie. Śniło mu się, że Lepajłło stał się potworem, skrzydlatym koniem, który rzy rozgłośnie i któremu z nozdrzy buchają ogniste płomienie, a on, Alojzy Raczek, siedzi na jego grzbiecie i wydając straszliwe okrzyki pędzi wśród zbałwanionych chmur; apokaliptyczny koń obejrzał się nagle na niezmiernych wysokościach i śmiejąc się piekielnym śmiechem zarżał ludzkim głosem: "Cha! Cha! teraz porachujemy się, panie Raczek! Zmów pan pacierz, bo zaraz pan zleci i wreszcie skręci pan karki" Zawył z nieludzkiej twogi

nieszczęsny jeździec, poczuł, że leci, niezmiernie długo leci, wreszcie bęcnął o ziemię. Otworzył przerażone oczy i ujrzał bladego, wystraszonego Ignasia, co ze świecą w ręku nad nim się pochylał.

— Co to jest? Co się stało? — pytał Raczek w wielkim zdumieniu.

— Nie wiem — drżącym głosem odpowiedział Ignasz.

— A dlaczego ja siedzę na ziemi?

— Też nie wiem... Bardzo się przestraszyłem...

Raczek usiłował uśmiechnąć się, ale nie mógł. Sen był zbyt okropny. Uspokoił Ignasia i znowu kościste swoje zmartwienie ułożył na tapczanie; wtedy dopiero sen zlitował się nad nim.

Zły dzień wstał po tej złej nocy, chociaż to była niedziela, z upragnieniem zawsze oczekiwana. Raczek obudził się znękany, a Ignasz zamysłony. Przyrządził śniadanie i wiercił się przy gospodarskich czynnościach cichutko, stąpając na palcach. Od czasu do czasu patrzył lękliwie na Raczka, który jednak tego rana miał serce z ołowiu. Nie uśmiechnął się ani razu, choć przemawiał pocziwie miękkim głosem. Widać, że przeczuł burzę, która nadciągała od strony miasta i przyjechała tramwajem około jedenastej godziny, kiedy Raczek wybierał się z Ignasiem do kościoła.

Przybiegł mocno podniecony Michałek i oznajmił, że jakichś dwóch panów szuka pana Raczka, że długo szukali, wreszcie znaleźli i już wchodzi na schody. Zdumiał się Raczek, nigdy bowiem prócz Lepajłły nikt go nie odwiedzał, nie miał zresztą towarzyskich znajomości.

— Któż to być może? — zapytał Michałka, który wszystko widział, więc mógł wszystko wiedzieć.

— Chyba z policji — odrzekł Michałek ostrzegawczo, odchodząc.

Raczek uspokoił się ujrzawszy dwie znajome twarze: jedna, ogromnie miła i wspaniale inteligentna, należała do pana Dorskiego, który piękne wiersze umieszczał w każdym niedzielnym numerze gazety i wielką cieszył się sławą, druga, bardzo nerwowa i dnia tego nie ogolona, do pana Kasińskiego. Był on również członkiem redakcyjnego sztabu i pisywał o sporcie. Artykuły były zwykle tak długie, że mógł je przebiec jedynie długodystansowiec. Byli to ludzie niezwykle sympatyczni, a wobec Raczka zawsze serdecznie uprzejmi, więc na ich widok szeroko się uśmiechnął, dnia tego po raz pierwszy. Lecz — co to jest, co to znaczy? Uśmiech Raczka opadł jak nagle zwiędły kwiat. Goście mieli poważne miny i martwe twarze.

— Witam pana — rzekł Dorski głosem suchym jak pieprz. — Chcieliśmy z panem zamienić kilka słów. Czy ten młody człowiek będzie łaskaw i zostawi nas samych?

— Oczywiście — bąknął zdumiony Raczek — Ignasiu, wyjdź. Ignasz spojrzał bacznie i widząc gości jakoś niezbyt uprzejmych wahał się przez chwilę. Odchodząc powoli i niechętnie, odwrócił się od drzwi i rzekł:

— Ja tu będę niedaleko!

Obaj panowie usiedli, jeden na tapczanie Ignasia, drugi na krześle, i oznajmili Raczkowi treściwie, że pan Michał Lepajłło stale jest obrażany przez pana Raczka, gdyż pan Raczek daje panu Lepajłłowi do poznania, że go uważa za kretyna czy coś w tym rodzaju. Pan Lepajłło długo to znosił, ale nie może znieść tego, że go pan Raczek nazwał wczoraj grubianinem i przez słowa “litewskie gadanie” wyrządził zniewagę jego pochodzeniu.

— Czy ja dobrze słyszę? — szepnął Raczek z największym zdumieniem.

— Zapewne dobrze — odrzekł Dorski.

I dodał, że wobec tego pan Lepajłło żąda zadośćuczynienia: albo pan Raczek wszystko uroczyście odwoła na piśmie, wyrazi żal i skruchę i przeprosi Lepajłłowi, albo...

— Albo? — wykrztusił Raczek.

— Albo krew się poleje! — krzyknął znieścaka Kasiński, który dotąd nic nie mówił, ale w tych krótkich słowach zawarł najokropniejszą, długą mowę.

— Panowie chyba żartują... — mówił Raczek załębły. — Przecież to niemożliwe, aby pan Michał...

— Chciał pan zapewne powiedzieć: “pan Lepajłło!” — ostrzegł krwawy sprawozdawca sportowy.

— Więc niech będzie “pan Lepajłło”... Przecież to niemożliwe!... Tyle razy gadaliśmy sobie gorsze rzeczy! Przecież on mi nie dawniej jak wczoraj powiedział, że jestem “mentecaptus”. A czy ja się obraziłem?

— To pańska sprawa. Pan się nie obraził, ale pan Lepajłło chce bronić swojego honoru.

— Cóż ja mam robić? — krzyknął Raczek w nagłym oszołomieniu.

— Czy przeprosi pan pana Lepajłłowi uroczyście? Raczek rozmyślał przez chwilę. W oczach miał błyski. Duch się w nim podniósł, więc i on podniósł się z krzesła, wzorem swego ducha.

— Nigdy! — oświadczył z mocą.

— Czy to jest pańskie ostatnie słowo?

— Ostatnie! Jedyne i ostatnie!

— W takim razie oczekujemy pańskich świadków — oświadczył Dorski wzruszywszy ramionami. — Dzisiaj o godzinie piątej.

Skłonili się sobie sztywno jak trzy cyprysy, kiedy wiatr zegnął ich dumne wierzchołki. Oni poszli, a Raczek pozostał ze swoją zranioną dumą, z burzą w sercu, z zamieszaniem w głowie i z rozpaczą w całym swoim jestestwie.

— Ignaś! — krzyknął rozgłośnie.

Ignaś zjawił się nagle, jakby wyskoczył z magicznego pudełka.

— Gdzieś ty był?

— Obok, w kuchni... Proszę pana, ja wszystko słyszałem!

— Słyszałeś? Tym lepiej, tym lepiej... Słyszałeś, że krew się poleje? Słyszałeś, czego żądali?

— Słyszałem i nie chcę wierzyć, aby pan Lepajłło kazał im tak mówić... To straszne, proszę pana.

— Tak, to straszne... Stary przyjaciel, któremu wierzyłem więcej niż sobie... Pozory mylą, drogi chłopcze! I on chce iść na mnie z mieczem... Dobrze, niech idzie!... Pojedynek... Bardzo proszę! Niech on mnie zabije, a ja ani drgnę, tylko mu spojrzę w oczy. Zobaczymy, czy on wytrzyma mój wzrok, jeszcze to zobaczymy.

— Ale on pana zabije! — krzyknął Ignaś.

— Kto? — zdumiał się Raczek. — Myślisz, że on naprawdę?...

— Z pewnością naprawdę! Gdyby sam tak mówił, to nic, ale ci dwaj panowie mogą narobić nieszczęścia.

— Co ty mówisz, co ty mówisz?... Czy dobrze wszystko słyszałeś? Bo ja byłem tak zdumiony, że niedobrze rozumiem.

Czego oni właściwie chcieli?

— Aby pan przeprosił pana Lepajłłę.

— Tak, ale ja tego nie uczynię. Co to jednak znaczy, że oni czekają o piątej godzinie na moich świadków? Skąd ja wezmę świadków? Ilu ich ma być?

— Pewno dwóch, bo ich było dwóch.

— Masz rację, masz rację... Wiem cokolwiek o pojedynkach, zapomniałem tylko, jak to się robi z tymi świadkami.

Aha! Świadkowie schodzą się i radzą, potem my dwaj mamy się zabijać, a oni pilnują, abyśmy się dokładnie zabili. Ależ tak, oczywiście, że tak... Dobrze! Jeśli pan Lepajłło żąda świadków, będzie ich miał, a ja ci, chłopcze, przysięgam, że przyjaźń z tym panem zerwana na wieki. Bo ja kochałem tego człowieka, ja go bardzo kochałem. Nie wiesz, dziecko, jak ja się przywiązuję do ludzi. Ale od dzisiaj ten pan już dla mnie nie istnieje. Stać mnie jeszcze na pogardę... Ignas! Skąd ja wezmę świadków?

Ignas był tak bardzo przejęty całą sprawą, że aż drżał. Już dawno, w ciągu mowy Raczka, postanowił, że w razie gdyby Raczek doznał jakiejś krzywdy, on tego nie przeżyje, teraz zaś rozmyślał gwałtownie, co czynić. Wezwany nagłym okrzykiem, ujrzał rozbłyśniętym wzrokiem na razie jednego świadka.

— Ja wiem — oświadczył tajemniczo. — Jednym może być pan sierżant Szczęsny.

— Zaraz, zaraz! To ten lotnik? Świetnie! A drugi?

— Drugiego pan Szczęsny weźmie z lotniska, bo tam ich jest mnóstwo.

— Chłopcze — mówił rozgorączkowany Raczek — my dwaj nie zginiemy! I nie damy sobie napluć w kaszę... Wojskowi! Znakomicie! Mam wrażenie, że kiedy Lepajłło ich zobaczy, od razu nie będzie taki hardy... Z sierżantem Szczęsnym nie taka łatwa sprawa!... “Krew się poleje!” — powiadał ten nie golony Kasiński. Doskonale, niech się poleje, ale sierżant Szczęsny będzie przy tym, więc jeszcze nie wiadomo, czyja krwi Ignasiu! Gdzie my go znajdziemy?

— Nie potrzeba go szukać, bo on tu sam przyjdzie po obiedzie do ogrodnika.

— To wybornie! — wołał Raczek.

Duch się w nim znowu podniósł jak flagi na maszcie, a uśmiech zaczajony jak złota iskierka w szarym popiele rozbłykiwał złotym blaskiem. Pełnym zaś płomieniem wytrysnął, kiedy ujrzał sierżanta. Młody, pyszny chłopiec z rumieńcem na wesołej twarzy ładny był jak panna z dawnych czasów. Jasno uczyniło się w mrocznej izbie, kiedy weszła ta młodość, skrzydlata i jasnooka. Przywitał się z Raczką uprzejmie, a wysłuchawszy opowieści, tak krwawej jak świeża polędwica, pełnej wykrzykników, gorących wybuchów i dźwięku bojowych trąb — nadspodziewanie wybuchnął śmiechem.

— Czy to wszystko na serio, czy to taki karnawał? — zapytał.

— Jest to istotna prawda — oświadczył Raczek.

— I ja mam być świadkiem?

— Nie śmiałybym sam o to prosić pana, Ignasie jednak, który, jak mi wiadomo, słusznie szczeni się pańską przyjaźnią...

— Ignasie jest morowy chłop! — zawołał lotnik z uznaniem. — Dla Ignasia jestem gotów wziąć udział w tej hecy. Dzisiaj jest niedziela, więc dobry dzień do kawałów. Mogę panu urządzać pojedynek pierwszej klasy... Zrobione! Wezmę przyjaciela, a jeśli pan chce, to czterech albo pięciu i pójdziemy zamówić trumnę dla tego Lepajłły.

— Panie! — zakrzyknął Raczek — jedno słowo tylko... Mogę się pojedynkować, mogę zrobić wszystko, co pan rozkaże, bo pan zna się na tym lepiej ode mnie. Na jedno tylko się nie zgodzę, na to mianowicie, aby panu Lepajłlle stała się jakakolwiek krzywda!

“Gość ma fioła” — pomyślał wesoło Szczęsny, a głośno zapytał: — Jakże to pan chce urządzać? Przecież pan przed chwilą strasznie się odgrażał.

Raczek ujął go pod rękę, zawiódł ku oknu i mówił szeptem, aby nikt z obecnych nie słyszał:

— Mam do pana zaufanie, więc panu powiem prawdę. Musiałem bardzo się odgrażać, aby Ignasie nie pomyślał, że mnie lekceważą, ale uważa pan... niech się pan nie śmieje, drogi panie... Ja bardzo kocham tego pana Lepajłłę.

Lotnik spojrział na niego ciekawie i zdaje się przejrzał na wskroś zacnego biedaczynę, bo mrugnął porozumiewawczo oczami i szepnął:

— Rozumiem...

— Rany boskie! — wrzasnął nagle Raczek i wskazywał ręką jakieś widmo poza oknem.

Spojrzeli wszyscy i zdumieli: Lepajłłło, czerwony na twarzy, wygramoliwszy się z taksówki z tupotem wielu koni żywych i parowych wbiegł na schody.

— Ja go nie wpuszczę! — krzyknął przeraźliwie Ignasie i oparł się plecami o drzwi. W tej chwili jednak odleciał od nich na środek izby, wprost w ramiona Raczka, co piękny jak posąg i jak posąg niewzruszony stał i czekał na śmierć albo na coś podobnego do śmierci.

— Panie Alojzy! Gdzie jest pan Alojzy? — huczał Lepajłłło nie widząc w mroku.

“Jeśli »Alojzy« — pomyślał Raczek błyskawicznie — to ja niepotrzebnie się boję...” — Tu jestem! — dodał głośno.

Lepajłłło wyciągnął ku niemu ramiona.

— Panie Alojzy... drogi panie Alojzy! — huczał i sapał w wielkim podnieceniu. — Niech pan niczemu nie wierzy... To wszystko oni wymyślili!

— Jacy “oni” i co wymyślili? — zapytał Raczek zimno.

— Zaraz powiem... Zasapałem się odrobinę... Chciałem pana cokolwiek nastraszyć, więc powiadam Dorskiemu i Kasińskiemu, aby wezwali pana do opamiętania. A te kreatury przychodzą do mnie przed chwilą i mówią, że będzie pojedynek... i że krew się poleje... Głupstwa, potworne głupstwa i brednie... Wyrzuciłem ich za drzwi... Nawet się obrazili... A sam czym prędzej przyjechałem tutaj, aby pana zapytać, czemu pan tego nie zrobił z nimi od razu?... Panie Alojzy! Przepraszam pana za przykrość... Ja jestem narwany i pan też, ale to nasza sprawa. Co komu do tego? Przebacz mi, stary przyjacielu... A z tymi świadkami to my się jeszcze porachujemy!

“Drugi wariat, ale bardzo sympatyczny” — pomyślał z uznaniem lotnik.

Raczek zaś czuł, że jego twarde serce zamienia się w masło. Otworzył ramiona i nadaremnie usiłował nimi objąć potężną postać Lepajłły.

Ignas patrzył z radosnym rozczuleniem na świętą zgodę i z zachwytem na swego pana Raczkę, co właśnie prezentował Lepajłł lotnika.

— Nie przekonałem się jeszcze do latających maszyn, ale latający ludzie są godni podziwu — rzekł nadobnie. — Oto jest pan Szczęsny, mój “świadek”.

— Cha! cha! — ryknął wesoło Lepajłło. — To pan też chciał mnie zakatrupić?

— Przyznam się, że miałem ten zamiar.

Lotnik obejrzał ogrom Lepajłły i rzekł ze znawstwem:

— W pana łatwo można by trafić z pistoletu, nawet zamknąwszy oczy.

— Jak w beczkę! — chciał powiedzieć Raczek, ale się powstrzymał.

I jeszcze raz uściśnął straszliwego Litwina.

VII

Ciepły wiatr zjadł powoli i łakomie wszystkie śniegi, wyborny wiosenny przysmak, potem świat stał się zielony. Sady i ogrody w okolicach lotniska dnia jednego rozkwitły. Szybkooci Michałek musiał nakazywać spokój swojemu szalonemu spojrzeniu przy pracy w ogrodzie ojca i czasem tylko jednym rozbieganym okiem lustrował blade jeszcze, lecz już błękitne niebo. Ponieważ wszystko rozkwitało w naturze, rozkwitła też dusza pana Raczka jak krzak głogu i osypana była kwieciem uśmiechu. Ignas natomiast był — wśród tych wiosennych porównań — raczej podobny do rzodkiewki: rumiany na twarzy, w głowie miał pęk zielonych myśli. Wyglądał doskonale, był silny i zdrowy. Uczniem był istotnie znakomitym i kochanym, a owe zielone myśli, bujne i świeże, hodował w roztropnej głowie poza szkolnym terenem. Wciąż mu się roiło i marzyło lotnisko. W szkole, wśród znawców, był najlepszym jego znawcą. Byli lepsi od niego w sprawach automobilizmu i żeglugi rzecznej; jeden z jego kolegów umiał z wielkiej odległości nazwać każdy wóz, wymienić nazwę fabryki i dodać kilka tajemnych szczegółów, inny był głośnym specjalistą od budowy kajaków, inny jeszcze był znaną powagą w sprawach kolarstwa. W aeronautyce był Ignas bez konkurencji. Jak głęboką wodę chłonał w siebie wszystkie dostępne wiadomości, fachowe terminy, daty i nazwiska. Znał nie tylko te głośne, co się całej Polsce oznajmiały wielkim szumem skrzydeł, albo te wielkie i wspaniałe, rozdzwonione czarnym hukiem pogrzebowych dzwonów; znał i te, nikomu jeszcze nie znane, należące do wielkiej gromady skrzydlatych ludzi pracujących niezamordowanie w zamkniętym i niedostępnym, olbrzymim kole lotniska. Wszyscy widzieli jedynie wspaniałe loty i dumne ptaki srebrzące się na błękitnie, on jednak widział z pobliza czarny, ciężki, wysilony trud tych ludzi, co za nim wylecą na przeczystość powietrza, napracować się muszą niezmiernie. Znał ich czujność żurawią i ich orlą odwagę. Kiedy wielkie miasto spało jeszcze swoim kamiennym, ciężkim snem, na lotnisku już wszystko żyło. Jego ogromny krąg był jak gdyby tarczą olbrzymiego zegara, w którym odbywa się wszystko z najściślejszą dokładnością. Wiatr poruszał precyzyjny mechanizm, a ludzie panowali nad wiatrem. Nie można było dopuścić się pomyłki ani zaniedbania lub nieostrożności. Tam jeden czuwał nad drugim, każdy miał w oczach bystrość i natężoną uwagę, a serca ich były tym samym, zgodnym, miarowym rytmem. Nieukojonym, rozdygotanym i postrzępionym szaleństwem wiatru rządziła wola człowieka, spokojnego, czujnego i pewnego siły swego serca. Ci ludzie nie mogli się zawahać ani zwątpić.

Tak jak nie może zadrgać ich ręka, kiedy ją kładą na sterze, tak nie może w nich zadrzeć serce, kiedy rzucają samolot w otchłań powietrza. Muszą być silniejsi od niespokojnego żywiołu. Nie mogą znać trwogi. Muszą być nieustraszeni. Wiedzą, że za lotnikiem leci na miotle wichru ktoś, kto na niego czyha, kto mu zazdrości i kto pragnie jego zguby. Wiatr, mściwy niewolnik, tygrys obłaskawiony, patrzy spode łba w oczy lotnika, aby w nich ujrzyć lęk. Gdyby go ujrzał, napadłby go podstępnie z wyciem wściekłości. Nie może jednak dostrzec tego lęku w oczach, więc służy pokornie. Czasem usiłuje zamrozić gorące serce lotnika, aby struchlało w zimnej trwodze; wtedy się staje lodowaty, staje się zły i kaśliwy jak wściekły pies. Nie może jednak sprawić, aby serce lotnika struchlało. Człowiek skrzydlaty ma spojrzenie ostre, jakby stalowe, a na sercu ma pancerz. Trzeba jakichś straszliwych potęg, skłębionych w nagłym obłędzie i zwołanych przez ryczącą burzę, aby połamać skrzydła ptakowi, a człowiekowi wyrwać władzę z rąk. Trzeba ognia i pożaru, trzeba śmierci motoru, aby człowiek drgnął i skierował wzrok ku ziemi. Są to bowiem ludzie wybrani z kroci, co przysięgli swojej duszy, że się nie ulęką nigdy i niczego. Skrzydlaci żołnierze, husarze nowocześni, przysięgli sobie, że trwoga nigdy skrzydeł ich nie splami. Powietrze jest ich żywiołem, jak woda jest żywiołem marynarza, więc całym sercem kochają swój żywioł. Jakże może ptaka trwożyć bezmiar błękitny?

Ignas zdawał sobie sprawę z tego wszystkiego i patrzył na tych ludzi z miłością i podziwem. Nie umiałby oblec tego w słowa, wiedział jednak serdecznym uczuciem, że ten niepozorny człowiek w mundurze, co wizerunek orła nosi nad sercem, urasta do wielkości olbrzyma, kiedy wzlatuje nad ziemię, w swoje królestwo bez granic, i że się staje skrzydlatym geniuszem z perskiej bajki, co niezmiernie przebiega przestrzenie i widzi krąg ziemi, nad którą zatacza koła strzegąc jej z wysoka. Ileż trzeba hartu i ile mocy, i ile odwagi i nieustraszoneści, aby zmienić się w ptaka, co opuszcza z własnej woli bezpieczną, płaską nieruchomość ziemi i leci pętać wichry... Co on tam czuje na wysokościach, ten nieustraszony lotnik? O czym myśli? Jaka rozpiera go duma w błękitnej samotności? Czy jest szczęśliwy, że się wzbił ponad ludzkie rojowisko? Czy jest może smutny, że jest sam? Czy śmieje się w głos z radości, że może błękit zagarniać rękami i gnać przed sobą chmury jak białe łabędzie?

Och, żeby można wiedzieć o tym wszystkim! Żeby móc polecieć raz jeden tylko...

Takie były zielone, bujne myśli Ignasia, kiedy samoloty rozpoczęły swoje wiosenne ciągi i każdego świtania śpiewały żelaznymi głosami.

— Jeszcze nie czas, jeszcze nie czas... — mówił sobie najcichszym szeptem, aby nikt nie dosłyszał.

Wiedział, że aby zostać lotnikiem, trzeba ogromnie pokonać trudności. Lotnik musi być doskonały. Zdawać by się mogło, że ptaki ludzkie przejęły od ptaków prawdziwych odwieczne prawo, że w skrzydlatej gromadzie nie ma miejsca dla osobnika słabego lub takiego, co będzie zawadą w śmiałych, ogromnych podróżach. Opowiadają, że bociany skazują na zagładę własnego brata, co ma przetrącone skrzydło lub jest takim mizerakiem, co nie dotrwa w podróży ponad ziemię i morza. W gromadzie lotników nie może się znaleźć człowiek słaby, z chwiejną duszą lub kalekim ciałem. Musi być wybrany pieczołowicie i wypróbowany stokrotnie. W straszliwej walce z żywiołem może brać udział ten tylko, co przebył ciężkie próby i dał świadectwo, że dotrwa i wytrwa aż do ostatniego tchu.

Ignas postanowił, że będzie taki. Będzie rosło jego zdrowe ciało, ale zarazem musi w nim tężeć serce i dusza musi się hartować, a może kiedyś powiedzą mu: “Jesteś godny, bracie, latać w naszej skrzydlatej gromadzie!” Nie powiedzą mu tego ani dziś, ani jutro. Ale on będzie cierpliwy. Przebył głód i nędzę i wie o tym, że trzeba być takim. Zatai na dnie duszy skrzydlate, rozszumiane marzenie i będzie się stawał powoli człowiekiem doskonałym, silnym i twardym. Nikt o tym niech nie wie, aż do czasu, kiedy wątłe, chłopiące ramiona tak stężeją, że będzie można powierzyć im skrzydła ciężkie i szerokie. Niech o tym nie wie nawet pan Raczek.

Pan Raczek jednakże wiedział. “Najchytrzejszy człowiek swojej epoki” patrzył bystrze i widział długie zamyślenia chłopca. Ponieważ pogląd na sprawy latania zachwiał się w nim cokolwiek pod wpływem sympatii, jaką poczuł dla latających ludzi, nie przeszkadzał Ignasiowi w jego rojeniach. Być może, że nieco słuszności mają i ci, co wymyślili ciężkie, latające maszyny. Jeszcze go o tym nie przekonano, nie będzie się jednak bronił, kiedy go będą usiłowali przekonać. Owszem, wysłucha mądrych i roztropnych racji. Filozof nigdy nie jest uparty jak zwyczajny muł i powinien z wyborną cierpliwością umieć wysłuchać uzasadnionych dowodzeń. Będzie to sprawa pomiędzy nim, duchowym ojcem skrzydlatego konia, i nazbyt ścisłymi umysłami, co odrzuciwszy czar poezji i romantyczności, powierzają życie człowieka tępej maszynie. Walka jest nierówna, bo on, Raczek, jest sam — apokaliptyczny jeździec na apokaliptycznym rumaku — a przeciwko niemu jest oficjalna nauka, politechniki, uniwersytety, instytuty, falanga inżynierów, ba: całe narody i armie tych wariatów, którym się zdaje, że na samolocie doleczą do gwiazd! Ale to nic!... Raczek poczuł w sobie śpiew dumy. Przeciwko Kopernikowi też był cały świat i cóż się okazało?

“Licho nadało — myślał Raczek — to mieszkanie obok lotniska. Komu mogło jednakże przyjść na myśl, że sam widok tych stalowych potworów, które powinny raczej przerazić chłopięcą duszę, rozpali w niej skrzydlate tęsknoty? Zresztą łatwo można uwieść niedoświadczonego Ignasia, skąd jednak stary niedźwiedź, Lepajłło, zapalał nagle taką żądzą latania? Ha! Ha! Skrzydlaty Lepajłło! Nic innego, tylko świat cokolwiek zwariował, a obłęd szerzy się epidemicznie. Mogło się przeto przydarzyć i Lepajłlle. Dziwne, naprawdę dziwne czasy!”

Jeszcze tak niedawno uczciwy człowiek żegnał się znakiem krzyża świętego, kiedy brał do rąk telegram, a Raczek przecie pamięta, jak ludzie szli do spowiedzi, zanim odważyli się usiąść w wagonie kolejowym. A teraz co? Chcą latać, pędzić, szaleć. Na jednym krańcu świata ktoś gra na trąbie, a na drugim krańcu wyraźnie go słyszą. Za dwie godziny można być w Krakowie. Jakiś amerykański dryblas przeleciał ocean na aeroplanie, inny pragnie oblecieć kulę ziemską. To są straszne rzeczy. Najstraszniejsze jednak jest to, że obłęd ogarnął nie tylko mężczyzn, w których zawsze siedzi czort, ale i słodkie kobiety, w których winno mieszkać anielstwo. Tego już Raczek nie może pojąć... Jak się dziwić chłopcu, rwącemu się do śmiałych czynów, kiedy pannica, co powinna narobić wrzasku na widok myszy, wdziewa pludry, siada na potworną maszynę i hejże w niebo! Rozumiałby, gdyby niedawna jego gospodyni, mama “indycznego jaja”, wzniosła się nagle w powietrze usiadłszy okrakiem na miotle. To byłoby nawet zabawne. Wcale nie jest jednak zabawne, lecz przerażające, kiedy panienka bez trwogi leci na aeroplanie i gna gdzieś do Afryki, leci nad morzami i czarnymi lądami. To jest jakaś potworna, koszmarna bajka. W głupim tramwaju może człowieka spotkać nieszczęście, cóż dopiero w takiej obłąkanej maszynie. Dreszcz przebiegł po chudym ciele Raczka.

— Na szaleństwo nie ma lekarstwa — rzekł sobie gorzko. — Wariatom sprzeciwić się nie można, bo to ich tylko zachęca do uporu i do tym większych wariacji.

Dlatego postanowił udawać, że nie widzi wypieków na twarzy Ignasia słuchającego przedziwnych opowieści sierżanta—pilota Szczęsnego. Chłopiec jest jeszcze niemądry, więc wierzy wszystkiemu, Raczek jednak — stary wróbel — nie da się wziąć na plewy. Słuchać słucha — owszem; bardzo lubi tego wesołego żołnierza, co ma takie rumieńce jak panna albo dojrzałe jabłko. Słuchając uśmiecha się jednak od czasu do czasu sympatycznie albo z miłym pobłażaniem, aby zaznaczyć grzecznie, lecz wyraźnie, że opowieści te dobre są dla naiwnych chłopaczków. Bo i jakże? Pan sierżant opowiada, że wyleciał na wysokość trzech tysięcy metrów. Kto to mierzył? Skąd pan sierżant znał tak dokładnie tę wysokość? Ale niech mu będzie! Przypuśćmy, że to prawda

i że oni mają jakieś sposoby, aby to zmierzyć. Ale (opowiadał dalej) na tej zawrotnej wysokości motor stanął i wypuścił z siebie ducha. Cóż robi ów wesoły sierżant? Skacze z aeroplanu! Tak wyraźnie powiedział... Chłopcu zaiskrzyły się oczy, on jednak pomyślał, że zaimby wyskoczył, już by zwariował ze strachu albo przynajmniej posiwiiał, a pan sierżant ani nie zwariował, ani nie posiwiiał;— tylko doleciał do ziemi, bo otworzył spadochron. Kiedy ten spadochron otwierał się w opowieści sierżanta, Ignas aż krzyknął z zachwytu i uwielbienia. On sam też czekał niecierpliwie na ciąg dalszy, ale nie było na co czekać. Sierżant leciał, leciał jak pod parasolem i doleciał do ziemi. Historia jest zajmująca, ale Raczek lubi ujrzeć wszystko na własne oczy, zanim uwierzy. Imię jego wprawdzie Alojzy, posiada jednak wiele właściwości Tomasza, którego nazwano “niewiernym”. Owszem, piszą o takich wypadkach, czasem o nich opowiadają. Raczek nie urodził się przecie dzisiaj dopiero i słyszał o wielu rzeczach, godnych podziwu, wolałby jednak sprawdzić je naocznie. Nie mówi tego Ignasiowi, bo mu nie chce mącić serdecznych zachwyków, powinien go jednak ostrzec, aby niezbyt dowierzał opowieściom tak fantastycznym jak skok z wysokości trzech tysięcy metrów. Chłopiec jest zapalczywy, a poza tym chłopcy w tym wieku mają małą naturę, skorą do naśladownictwa. Jednego dnia i jemu zechce się spróbować takiego skoku.

Panu Raczkowi zrobiło się zimno. Niebezpieczne jest towarzystwo lotników... Inne wojsko byłoby lepsze: żołnierz piechoty, człowiek spokojny, nie może nikogo nauczyć szaleństwa, ułan jest wprawdzie cokolwiek pomyłony, bo lubi skakać na złamanie karku, można jednak postarać się o spokojnego konia. Lotnik jednak jest awanturnikiem w największej skali. To już czysty wariat, a do tego wszystkiego wariat nieuleczalny, bez najmniejszej nadziei na poprawę. Żeby jeszcze sam tylko latał i opowiadając o tym lataniu straszyl spokojnych ludzi! Gdzież tam! On innych jeszcze zachęca i ryczy ze śmiechu, że musiał skakać spod chmur, jak gdyby to była wesoła zabawa i doskonały figiel. W tym właśnie największe leży niebezpieczeństwo. W przedziwnym uroku tych opowieści działającym na młode, niedowarzone głowy jak wino na pijaka.

Bóg raczy wiedzieć, co będzie z tego wszystkiego. Ignas im więcej słucha i im więcej przygląda się aeroplanom, tym dłużej potem myśli. Nauki pilnuje doskonale, każdą jednak wolną chwilę spędza przy ogrodzeniu lotniska. Spoza ogrodzenia pozdrawiają go wszyscy, bo już wszystkich zna, a na ulicy kłania się jakimś wesołym oficerom, którzy wołają na niego po imieniu. Raczek nie dałby grosza za to, czy Ignas nie był poza ogrodzeniem. Jest to, podobno, srodze zabronione, ale pchła, agent ubezpieczeń i mały chłopiec dostaną się wszędzie i potrafią wleźć

nawet za siedem zamkniętych bram. Skąd wreszcie te wszystkie książki, opisy wielkich wypraw lotniczych, wojenne lotnicze przygody, skąd te broszury i mapy lotów? Odbywa się jakiś potajemny targ i handel zamienny z lotnikami. Zresztą po co książki? Niech zawarczy aeroplan, a Ignaś, choćby nie wiadomo czym i jak był zajęty, rzuca wszystko i jest przy oknie. Jednej nocy, kiedy chłopiec spał, a Raczek rozmyślał, niespodziewanie zaterkotało niebo i głosy zaczęły się zbliżać. Raczek, wstrzymując oddech, patrzył ze zdumieniem, jak Ignaś nagle powstał cichutko z tapczanu i bez szelestu zbliżył się do okna. Stał jakby w zachwyceniu, ręce złożył jak do modlitwy i patrzył długo, długo patrzył. Raczek spojrział ukradkiem i ujrzał na czarności nieba dwie gwiazdy: czerwoną i zieloną, co leciały przez powietrze, drogą równą i jakby wytyczoną. To aeroplan. Śpiewał z radości i leciał, nocny ptak z jarzącymi oczami, aż wreszcie wsiąkł w chmurę i zginął w niej jak w gęstym, ciepłym gnieździe.

“Mało im dnia, więc latają jeszcze i po nocy” — pomyślał Raczek z niesmakiem.

Nie powiedział jednak ani słowa, aby nie przerazić chłopca, który w koszulinie, drżący na chłodzie, nasłuchiwał i nasłuchiwał, zanim cichutko nie wrócił na posłanie.

— Trzeba będzie pilnować chłopca — rzekł sobie Raczek. — Im mniej będzie w jego życiu lotników, tym dla niego będzie lepiej.

Nie mógł jednak przewidzieć, że los, osobisty nieprzyjaciel filozofów w ogóle, a Raczka w szczególności, sprzeciwi się jego zamiarom.

Kiedy w dniu dwudziestym pierwszym czerwca, poświęconym czci św. Alojzego, Raczek otworzył oczy, aby je nakarmić słońcem złocistego poranka, ujrzał przede wszystkim Ignasia czatującego na chwilę jego przebudzenia. Ignaś był nad podziw uroczysty, a gdyby nie można było tego odczytać z jego twarzy, siedmiu kolorami świadczył o tym bukiet kwiatów, który trzymał w ręku. Święty patron Raczka patrzył z rozrzewnieniem, jak Ignaś, rzuciwszy się na szyję Alojzego mieszkającego jeszcze na ziemi, urywanymi, najczulszymi słowami wielbił jego chwałę i słodką dobroć. Kwiaty zajaśniały najbarwiściej, kiedy je Raczek tulił do twarzy, aby za tą śliczną zasłoną ukryć łzy.

— Drogi mój... drogi mój chłopcze... — powtarzał. — Po co to? Po co te kwiaty?

Ale był niezmiernie szczęśliwy. W duszy pieścił nadzieję, że może kiedyś jakieś pocziwe serce rzuci mu mizerny kwiatek na trumnę. Nie spodziewał się ich nigdy za życia, a oto je ma, prawdziwe, żywe kwiaty, dla niego zebrane. Zawstydzony był i niepomiernie wzruszony. Chciał niby burczeć i udawać niezadowolonego, że to nie jest panną na wydaniu ani też babcią, której się

daje kwiaty, ale nie mógł. Gładził jedną ręką biedne kwiatki z ogrodu Michałka, a drugą gładził Ignasiowi głowinę. Sam zapomniał o swoich imieninach, a to chłopczysko, poczciwe i serdeczne, pamiętało. Rano musiał wstać, aby to wszystko przygotować, ale nie tylko to. Awantura odświętna będzie większa, bo mieszkanko jest pięknie przybrane, a na oknie stoją inne kwiaty i przeglądają się w szybach jak druhny przed weselem. Ignasz ma wypieki na twarzy i mówi bardzo przejęty:

— Niech ojczulek wstaje... (Od niejakiego czasu uchwalono ten tytuł i rangę dla pana Raczka). — Prędko, czym prędzej...

— Święty Alojzy — zdumiał się Raczek. — Dlaczego?

— Bo goście przyjdą... Bardzo wiele gości...

— Rany boskie! — przeraził się Raczek. — Po co?

— Jak to “po co”? — zaśmiał się Ignasz. — Na imieniny!

— Prawda... imieniny...

Ale cóż my zrobimy z gośćmi? Ignasz, gadaj, co my z nimi zrobimy? Może przybić kartkę na drzwiach, żeśmy wyjechali. Co im dać, czym ich przyjąć? Boże miły! Czekaj no, zaraz się ubiorę i skoczę po jakiegoś śledzia albo coś w tym rodzaju. Siedź będzie najlepszy...

— Nie potrzeba śledzia — śmiał się Ignasz — mamy lepsze rzeczy.

— Jak to “mamy”? Skąd mamy?

— Wszystko ojczulek zobaczy, tylko proszę wstawać i ubierać się jak najprędzej.

Wiele jednak czasu upłynęło zanim Raczek oblekł się w godowe szaty. Był tak przejęty i wytrącony z rozważnej kolei swoich codziennych czynności, że zabierając się do golenia zaczął ostrzyć brzytwę nie na rzemieniu, lecz na ręczniku, który tej operacji nie wytrzymał i zakończył swój użyteczny żywot. Wielka radość Raczka usiłująca zaśpiewać najsmutniejszą arię z “Halki” mieszała się ustawicznie z wielkim rozrzewnieniem, ile razy spojrzął na kwiaty wetknięte do blaszanego dzbanka i kolorowo się pyszniące. Kiedy wreszcie przejrzał się w lustrze, co trzeba było wykonywać na raty — lusterko bowiem odbijało za jednym zamachem jedynie drobny ułamek jego figury — Raczek złożył z tych ułamków postać człowieka szczęśliwego. Święty Alojzy, siedzący na niebiosach, skinął z uznaniem promienistą głową.

Raczek zszedł do ogrodu zamienionego na zielony salon i na obszerną salę, w której miała odbyć się uczta. Pomysł był wyborny, niecierpliwy gość bowiem mógł sobie wyrwać z grządki rzodkiewkę lub pochyliwszy się nad rodzącą ziemią skubać bladezielone listki sałaty. Nikt jednak takiej niewytwornej łapczywości nie okazał, któż zresztą pożerałby zielska ujrzawszy stół bogato

zastawiony jadłem i napojem? Znać było pracę żony ogrodnika przy fundamentach uczy, solidnych i pożywnych, natomiast smakołyki przedziwne, a wśród nich tort wielkości piastowego koła, pochodziły od przyjaciół z miasta. Ignas objaśniał zdyszczanym głosem, że niebawem ten dar pochodzi od córki pana Lepajłły, który w imieniu własnym przysłał kilka butelek wina. Stół był przybrany i zastawiony tak pięknie, że słońce — zdawało się — zatrzymało się na dłuższą chwilę, aby go obejrzeć, a promienie jak złote pszczoły łąziły po słodkim torcie.

Okolo dwunastej godziny zaczęli zjawiać się goście w tej ziemi chananejskiej. Lepajłło podniósł wrzask już z daleka; przyszli niedawni sekundanci: Dorski i wyjątkowo ogolony Kasiński. Zjawili się —wszyscy mieszkańcy domku, a szybkoooki Michałek, gwałt zadając swojemu spojrzeniu, utkwiał oko lewe i prawe, po raz pierwszy chyba w życiu równocześnie, w torcie. Na koniec przybył sierżant—pilot Szczęsny, który przywiódł ze sobą przyjaciela, mechanika Wrońskiego, przedziwnego człowieka, który przy każdej okazji wybuchał zdrowym, rozgłośnym śmiechem. To nie był człowiek, lecz petarda naładowana radością. Radowało go bez wyjątku wszystko, a kiedy nastawał jakiś moment martwy, kiedy stanowczo nie było powodu do głośniejszej radości, mechanik Wroński wybuchał wtedy najgłośniejszym śmiechem. Zdawało się, że w tej chwili wystrzela z własnej pilności zapomniana na poboju armata. Chłop był roztropany i wcale do rzeczy, tylko musiał się śmiać. Przyjęty z wielką serdecznością, jako przyjaciel przyjaciela, który odwiedza przyjaciół, zarżał z tego powodu wielkim śmiechem i wodził uczciwymi oczami dokoła, jak gdyby szukał tego, co się tak donośnie śmieje. Spojrzeli na niego raz i drugi z nieukrywanym podziwem, co jemu znowu wydało się okropnie śmieszne. Napęlił tym swoim zaraźliwym śmiechem najpierw cały ogródek, a potem wszystkich uczestników zebrania, a jego przyjaciel, sierżant—pilot Szczęsny, tak wyjaśniał Raczkowi tajemnicę tego głośnego, rżącego ducha:

— On, proszę pana, umie pracować za dziesięciu, a śmieje się za stu. Zawsze coś znajdzie do śmiechu i dlatego nigdy nie można go brać ze sobą na pogrzeb, bo gotów by rozśmieszyć całe towarzystwo. Powiada, że się śmieje tak “ze zdrowia”. Naprawdę, to on nigdy nie jest zmęczony, chociaż wszyscy lecą z nóg. Czasem pot zalewa mu czoło, a ten bęcał śmieje się, a inni z nim. Bardzo go za to kochają, chociaż można i za co innego, bo koszulę ściągnąłby z grzbietu, aby poratować przyjaciela. Nikt by tam bardzo o koszulę nie walczył, bo zawsze jest posmarowana oliwą, każdy jednak wie, że Wroński to sama zachość. Z czego on się teraz tak śmieje?... Aha! Zobaczył tego Michałka, co to ma zwariowane oczy...

Bardzo dziękuję, że go panowie tak mile przyjęli, bo to złoto, nie dusza.

— Wyborny chłopak! — rzekł Raczek z uznaniem. — Czy u was wszyscy są tacy?

— Małpa wszędzie się znajdzie — odrzekł Szczęsny sentencjonalnie. — U nas jednak najrzadziej. Żołnierze są zawsze kochającą się rodziną, a lotnicy to mała rodzina, ale kochająca się tym więcej. Bo, widzi pan, za innymi chodzi śmierć tylko czasu wojny, a za nami... A temu co się znowu stało?

Wroński wpadł w radosny szal i w rozmowie z dowcipnym poetą Dorskim znalazł łup obfity. Poeta był zachwycony tą bujnością życia i zdrowym poglądem na zawile jego sprawy. Zmartwienie, ciężka choroba, nie miało dostępu do tego radosnego chłopaka, a smutek uciekał precz na sam widok wesołej gęby. Właśnie tłumaczył Dorskiemu, że bigos, uczyniony przez ogrodnikową, jest boską potrawą, bo Bóg jeden wie, z czego został przyrządzony, Dorski zaś, zrobiwszy bigos z wesołych słów, opowiadał mu o “trzydziestoletniej wojnie” Raczka z Lepajłłą, więc podawali sobie śmiech jak piłkę. Dlatego to Raczek nie usłyszał ostatnich, smutnych słów Szczęsnego. Nie myślał jednak o tym, bo ucza stała się gwarna. Najbujniejszą rośliną w mizernym ogródku stała się radość. Wniebowzięty Ignas wiercił się jak w ukropie i służył znamienitym gościom. Nawet stolarz uśmiechał się dyskretnie, jak przystoi człowiekowi, który wyrabia trumny. Wszyscy jednak byli szczęśliwi, że szarość życia nabrała na ten dzień rumieńców i jasnymi oczami patrzyła na błękit nieba i świeżą zieloność drzew. Zwalisty Lepajłło był wielce rad i patrząc z rozrzewnieniem na Raczka szeptał grubym szeptem, nachyliwszy się ku Szczęsnemu:

— Takich ludzi jak Raczek już nie ma, a on się jakimś cudem uchował, bo jest taki poczciwy i łatwowierny, że powinien zginąć. Kiedy na niego patrzę, zawsze mi się zdaje, że dziecko zabłąkało się w wielkim mieście i krąży wśród rozwydrzonych ludzi i wśród wściekłych maszyn. Pan Bóg widać czuwa nad takim mizerakiem, nad takim przedpotopowym biedaczyną, wygrzebanym w jakiejś zapomnianej jaskini. Śmieszny on jest, oryginał, dziwak, nedorajda, ale lżej byłoby żyć, gdyby takich było więcej. Ale już takich nie będzie. Życie nie pozwoli, aby się tacy rodzili, nie umiejący walczyć ani nie mający pazurów. Cóż on ma na swoją obronę? Serce! Słaba to jest broń i krucha! Ot, biedaczysko, co się zabłąkał na świat... Nawet w powieściach już się takich szczątkowych zabytków nie spotyka. A patrz pani Jeden chodzi po świecie i siedzi pomiędzy nami, z ostatnich najostatniejszy. Ha! ha! Nawet imieniny obchodzi... Dajże mu, Panie Boże, zdrowie za to wszystko dobre, które ten śmieszny człowiek uczynił!

— Ja kocham pana Raczka — mówił serdecznie lotnik. — Ani mi on brat, ani swat, ale go kocham za to, że jest taki, jaki jest... Myślę sobie czasem, że gdybym umierał z głodu, nie poszedłbym do nikogo na świecie, tylko wprost do niego. Dość spojrzeć w jego oczy... A czy to mało, co zrobił dla Ignasia? Chłopak byłby przepadł jak amen w pacierzu i zmarniałby na nic. Pan Raczek ocalił człowieka, ale też dobrze trafił. Ignas jest wyjątkowym chłopcem.

— Racja, racja! — cieszył się Lepajłło. — A czy pan wie o tym, jak on się rwie do lotnictwa?

— Wiem, doskonale wiem. I to panu powiem, że z takich jak on wyrastają najlepsi lotnicy. Do latania trzeba poczuć miłość. Byle łapserdak nie będzie latał! Do tego trzeba mieć serce i trzeba chcieć latać. Z rozkazu nikt lotnikiem nie zostanie, a ropucha latać nie będzie, żeby jej nawet zagrozić śmiercią. Niech tylko chłopak dojrzeje i niech się hartuje, a potem daj Boże, aby został lotnikiem. Im więcej lotników, takich nieustraszonych lotników, można rzec: lotników z miłości, tym Ojczyzna pewniejsza, panie redaktorze — dodał Szczęsny z powagą. — Czy pan Raczek jednak pozwoli, bo słyszałem...

— Wszystko jedno, co pan słyszał. Raczka odwrócimy podszewką do góry! W odpowiednim czasie Ignas ucałuje go w rękę i zrobi z niego masło. Aj! Gdyby tę sprawę trzeba było załatwić dzisiaj, Raczek sam usiadłby w aeroplanie. Zdrowie pańskie, panie Raczek!

Raczek wlaźł na drabinę zachwycenia i wlaźił na nią uporczywie. Był tak nieludzko szczęśliwy, że czasem spoglądał na niebo i patrzył bystrze dookoła, jak gdyby badając, czy jeszcze znajduje się wśród żywych i jeszcze na tym świecie, a nie w krainie błogosławionych, gdzie jest nieustająca radość i wesele? Trudno było o tym wątpić, kiedy się nagle rozległ wystrzał działowego śmiechu wesołego mechanika, można było bowiem przypuścić, że w rajskiej krainie, gdzie wieją zefiry i gdzie cudnie grają na słodkich gęślach, nie ścierpiano by śmiechu, który przypominał końskie rzenie. Sprawa musiała odbywać się na ziemi, chociaż Raczek zauważył astronomicznym swoim zmysłem, że od niejakiego czasu w jej pozornej stałości zaszły jakieś wewnętrzne zaburzenia. Ponieważ wydawało się wątpliwe, aby ziemia zaczęła się kręcić z drzewami i domami ze względu na jego imieniny, Raczek począł w bystrym umyśle szukać przyczyn bardziej prawdopodobnych. Nagle zadrżał.

— Upiłem się! — szepnął z przerażonym zdumieniem.

Wypił wprawdzie dwa tylko kieliszki wina, była to jednak dla jego słabej głowy ilość wystarczająca, aby zburzyć gmach jego niewzruszoności. Igraszki wina były tak diabelskie, że

kiedy Lepajłło zakrzyknął w jego stronę, Raczek ujrzał z najwyższym podziwem dwóch Lepajłłów, jak gdyby jednego było na świecie za mało i jak gdyby na każdy kieliszek wina wypadał jeden Lepajłło. Było coś tak przeraźliwego w tym zjawisku, że Raczek pobladł: nie chcąc jednak, jako umysł ścisły, niedowierzający złudzeniom, utrwałać zasady bez wielokrotnych doświadczeń, skierował ostrożnie wzrok na innych i... jęknął. Było dwóch Ignasiów, dwóch Dorskich, dwóch Kasińskich. Przyszła mu na myśl straszliwa tajemnica o sztuce rozdawiania osobowości, niemożliwe jest jednak, aby tajemnicę tę znał stolarz lub Michałek. Wobec tego Raczek doszedł dość żmudnie do potwornego wniosku, że zupełnie zwyczajnie spił się jak nieboskie stworzenie i za chwilę stanie się pośmiewiskiem całego narodu. Krople potu ukazały się na jego mądrym czole. Spoglądając ponuro, zauważył jednak, że nikt na niego nie patrzy, a jeśli kto spojrzy, nie tylko że się nie odwraca z niesmakiem i wstrętem, lecz najzyczliwiej się uśmiecha. Począł żywić niewyraźną i nieśmiałą nadzieję, że może skandal nie jest jeszcze publiczny, jak on myśli. Otrząsnął się i — oto cudownym sposobem dwie głowy Lepajłły spotkały się, uderzyły o siebie jak dwie dynie i, jedna weszła w drugą. Raczek odetchnął... Trudniej było z ryczącym mechanikiem Wrońskim, którego dwie głowy przez czas długi odskakiwały od siebie jak gdyby w popędliwej kłótni, wreszcie jednak głowa prawa weszła w lewą jak do futerału i od tej chwili grzmiała śmiechem jedna, nie dwie.

Raczek otarł pot z czoła i spojrzał z gniewem na butelki. Ostrożnie podszedł ku rozmawiającym i uśmiechając się niepewnie, nasłuchiwał rozmowy. Słowa zdawały się brzmieć gdzieś w oddaleniu i z niejakim opóźnieniem zapadały w głęboką toń jego rozsądku. Wreszcie zaczął rozumieć je wybornie, jedne witając uśmiechem, a inne potakiwaniem chwiejnej głowy. Pan Kasiński rozprawiał żywo o swojej podróży do Ameryki i nie szczędził jej uwag gorzkich i dotkliwych.

— Dlaczego — mówił — Amerykanie patrzą na Europejczyków jak na bankruta albo na zbiorowisko zniedołężniałych pięknoduchów, które można stratować amerykańskim, ciężkim butem? Amerykańska pycha tak wyrosła jak te ich drapacze chmur. Wszystko tylko u nich najlepsze, wszystko tylko u nich najwspanialsze, a my twórcy wielkiej cywilizacji — w tym miejscu pan Kasiński wypiął dumnie pierś — możemy odejść jak ów Murzyn, który spełnił swoją powinność i nikomu nie jest potrzebny.

— Potężny to jednak naród! — wtrącił Lepajłło.

— Nie przeczę. Wspaniały naród, ale nam, starym Europejczykom, należy się z ich strony wdzięczność, jak mistrzowi należy się wdzięczność od uczniów, choćby najzdolniejszych. Tymczasem Ameryka lekceważy nas!

Powiedział to z taką boleścią w głosie, jak gdyby jego lekceważono osobiście najdotkliwiej.

Raczek słuchał pilnie i nagle wielkie ogarnęło go światło.

— Ja bym ich nauczył rozumu, panowie! — rzekł dobitnie.

— Cóż uczynisz, nieszczęsna sardynko, rekinowi? — zaśmiał się Lepajłło.

— Co? — krzyknął Raczek. — Posłuchaj pan! O co idzie? O to, aby amerykańskich potentatów, którzy usiłują trząść światem, nauczyć rozumu i pokory. Czy dobrze powiedziałem?

— Wal pan dalej! — zagrział wesoło Lepajłło.

— Otóż ja mam myśl! Pierwszorzędną myśl... Jak panom wiadomo, ziemia obraca się dokoła swej osi i kiedy nasza półkula zwrócona jest ku słońcu, Ameryka pogrążona jest w mrokach nocy. Otóż to byłby kawał doskonały, gdyby przy użyciu potęgi dzisiejszej techniki zatrzymać obrót ziemi nie na długo, na jakieś cztery, pięć dni! U nas nieustanny dzień, a Amerykańcy w krzyk i płacz, bo noc się nie chce skończyć i nieboraczki marzną, że aż ha! Panie Wroński! Pan jest mechanikiem, więc niech pan powie, czy taka rzecz jest możliwa? Zatrzymać ziemię! Archimedes¹⁵ chciał ją podnieść, a Raczek chce ją zatrzymać! Zobaczylibyśmy, kto by się wtedy z kogo śmiał, oni z nas czy my z nich! Zatrzymać ziemię, panowie, oto co wymyśliłem! Bo jeżeli....

Tu przerwał. Spojrzał na Lepajłłę i ujrzał w jego oczach furję straszliwszą jeszcze niż wtedy, kiedy proponował wyhodowanie pterodaktyla, więc się przeraził. W tej chwili jednak, zawezwany jako specjalista od zatrzymywania ziemi, Wroński ryknął takim śmiechem, jakim nie śmiał się jeszcze nigdy w życiu. A wszyscy razem z nim. Na ostatku zaś zaczął podrygiwać Lepajłło, z którego furia opadła w strzępach.

— Świetny kawał! — krzyknął Szczęsny. — Niech żyje pan Raczek!

Wrzask był taki, że dwie wrony uciekły z trwożnym krakaniem.

“Rzecz dziwna! — rozmyślał Raczek. — Czemu oni się tak śmieją? Ja bynajmniej nie żartowałem... Dlaczego nie można by zatrzymać ziemi?”

¹⁵ A r c h i m e d e s — największy matematyk i fizyk starożytnej Grecji żyjący w III w. p.n.e.

Ujrawszy nagle, że Lepajło znowu się rozdzielił i ma dwie głowy, przestał rozmyślać i machnąwszy ręką na Amerykę, zaczął podejrzewać, że ten przekłety Litwin robi mu na złość i dwoi mu się w oczach.

VIII

Ignaś powrócił ze szkoły z rozbitym nosem i z okiem obwiedzionym żalobną obwódką sińca.

— Co ci się stało, chłopcze? — krzyknął Raczek na widok oblicza wyglądającego jak pole przegranej bitwy.

— To nic — odrzekł Ignas chmurnie. — Sprawa honorowa!

Więcej nie można było z niego wydobyć. Raczek nie nastawał, lecz kręcił głową. Trudno było przypuścić, że rozsądny chłopiec wdaje się w uliczne bójki, ta zaś, sądząc z uporczywych śladów, musiała być gwałtowna. Jedno tylko trapiło Raczka: że smukły, silny chłopiec dał się stłuc na kwaśne jabłko. Miał lepsze wyobrażenie o bohaterstwie Ignasia. Pod wieczór przeto, kiedy spostrzegł, że wzburzony ocean w chłopięcym sercu cokolwiek się uciszył, rzekł:

— To twoja sprawa. Powiedz mi tylko, czy tamten nic nie oberwał?

Ignas uśmiechnął się.

— Musiałem mu pomóc, bo sam nie mógł się podnieść.

— W porządku! — oświadczył Raczek. — Jeszcze jedno pytanie. Czy walka była honorowa?

— Oczywiście — odrzekł Ignas.

— W porządku! — oświadczył Raczek po raz drugi.

Więcej o tym nie mówili, sędziwy filozof mniemał bowiem, że bujna młodość ma swoje prawa i swoje tajemnice i lepiej czyni tocząc srogie boje, niżby miała w sobie sycić nienawiść i zawziętość. Zdziwił się jednak, gdy po upływie trzech dni. — kiedy Ignasia nie było w domu, bo pognął na drugi kraniec miasta po jakąś książkę — zapukał do drzwi młodzieniec w uczniowskim kaszkiecie na głowie, dość smętnie wyglądający, albowiem twarz młodzieńca nosiła na sobie ślady niedawno przebytej walki wręcz. Młodzieniec szurnął nogami i nadržając miną zapytał grzecznie:

— Czy Ignas jest w domu?

— Nie ma go, ale wkrótce wróci — odrzekł Raczek uprzejmie, uśmiechając się przychylnie w stronę posiniaczonej młodości. — Może pan zaczeka albo może ja załatwię wasze interesy?

— To niemożliwe — rzekł uczeń. — Ja muszę się z nim widzieć osobiście. Przez trzy dni nie mogłem przyjść do szkoły, bo Ignas tak mi dojechał...

— O, o, o! — zdumiał się Raczek. — Czy kawaler przyszedł, aby się znowu bić?

— Nie — uśmiechnął się młodzieniec boleśnie — ja przyszedłem, aby przeprosić Ignasia.

— Niech pan siada! — zawołał Raczek.

Objął chłopca ramieniem i posadził na łóżku Ignasia.

— Walczyć łatwo — rzekł roztropnie Raczek — Raczek — przepraszać trudniej. To dowodzi, że umysł pański jest wzniosły.

Chłopiec znowu się uśmiechnął, tym razem z powątpiewaniem.

— Ignas jest byczy chłop — mówił cicho — a ja jestem bałwan. Bo pan może nie wie, o co poszło? Czy Ignas panu nie mówił?

— On nie chciał mówić, a ja nie chciałem pytać.

— Widzi pan, jaki to porządny człowiek! Bo to... bo to poszło o pana... — rzekł młodzieniec niepewnie.

— O mnie? Na miły Bóg! Przecie ty mnie nie znależ, miły chłopcze?

— Ani ja, ani nikt w całej szkole, ale wszyscy o panu wiedzą, bo Ignas bez końca o panu opowiada. Wszyscy wiedzą, jak pan się nazywa i czym pan jest dla Ignasia... Ale przed trzema dniami, kiedy mówiliśmy o astronomii...

— Patrzcie, patrzcie! To pięknie...

— Może być... Ignas powiedział, że gdyby dotąd nie było Kopernika, to pan z całą pewnością wymyśliłby to samo co Kopernik.

— Ach! — uśmiechnął się Raczek. — To lekka przesada...

— Ja mu to samo powiedziałem, tylko trochę inaczej...

— Ciekaw jestem...

— Jeżeli pan mnie nie wyrzuci za drzwi, to powiem... Pan jest taki jakiś serdeczny, że mi teraz wstyd i dlatego chcę pana też przeprosić... Ja wtedy powiedziałem... Bardzo pana przepraszam... Ja powiedziałem... że pan jest pewnie taki astronom, co nie umie odróżnić piernika od gwiazdy...

— Też lekka przesada — uśmiechnął się Raczek boleśnie.

— ...I coś tam jeszcze powiedziałem o panu śmiesznego, bo wszyscy zaczęli się śmiać...

— Cóż na to powiedział Ignas?

— Ignas nic nie powiedział, tylko stanął w pozycji, ostrzegł mnie, że będzie atakował, i tak mnie wyrznął w łeb, że w biały dzień zobaczyłem gwiazdy...

— I poznałeś, że to nie pierniki! — zaśmiał się Raczek.

— Ja sprąłem Ignasia, ale Ignas sprął mnie potężniej i teraz jest już wszystko w porządku. Jutro spotkalibyśmy się w szkole i byłaby heca. Wolę przeprosić się z Ignasiem dzisiaj i cieszę się, że mogę przeprosić pana.

— Nie potrzeba, drogie dziecko, nie potrzeba! Ja istotnie jestem astronomem od siedmiu boleści i spod najciemniejszej gwiazdy, a Ignas ma o mnie zbyt górne wyobrażenie.

— Ale też on pana kochał — wołał z zachwytem młodzieniec.

— Czyżby, czyżby? — śmiał się Raczek całą duszą. — Podaj mi rękę, przyjacielu... Strasznie jestem rad, że nie chowasz w sercu urazy, bo to diabła warte. Lepszy siniec pod okiem niż na sercu. Czy wolno spytać o nazwisko?

— Koniewicz — rzekł młodzieniec z ukłonem.

— Koniewicz? Czekaj no! Czy pański ojciec pochodzi ze Lwowa? Wysoki, czarny, bardzo wesoły? Zygmunt? Ależ ja go znam!

— Ten sam! Mój ojciec też pana zna. Kiedy mu powiedziałem, dlaczego mam rozbity łeb, ojciec powiada: “Dobrze ci taki Naśmiewałeś się z najzacniejszego człowieka na świecie!”

— Och! — zarumienił się Raczek różowym obłokiem rumieńca. — Pański ojciec zbyt łaskaw.

— Ja widzę, że nie — rzekł chłopiec serdecznie. — Proszę pana... To Ignas!

Zerwał się z łóżka i czekał w skupieniu.

Ignas wpadł z ferworem, pokrzykując na drabiniastych schodach, i nagle przybrał pozę małżonki Lota zamienionej w słup soli. Otworzył szeroko oczy i z niepomiernym zdumieniem patrzył na Koniewicza. Po dłuższej chwili podniósł wzrok na Raczka i zrozumiałwszy z jego serdecznego uśmiechu, że posiniaczona tajemnica otwarła swoje wnętrze, bez jednego słowa otwarł szeroko ramiona. Koniewicz jak automat uczynił to samo i padli sobie w objęcia.

— Tadius! — szeptał Ignas.

— Ignasiu! — szeptał Tadius.

Ponieważ Raczek nie wiedział, co należy czynić w takich serdecznych chwilach, czy wyrzec uroczycie: “Błogosławię wam, moje dzieci!”, czy też wziąć niemy udział w radości, wycofał się cichutko z izdebki, pozostawiając ich samych, aby w spokoju obejrżeli swoje sińce i,

policzyli wzajemne klęski. Żaden z nich jednak nawet nie wspomniał o takich drobiazgach, niewartych wspomnienia. Natomiast Tadeusz oświadczył Ignacemu, a Ignacy Tadeuszowi, że słynni przyjaciele starożytności byli niezdarnymi partaczami w okazywaniu sobie przyjaźni wobec tej przyjaźni, która ich połączy od dzisiaj do grobowej deski.

— A pan Raczek to jest cudowny człowiek! — dodał Koniewicz. — Gdzie on się podział?

Raczek krążył po ogródku i uśmiechał się do fasoli rozpiętej na tyczkach, myśląc o tym równocześnie, że młodość jest cudownym wynalazkiem, jeśli ma serce czyste, choć napełnione krwią burzliwą. Fasola uznała w całej pełni pogląd Raczka na te sprawy.

Wzruszające to zdarzenie dało początek towarzyskim stosunkom między obydwoma domami, jednej niedzieli bowiem towarzyska firma Raczek złożyła swoje uszanowanie firmie towarzyskiej Koniewiczów. Był to dom wielce miły, bo napełniony słodką, uroczą, lwowską śpiewnością; rdzenni lwowianie bowiem nie mogli się jej pozbyć tak samo, jak nie mogli pozbyć się szczerego uśmiechu, który każde poprzedzał słowo, i owej słynnej lwowskiej gościnności, która ma serce zawsze otwarte, żadnej nigdy nie żąda wdzięczności i odruchy posiada zgoła cudowne. Raczek odnowił dawne wspomnienia w głośnej, roześmianej rozmowie ze starym Koniewiczem, Tadzio zaś pociągnął Ignasia na swoje osobiste terytorium: do swojego pokoju. Na progu przystanął z wielkim krzykiem:

— Inka! Znowu tu jesteś? Czy na drzwiach nie napisane, że kobietom wstęp wzbroniony? Co tu robisz?

— Co mi się podobał — odrzekła śmiało ładna dziewczyna z zadartym noskiem.

Ignas uklonił się, a Tadzio objaśnił:

— Ta pannica to moja siostra, co zawsze wchodzi tam, gdzie jej nie posiano. Nie potrzebujesz się jej przedstawiać, bo to brzdąc. Wielkie dziecko, mały podlotek!

Ignas jednakże z godnością wymienił swoje nazwisko i podał rękę dziewczynce, która jednym spojrzeniem zlustrowała go od pięt do czubka głowy i oddała ukłon z powagą markizy.

— Wynoś się teraz, bo my tu mamy konferencję — rzeki Tadzio.

Inka spojrzała na pyskatego brata jak księżniczka, której rodzony brat posiada manieri orangutana, i rzekła do Ignasia:

— Czy to pan sprął go niedawno na kwaśne jabłko?

— I co z tego, że mnie sprął? — zaperzył się Tadzio. — Czy to twój interes?

— W takim razie proszę pana, aby pan to powtórzył przy najbliższej sposobności! — rzekła ona z wielką dystynkcją. — Do widzenia panu... Za chwilę będzie herbata.

Ignać zarumienił się i uklonił się niezręcznie.

— Ona mi tu cały pokój wywraca do góry nogami... — tłumaczył się Tadzio. — Nie ma gorszego wynalazku na świecie jak kobieta.

— Bardzo ładna... — bąknął Ignać.

— Tylko jej nie wierz! Ja...ja wiem, co mówię. Ona się wciąż kocha i co tygodnia w kim innym. To dobra dziewczyna, ale ma szmermele w głowie. Inka — wrzasnął nagle — jak będziesz podsłuchiwać, to otworzę nagle drzwi i będziesz się potem darła! O, słyszysz, jak wieje? Bo ona z pewnością oglądała ciebie przez dziurkę od klucza. Śmieszny brzdąc! Kiedy mi nadwyrężyłeś łeb, przykładła mi do niego mokre szmatki i oświadczyła, że jeśli ciebie kiedy spotka, to ci oczy wydrapie, a teraz prosiła, abyś to zrobił po raz drugi. Kobieta!... I wierz tu babom... Powiadam ci, Ignac, ja jestem w tych sprawach stary wyga. Najgorsza rzecz to zakochać się. Wtedyś, bracie, przepadł. Ty się kochasz, martwisz się, po nocach nie sypiasz i jęczysz, a kobieta z tego się śmieje. W Ince kochał się jeden taki sztubak, co pisze wiersze, nawet bardzo ładne, a ona chodziła z tymi wierszami do kuchni, czytała je naszej grubej kucharce i razem tak się śmiały, że aż łzy miały w oczach. Chciałem ją wtedy sprać, ale tego poetę tymczasem odeszło, więc dałem spokój. Ale słuchaj no, Ignac! Nie daj Boże, abyś się w niej miał zakochać! Ale jak zechcesz, to się kochaj. Wtedy już ja uważałbym, aby to było na mur i na amen i żeby z ciebie nie zrobiła pośmiewiska. Ignac spłonął wspaniałym rumieńcem.

— Czyś oszalał? — rzekł niepewnie.

— Nigdy nic nie wiadomo — mruknął “stary wyga”.

Gadaniem swoim to jednak sprawił, że Ignac, znalazłszy się w jej towarzystwie, nie śmiał na nią spojrzeć. Koniewicz był wdowcem, więc Inka pełniła rolę gospodyni z należytą wprawą. Śpiewny jej akcent dzwonił ślicznie i zarazem zabawnie. Umiała patrzeć filuternie i śmiało, od czasu do czasu ukazując śmiesznym grymasem, że nic sobie nie robi z morderczych min brata.

— Ona tylko przy gościach taka odważna — mruknął Tadzio. — Widzisz, co ona wyprawia?

— Nic złego — mówił cicho Ignac. — To strasznie miła dziewczyna.

Tadzio spojrzał na niego podejrzliwie.

— W Afryce może byłaby miła. Na palmie, z bananem w ręku... — rzekł również cicho. — Ale ja ci już powiedziałem, że ci nie pozwolę zrobić krzywdy. A jakby co... to wiesz, co zrobimy?

— Co mamy zrobić? — zapytał Ignas ze strachem.

— Spierzemy ją obaj! — ogłosił Tadzio triumfalnie.

— Nigdy! — oświadczył Ignas z mocą.

Inka, nie słysząc, słyszała każde słowo, nie mogąc zaś wziąć udziału w tajemniczej rozmowie przyjaciół, w pewnej chwili pokazała bratu język, na co on oświadczył jej na migi, że goście wreszcie kiedyś sobie pójda, a wtedy czarna na nią przyjdzie godzina.

W pewnej chwili dziewczynka zdołała się zbliżyć do Ignasia i rozpoczęła z nim wdzięczną rozmowę, w której na każde słowo przypadały trzy uśmiechy i jedno westchnienie. Przypatrywała mu się pilnie, a widząc, że Ignas — nieporadny i po raz pierwszy rozmawiający z panią — mieni się na twarzy i spojrzeniem szuka ratunku u zagadanego Raczka, rzekła przedziwnie:

— Czy pan wie, dlaczego ja się tak panu przypatruję?

— Nie wiem, proszę pani...

— Bo pan ma profil Juliusza Cezara...

Świat się z nim zakręcił. Czy to obelga, naigrzanie się i okrucieństwo, czy też niebywały komplement, szczyt uznania i zachwyty?

Pożegnał się z nią, trwożliwy i spłoszony. W czarnych, świecących się oczach lwowskiego diablęcia ujrział dwie złote iskiereki, a na ustach uśmiezek.

W domu był zamyślony i chmurny.

— Ojczulku — rzekł — czy wiesz, jak wyglądał Juliusz Cezar?

— Cezar? Czekaj no! Widziałem kiedyś wizerunek tego męża. Jeśli sobie dobrze przypominam, był on łysy i miał fizjonomię dość ponurą. Nie można się dziwić, że wyłysiał, bo miał dość kłopotów. A po co tobie ta wiadomość?

— Na nic... na nic... — mówił Ignas szybko. — Dziękuję... Tak mi jakoś przyszło na myśl. To śmieszne, że taki wielki człowiek był taki łysy...

— Wielu wspaniałych ludzi pozbawionych jest lwiej grzywy, co może jest znakiem, że ludzkość, która dąży do odwołania stworzeń stojących na wysokim szczeblu rozwoju, w ten sposób wyróżnia swoich ulubieńców. Nie widzę jednak powodu, dlaczego łysina Juliusza Cezara napęlnia cię wyraźnym zmartwieniem.

“Tadzio jest przenikliwie mądry” — myślał Ignas.

Nazajutrz rzekł do niego w szkole:

— Powiedz swojej siostrze, że nie należy robić bolesnych żartów.

— Już coś zmalowała! — krzyknął Tadzio. — Wiedziałem, że się tak skończy... Ja ci mówiłem, że z nią trzeba od razu zrobić porządek. Wiesz, co mi ona wczoraj powiedziała? Że zakochała się śmiertelnie w tajemniczym jednym młodzieńcu, co ma profil Juliusza Cezara!

Ignasiowi wypadła książka z ręki.

— Tak powiedziała?

— Tak. Pytam jej: “A skąd ty wiesz, jaki miał profil Juliusz Cezar?” Ona mi na to odpowiedziała, że wcale nie wie, ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Słyszałeś coś podobnego? Zrozum babską filozofię.

Ignas nie zastanawiał się jednak nad sprawą tak niezmiernie głęboką. Czuł tylko, że nie wiadomo dlaczego tęskni za towarzystwem tego nielogicznego stworzenia, zachodził też coraz częściej do Tadzia. Inka uśmiechała się tajemniczo i śpiewnym swoim głosem wygłaszała oszalamiające zdania, z których zatrwożony chłopak rozumiał połowę, drugiej połowy nie mógłby zrozumieć najwybitniejszy filozof. Jej brat, zapytany nieśmiało przez Ignasia, co właściwie znaczy przedziwne zdanie wygłoszone przez nią smutnym, prawie rozdzierającym głosem, orzekł jasno:

— To nic nie znaczy. Ona wymyśla takie hece, aby ci zaimponować! To jej stary kawał. We Lwowie nikt by się na te brednie nie dał nabierać, bo tam każdy miglanc jest chytry, więc próbuje ich w Warszawie.

— Aha! A co to takiego “miglanc”?

— Czy ja wiem? Tak się mówi. “Miglanc” to jest taki szmondrak.

— A co to jest “szmondrak”?

— Także dobrze tego nie wiem, ale tak się też u nas mówi. Taki jakiś facet. Ale to wszystko jedno, bylebyś ty nie dał się okpić. A może to ona o tobie bredzi, że ty masz profil Cezara?

— Nie, nie, nie o mnie! — szepnął Ignas gorączkowo.

I uciekł czym prędzej z rozterką w duszy, obawiając się, że przyjaciel odczyta z jego twarzy jak z książki awanturniczą wiadomość o jego wzburzonym sercu, które zaczynało bić szybciej, ile razy ta przewrotna dziewczyna spojrzała na niego kocim spojrzeniem. Czuł, że się z nim dzieje coś dziwnego, że się zamyśla i zapada w milczenie; często zdumiewał się, kiedy idąc w przeciwną stronę nagle nieświadomie zawracał i kilka razy przechodził ulicą, przy której mieszkała Inka.

Kiedy jej nie widział, świat wydawał mu się smutny i szary, wszystko natomiast piękniało i oblewało się blaskiem, kiedy ona była w pobliżu.

Tadzio przyglądał mu się pilnie i kręcił głową myśląc z goryczą, że już widział kilku takich, serdecznych swoich przyjaciół, którzy opętani urokiem jego siostry tracili humor, werwę i co najważniejsze — tracili apetyt. Chłopak, który miał apetyt i zęby młodego wilczka, najznakomitszy czasem rekordzista w jedzeniu, taki, który mógł rozgryźć kość, a bułkę z szynką połykał w dwóch dozach, opętany przez tę straszliwą kobietę, co w październiku skończy lat szesnaście, zrezygnowanym ruchem człowieka, co rozpoczyna głodówkę, odsuwał najbardziej smakowite jedzenie i chudł na zawołanie. Byli tacy nawet, co w głodowej malignie usiłowali pisać wiersze. Niektórym takie posty wychodziły na zdrowie, nie trwały zresztą zbyt długo, gdyż u tych bohaterów małej wiary żołądek okazywał się zazwyczaj mocniejszy niż serce. Ignasz jednak ma charakter i — jeśli postanowił gardzić jedzeniem i nie zechce usłuchać rozsądnego, choć burkliwego głosu żołądka — źle się to może skończyć. Dlatego Tadzio patrzył chmurnie i czuwał nad przyjacielem.

— Nie on jednak przywiódł Ignasia do opamiętania. Uczynił to przypadek.

Ignasz dzielił ławkę w szkole z jednym bardzo wielkim elegantem, miłym zresztą chłopcem, który od dwóch dni nieustannie spoglądał w lusterko i dziwaczne stroił miny. Kiedy przed dwoma dniami właśnie Ignasz spotkał go u Tadzia, elegant nie zdradzał jeszcze takiego zainteresowania swoją twarzą i zachowywał się normalnie. Wczoraj dopiero i dzisiaj ogarnął go nieznacznym obłędem, polegającym na tym, że co pięć minut wyjmował z kieszonki lusterko i patrzył z ciętym zachwytem w swoje oblicze.

— Czego tak ciągle patrzysz w lusterko? — zapytał go wreszcie Ignasz. — Czyś sobie skrzywił oko?

Elegant uśmiechnął się smętnie i tajemniczo.

— Ignasz! — powiada — ty jesteś dobry chłop, więc się ciebie zapytam. Czy widziałeś kiedy wizerunek Juliusza Cezara?

Ignasiowi zdawało się, że serce wypadło mu z piersi i jak okrągły kamień potoczyło się po podłodze.

— Albo co? — zapytał krwawym szeptem.

— Tobie powiem, ale pod najświętszym słowem honoru.

Przed dwoma dniami powiedziała mi jedna śliczna panienka że ja mam profil Juliusza Cezara! Uważasz? Więc się sobie przyglądam... Ale co tobie jest?

— Nic... nic... Cicho bądź!... Znam portret Cezara... Ty jesteś bardzo podobny...

— Tak przypuszczałem... Ta panna nie kłamie... Ignasiu! Ty masz łzy w oczach...

— Głupstwo! — szepnął Ignasz. — Ty je także mieć będziesz.

— Ja? Nie znasz mnie! Cicho, Ignasiu, cicho!

Od tego dnia Ignasz przestał bywać u Tadzia. Otarł rękawem oczy i nikt nie dowiedział się nigdy, że nad jego sercem przeleciała malutka, wiosenna burza, z której jedna kropelka deszczu upadła na gorące serce. Nawet Raczek niczego nie spostrzegł. Jednego poranka chłopak, dotąd smutny, westchnął, potem roześmiał się i z nagłą furią rzucił się na swoje książki, na których zaczął osiadać srebrny pył. Tadzio odwiedzał go coraz częściej i nigdy nie wspomniał o tym, co się dzieje u niego w domu. Po tygodniu oświadczył krótko:

— Sprąłem ją!

— Na Boga, kogo? — krzyknął Ignasz.

— Jak to, kogo? Inkę!

— Czyś ty oszalał? Za co?

— Ja wiem, ty wiesz i ona wie — odrzekł przyjaciel tajemniczo.

— Wstydź się — rzekł Ignasz poważnie. — Dzikus jesteś czy co? Bardzo ją sprąłeś?

— Iii! Jak ją można uczciwie sprąć? Narobiła takiego pisku i krzyku, że ojciec przybiegł i ja oberwałem. Ja wiem, że kobiet się nie pierze, bo to chamstwo, ale to nie jest kobieta! To jest demon!

— Pozdrów ją ode mnie — rzekł Ignasz cichutko.

— To chyba dopiero za jakie dwa dni, bo teraz ze sobą nie gadamy.

— Niech będzie za dwa dni. Inka jest strasznie dobra dziewczyna, tylko że lubi żartować. Ale czemu ona mówi każdemu, że ma profil Cezara?

— Bo ona ma takie sezony. Do niedawna wmawiała w każdego, że jest podobny do Napoleona. Mówiłem ci, że to szatan ta moja siostra.

— Ale ją kochasz?

— Bardzo ją Kocham, ale mężczyźni muszą być solidarni, więc z nią walczę.

— Aeroplan leci! — krzyknął nagle Ignasz i pobiegł do okna.

Przewrotna Inka z zadartym noskiem została na ziemi, całkowicie zapomniana, a Ignas leciał za warczącym i jakby rozgniewanym aeroplanem. Głosy jego były nierówne, wciąż to cichnące, to znowu zrywające się do burzliwego krzyku, kiedy lotnik zmuszał go do czynów obłąkanie śmiałych i najdziwaczniejszych. Widok był niepokojący i zarazem wspaniały. Ignas zaczął wydawać tak głośne okrzyki zachwytu, że Raczek, który parzył w kuchence herbatę, wkroczył do loży, z której widać było lotnisko, i stanął obok chłopców. Ignas wpił się palcami w jego ramię, drżący i podniecony. Raczek spojrział na niebo, patrzył przez długą chwilę, wreszcie zakrzyknął:

— Co ten człowiek wyprawia? To jest szalony lotnik!

A ten lotnik, jak gdyby chciał ściąć na lód gorącą krew Raczka, zdarł nagle aeroplan jak konia. Straszny jego koń jęknął, wydał głos jak gdyby wściekły i stanąwszy dęba, zaczął się wspinać niemal pionowo na niewidzialną, szklaną górę powietrza. Za nim powiała smuzka dymu. Szalony jeździec, wpędziwszy go na niebieski szczyt, ujrzał białą wehniastą chmurę i pognął aeroplan w jej stronę. Chmura nastroszyła się jak biała czapla, w którą godzi myśliwski sokół, on jednak ulitowawszy się nad mizernym stworzeniem, nad białą zabawką z bawełny, ominął ją i wzięwszy rozpęd wśród zrozpaczonego terkotu motoru wspiał się w górę, potem — ku najwyższemu zdumieniu Raczka — położył się na plecy i leciał głową w dół ku ziemi.

— Na Boga! — szepnął Raczek. — On spada!

— Nie, nie! — zaśmiał się nerwowo Ignas. — Patrzcie, patrzcie!

Aeroplan zmieniający głos, jak gdyby uspokojony, że wyszedł cało z tego koziołkowania, płynął przez chwilę spokojnie. W pewnej jednak chwili położył się na prawym skrzydle i wyrócił się szybko, a zanim Raczek zdołał krzyknąć z podziwu, już leciał przed siebie i zatoczył ogromne koło, jakby niebo było olbrzymim cyrklem. Aeroplan warkotał równo, uspokajając zdyszone serce motoru. Nagle stało się znowu coś przeraźliwego. Straszny jakiś człowiek siedzi w tym aeroplanie. Znowu zdarł go i zaczął go wspinać, potem go na powietrzu położył na plecach. Widać było malutkie kółka czerniejące w górze, a pod nimi leżał na odwróconych skrzydłach aeroplan jak martwy ptak.

— Po nimi — wrzasnął Raczek.

— Gdzież tam! — śmiał się w podnieconym uszczęśliwieniu Ignas.

— Ależ on nie może się odwrócić... O Boże! — Raczek zakrył oczy rozczapierzoną ręką.

— Bo nie chce... Patrz, ojczulku!

Raczek spojrział z lękiem. Aeroplan płynął spokojnie na grzbiecie jak pływak wspaniały, co w błękitnym morzu, zmęczony zmaganiem się z falami położył się na plecach i płynąc odpoczywa. Zdawało się, że świat cały stanął na głowie, domy na swoich dachach, a drzewa na swoich szczytach. Domy jednak stały nieruchomo, a drzewa tkwiły korzeniami w ziemi. Wszystko na całym świecie trwało w przyrodzonej pozycji, tylko ten szalowiec na wysokościach zawisnął głową w dół. Zapewne musiało mu się podobać, bo wciąż jeszcze tak leci.

— Krew go zaleje! — szepnął Raczek. — To niepojęte, to niepojęte... Już dość, na Boga, już dość. Patrzeć nie mogę... Chyba krzyknąć, aby przestał... Ale nie usłyszy... Jeszcze tak leci... A może jego już krew zalała i nie może się odwrócić... Puść moją rękę, bo mnie boli...

— Nic mu się nie stanie! — mówił Ignas drżącym głosem. — On tak długo potrafił

“Zdumiewające! — myślał Raczek z zabobonną trwogą. — Zdumiewające i nie do pojęcia...”

Nagle myśli jego poczerniały. Jego pegaz czy też inne stworzenie żywe nie mogłoby tak lecieć, głową na dół, zadarłszy w górę nogi. Runęłoby w dół jak kamień i bigos by się z niego zrobił. A ta straszliwa maszyna, cicho warcząc, leci równo i spokojnie.

“Do diabła z pegazami — pomyślał Raczek. — Cudowna to jest maszyna, ale jeszcze cudowniejszy jest ten człowiek, który robi te piekielne sztuki. Czy on ma głowę ze stali, a serce z kamienia? Czy on nie ma krwi? Jak on może tak bezkarnie kpić sobie ze wszystkiego? Zawiesił się nad przepaścią i zagląda w nią bezpiecznie i spokojnie, wisząc głową w dół”. Raczek zaczął drżeć z lęku.

Szalony lotnik zlitował się wreszcie nad przerażonym hodowcą pterodaktyłów i cudownie lekko powracał do normalnej pozycji.

— Bogu dzięki! — westchnął Raczek. Patrzył teraz z zachwytem, jak aeroplan, odpocząwszy, płynął spokojnie, błyskając srebrzyście w słońcu. Krążył na wysokościach, a od czasu do czasu, jak gdyby znudzony bitym, niebieskim gościńcem, wytryskał w górę jak rzucony z niezmiernej katapulty pocisk warczący i znowu nagłym ruchem zapadał się w przepaść; ujrzawszy zaś blisko ziemię, podrywał się i znowu wspinał, i znowu wzlatywał aż do białych chmur, koło których krążył jak pies koło białej trzody. Ogarnęła go jakaś radość i żądza niespokojnego latania. Raczek widział już niejednokrotnie aeroplany, ale poważne, niemal dostojne, krążące po niebiosach z rozwagą, spokojnie i bez awantur. Ten był stanowczo aeroplanem pomyłonym. Koziołkował, udawał, że spada, wywracał się kołami do góry, zaczynał nagle pędzić w dal, jakby

upatrzawszy na widnokregu coś ciekawego, ujrawszy zaś z bliska, że to tylko zwyczajny dom lub drzewo, zawracał, lecz nie chcąc nadrabiać drogi fikał kozła i już leciał z powrotem. Nagle coś nowego wymyślił. Wzbił się wysoko, wysoko, niemal nad ich domem, i — przystanął, Raczek nie chciał wierzyć własnym oczom.

— Ależ on się wcale nie rusza! — zakrzyknął.

Chłopcy, oczarowani, nie odpowiedzieli.

Aeroplan, tkwił nieruchomo, jak gdyby Pan Bóg schwytał go na wysokościach jak ptaka, trzymał w rękach i przyglądał się dziwnemu stworzeniu, które lata i żyje, a jednak nie było go w arce Noego. Zdawało się, że ten mały aeroplanik, srebrna dziecięca zabawka, zwisa z powały nieba uwiązana na niewidocznym sznurku do złotego gwoździa jakiejś gwiazdy.

“To jest przeciwko rozumowi! — pomyślał Raczek. — Jest ciężki, wisi w próżni i nie spada. Gdzie jesteś, Izaaku Newtonie¹⁶? Czy śpisz, czyś zakrył oczy ręką? A może ziemia straciła moc przyciągania?”

Zebrał wszystkie myśli w pęk, związał je zdumieniem i rzucił przed siebie z trzaskiem, w zdławionym okrzyku:

— Człowiek jest szatanem!

Lotnik parł aeroplan całą siłą motoru ku górze, a jesienny wiatr spychał go w dół, walcząc z nim od przodu; maszyna zdawała się nieruchoma wśród tych dwóch sił potężnych, na granicy ich spotkania. Jak pływak, który przeciw prądowi płynie, czyni pozór, że się nie posuwa, tak aeroplan tkwił na pozór nieruchomo, jak gdyby wielki ptak znalazł sobie gniazdo na wysokościach i siadł za nim, aby odpocząć. Musiał się stamtąd roztaczać widok prześliczny, bo ptak nie myślał wcale o powrocie na ziemię. Mijały minuty, a on trwał bez ruchu,

— On tak długo potrafi! — szepnęła Ignaś. — To jakiś cudowny lotnik!

Duszą całą był przy nim. Poleciał myślą tam ku niemu i patrzył z uniesieniem, jak człowiek w hełmie na głowie, spokojny, lecz czujny, dzierży w pętach szalonego ptaka. Lotnik jest młody, a spod hełmu wymknął mu się kosmyk jasnych włosów. Spoza okularów widać spojrzenie jasne i jakby uśmiechnięte; to radość ze zwycięstwa patrzy tak jasno. Ponad nim jest niebo, rozległe jak myśl nieogarniona, pod nim wklęśła miska ziemi, napełniona kamiennym rumowiskiem. Miska jest pęknięta, bo sączy się przez nią szara nitka wody i gdzieś na widnokregu

¹⁶ Newton Isaac (1642—1727) — genialny fizyk, matematyk, astronom i myśliciel angielski, twórca mechaniki klasycznej (m. in. słynnej zasady powszechnego ciążenia).

wsiąka w oddal. To “obraz gnuśności zalany odmětem, to ziemia!” Odmęt jest oparem ogromnego miasta i jego , czarnym oddechem, zadymionym i ciężkim, ponurą mgłą, której wiatr zmieść nie może, bo kiedy jedno jej kłębowisko spędzi, wnet miasto oddycha ciężko i narasta ponad nim kłębowisko nowe. Tu tylko, na wysokościach, nie ma tych oparów. Tu jest jasno i przezroczyście. Lotnik widzi daleko, daleko. Widok jest czarujący, więc przystanął i zbiera go oczyma, i zgarnia spojrzeniem. Gdyby sięgnął ramieniem, zagarnąłby i tę jasną chmurkę, co sennie płynie, jak ciężkie płyną łabędzie: ona jednak, dojrzawszy na swojej drodze warcząca straszliwość, przepływa szybko, przejrzysta jak srebrna meduza w szafirowym morzu.

Aeroplan tkwi nieruchomo. Zdumione ludzkie oczy dostrzegają z ziemi czasem jedynie niepozorny jego ruch. To znak, że nie zasnął na błękitnej łące, lecz tylko przystanął i “rozpatruje okolice”. Wreszcie drgnął, jak gdyby Pan Bóg wypuścił ptaka z ręki i pozwolił mu odlecieć. Poruszył się i zaczął płynąć tak spokojnie, jakby się obawiał, że w nagłym rozpędzie uderzy o niebieski kryształ nieba i roztrzaska go jak szybę. Leci jednak coraz prędzej, coraz prędzej, zatacza koła rozważnie i równo. Okrążył lotnisko, zaśpiewał swoim metalicznym głosem, jak gdyby się oznajmiając, i znikł sprzed ich oczarowanych oczów.

Raczek odetchnął ciężko, jak człowiek, któremu kazano patrzeć na widowisko krew w żyłach mrozące. Był szczęśliwy, że się skończyło szczęśliwie, ale — nawykły do głębokich rozważań i do szukania celowości wszelkich na bożym świecie zjawisk — dręczył się niespokojnym zagadnieniem.

— Zgadzam się — rzekł z gorącym uznaniem — że to było wspaniałe. Śmiem jednakże twierdzić, że jest to igranie z życiem, i to igranie bezcelowe! Na co to wszystko?

— Jak ojczulek może mówić coś podobnego? — zakrzyknął Ignasz. — Przecie tego nie robią dla zabawy!

— Igraszki ze śmiercią nie są zabawą — rzekł Raczek. — Nie nazwę tego zabawą. Mogę jednak nazwać to szaleństwem, jak ci to już raz powiedziałem.

— Nie, tatusiu! To nie jest szaleństwo. To strasznie ciężka, śmiertelna praca. Ja wiele o tym myślałem i wiele czytałem — mówił Ignasz z dziwną powagą.

— A cóż komu z takiej pracy? Z fikania kozłów, przy których można skręcić kark?

— To z tego, że w razie wojny ten lotnik będzie umiał stoczyć walkę w powietrzu i nie dopuści nikogo. Będzie umiał podlecieć pod przeciwnika i wzlecieć ponad niego. Będzie mógł uczynić w powietrzu, co zechce: stanąć albo wywrócić aeroplan kołami do góry. Kto takiego

dopędzi i kto potrafi takiego strącić? Tatusiu drogi! To jest okropna, straszna praca! Ten lotnik będzie albo ścigany, albo sam będzie musiał ścigać, więc musi być przygotowany na wszystko, dlatego tak się ćwiczy...

— Uspokój się... Czemu się gorączkujesz? A przede wszystkim: skąd ty wiesz o tym wszystkim?

Ignaş roześmiał się.

— O tym przecie wszyscy wiedzą, proszę pana — rzekł nieśmiało Tadzio.

— To dziwne! — rzekł Raczek. — Ja nie wiedziałem... Smarkacze wiedzą więcej od poważnego człowieka... Niebezpieczne są to czasy!

Chłopcy spojrzeli na siebie z porozumiewawczym uśmiechem.

— To nie dlatego, tatusiu — mówił Ignaş. — Tylko, że jedni pracują na ziemi, a teraz są już tacy inni, co będą tylko żyli w powietrzu. Bo posłuchaj...

Ignaş zaczął mówić z ferworem o ludziach, którzy mają skrzydła. Mówił gorączkowo, zapalczywie, z rozplómiętym entuzjazmem, nieuczenie, lecz z takim zapałem, że Raczek słuchać go zaczął chciwie. Skrzydlata młodość nauczała przyziemną stateczność o sprawach, które się odbywać będą na wysokości. Poważny filozof — z epoki, w której ludzie bali się pociągów, wody, telegrafu i kolei — słuchał z coraz większym zdumieniem, że kariera ziemską jest skończona i że cała ludzkość marzy o skrzydłach.

Poważny filozof zadrżał i otarł pot z czoła.

IX

Wprowadzony wbrew woli (i potężnemu rozumowi) w kolisko spraw skrzydlatych pan Raczek miał najgorsze przecucia. Zaczynał coraz częściej spoglądać na łuk nieba, gdzie harcowały burzliwe maszyny, a coraz rzadziej dziwił się, że Ignas sterczy godzinami z zadartą głową. Rozważał, rozmyślał i korygował swoją głośną teorię latania w przestworzach. O nieszczęsny I Najcięższy sen, pełen zdarzeń najokropniejszych i najbardziej nieprawdopodobnych, nie ostrzegł go, że najgorsze jeszcze się nie stało, a przecie — przynajmniej w dawnych czasach — sny ostrzegały tajemniczymi znakami, że nieszczęście jak burza wali się na człowieka. Czemuż to, wielka duszo filozofa, nie ostrzegłaś go widząc, że ten, w którym masz mieszkanie, zamiast uciec z tych stron pomiędzy ludzi spokojnych, krąży koło tego przekłętego gniazda wielkich ptaków i przebywa nieustannie w gronie ludzi, dla których szaleństwo jest chlebem powszednim, a skrzydła największym ukochaniem? Och!

Jednej niedzieli Ignas najpierw gdzieś się rano zapodział, a po obiedzie niespodzianie zjawił się Lepajłło. Dobre oczy Raczka nie dostrzegły tajemniczego znaku porozumienia, z którego sprytny detektyw poznałby natychmiast, że cienki Polak jest w porozumieniu z grubym Litwinem. Ignas zdradzał gorączkowy niepokój. Lepajłło się uśmiechał. Uśmiech ten zarzucił jak arkan na serce Raczka, a dodawszy do tego podstępne namowy, wywiódł go niby na przechadzkę i tak powoli, poważnie rozmawiając, doszli we trójkę na cywilne lotnisko.

— Co tu tyle ludzi? — zapytał Raczek.

— Jakaś zapewne uroczystość czy coś takiego — odrzekł dobrodusznie Lepajłło, prawym okiem mrugając ku Ignasiowi

Wedle litewskiego porzekadła o oczach: “Oka prawa radość dawa oka lewa łza wylewa!” — więc może dlatego chłopiec się uśmiechnął.

Lepajłło otoczył swoim ramieniem wiotką kibić Raczka i przepychając się przez tłum, zawiódł go w miejsce, na którym zdumiony Raczek po raz pierwszy w życiu stanął twarzą w twarz z potworem. Na zielonym pastwisku trawy siedział aeroplan pasażerski: rozłożysty, mocny i błyszczący, gotów do lotu. Raczek zadrzał, lecz spojrział śmiało. Lepajłło gdzieś znikł, a teraz z kolei Ignas dzierżył go mocno za rękaw, jak gdyby się obawiał, że Raczek — w głębi duszy jeszcze i ciągle wróg maszyny — odwróci się i odejdzie w kraj swoich skrzydlatych snów. On jednak

trwał. Patrzył bystrze, kręcił głową, mrużył oczy. Jest przeciwnikiem szlachetnym, wzniosłego umysłu. Już bardzo ustąpił, już się dał przekonać, zwątpiwszy niemal całkowicie o swojej teorii, czasem jednak duma, od której wolne nie są duchy najszczytniejsze, może w nich niepojęty podsycać upór.

Tak więc wygląda z bliska ten sen ludzkości o skrzydłach obleczonej w ciało! Tak wygląda ta siła warcząca i hucząca, która ściga się z burzą. Więc to jest poczwarka tej istoty, która może po upływie lat tysiąca doleci do księżyca? To jest ów mityczny Ptak—Rok, Ptak—Skąła, który latał we wschodnich opowieściach i zaraził ludzi szaleństwem latania? Więc to jest skrzydło człowieka, potomka mistrza Dedala¹⁷ i ucznia Leonarda da Vinci¹⁸, co chciał budować latającą maszynę? Piękne to jest, ani słowa... Maszyna ciężka, a taka przecie lekka, smukła, a taka silna, w tej chwili nieruchoma, a tająca w sobie siły diabelskie. Patrzył prosto w jej “twarz”, śmiało i odważnie.

Nagle jednak cofnął się w tył i szepnął:

— Ignasiu, czy ona nie może zerwać się nagle do lotu?

— Broń Boże! — zaśmiał się chłopiec.

— Wiem o tym — rzekł Raczek — pytam jednak dla tym większej przezorności. Śliczny aeroplan... Potężny... Człowiek jednak może być dumny z tego, że zbudował coś podobnego.

To chyba największy z tych, które istnieją na świecie.

— Gdzież tam! — objaśnił Ignas gorączkowo. — To bardzo zwyczajny samolot pasażerski.

Są już o wiele większe, olbrzymie!

— Patrzcie, patrzcie... — zdumiał się Raczek łaskawie. —

O, Lepajłło wraca... Gdzie się pan podziewał, drogi panie Michale?

— Kupowałem bilety — odrzekł Lepajłło nieśmiało.

— Jakie bilety? Na loterię? — śmiał się Raczek.

¹⁷ D e d a l — legendarny architekt i rzeźbiarz ateński, który miał być pierwszym człowiekiem próbującym lotu. Na skonstruowanych przez siebie skrzydłach, przytwierdzonych do ramion woskiem, wzniósł się w górę z synem I k a r e m . Wskutek roztopienia się wosku pod działaniem słońca spadł w morze (Ikaryjskie) i utonął.

¹⁸ L e o n a r d o d a V i n c i (1452—1519) — najgenialniejszy artysta Renesansu, poza malarstwem, architekturą, rzeźbą, literaturą i filozofią interesował się techniką — jest twórcą projektu samolotu i łodzi podwodnej.

— Bynajmniej. Na jazdę aeroplanem. Bo to, widzi pan, panie Alojzy, dzisiaj odbywają się ponad Warszawą loty propagandowe, tym właśnie aeroplanem. Chciałem wam zrobić miłą niespodziankę, no i pojedziemy sobie, aby zobaczyć, co tam jest w górze?

— Nigdy! — krzyknął Raczek.

Chciał uciec, ale nogi jak cienkie tyki wrosły mu w ziemię.

— Cicho, tatusiu, ludzie na nas patrzą — błagał Ignas. — Pomyślą, że się boimy.

— A ty myślałeś, że ja się nie boję? — wołał Raczek zduszonym głosem, jak gdyby go ktoś chwycił za gardło. — Czy ja zwariowałem, aby na starość fikać w powietrzu koziółki?

— Ale żadnych koziółków fikać nie będziemy. Polecimy równo, jak tramwajem, i, po dziesięciu minutach będziemy na ziemi. Tylko dziesięć minut!

— Dziesięć minut wystarczy, aby księżyc upadł na ziemię i żeby z ziemi ślad nie pozostał. Chodźmy stąd, chodźmy stąd!

— Nie! — rzekł Lepajłło. — Jeśli pan stchórzy, w takim razie ja lecę z Ignasiem. Raczek zatrzymał się w odwrocie.

— Ja na to nie pozwolę! — rzekł z rozpaczą. — Kocham Ignasia i diabli wiedzą dlaczego, kocham pana. Ja na to nie pozwolę... Zresztą: panu nie mogę zabronić, ale Ignas nie polecił

— Nie płacz, Ignasiu — rzekł nagle Lepajłło. — Trudno. Serce mi się kraje, bo nie mogę patrzeć na łzy dziecka, ale trudno... Płaczże u licha! — szepnął Ignasiowi.

Ignas był tylko smutny, ale nie popłakiwał, jednakże boleść, wezwana srogo przez Lepajłłę, objawiła się natychmiast dwiema wielkimi łzami.

— Pan jest mordercą tego dziecka — szeptał Raczek ze zgrozą. — Pan nas tutaj przyprowadził podstępnie, pan pragnie mojej śmierci... Ignasiu, chłopcze drogi, nie płacz... Czego wy ode mnie chcecie? Abym leciał? Matko Boska, ratuj!... Nie płacz, mówię ci, bo się rzucę pod ten przeklęty aeroplan, aby mnie zmiażdżył... Krew moja spadnie na pana!

— Niech się pan usunie — rzekł łagodnie Lepajłło. — Te dwie panienki chcą wejść do aeroplanu.

Raczek spojrział błędnym spojrzeniem. Dwie ładne panienki windowały się z głośnym śmiechem do kabiny dając wesołe znaki stojącym opodal damom.

— One polecą? — pytał Raczek głucho.

— Oczywiście!

Z Raczkim działo się coś dziwnego. Obejrzał się, ogarnął smutnym spojrzeniem piękny, słońcem zalany świat, ludzi i drzewa. Potem usłyszał najwyraźniej krzyk własnej duszy. Będąc w rozterce, nie umiał powiedzieć, czy dusza jego krzyknęła: “Raz kozie śmierci”, czy też wydała okrzyk bardziej wzniosły: “Lećmy pod niebiosy, o Alojzy!” Coś w każdym razie słyszał, a przede wszystkim szum w uszach. Przed oczami miał mgłę, a spoza mgły widział łzy na twarzy ukochanego chłopca. To było ponad jego siły. Zadrżał i w tej chwili nie on — broń Boże! — lecz ktoś w nim, jakiś Raczek szalony, jakiś Raczek obłąkany, zakrzyknął: “Poleć!”

Poza tym nie zdawał sobie sprawy z tego, co się działo. Nie czuł, że Ignas chwycił kurczowo jego rękę, a Lepajłło potężnym dźwignięciem uniósł go wysoko i jak chudą walizę ze skóry wtłoczył w drzwi kabiny.

— Boże! — szepnął Raczek, — Już lecimy!

— Jeszcze nie! — śmiał się Ignas przez łzy.

Lepajłło mrugał na Ignasia i dobrotliwym spojrzeniem wskazywał Raczka siedzącego jak gdyby na elektrycznym fotelu amerykańskim. Chłopiec skinął porozumiewawczo i dobrym, pełnym słodczy ruchem położył swoją rękę na grzbiecie dłoni swojego Raczka. Wtedy on, jakby obudzony, spojrzał ciekawie i z wielkim zdumieniem.

— Odważnie, tatusiu drogi! — szepnął Ignas.

— Jestem gotowy na wszystko — odparł Raczek. — Czy już?

— Za chwilę...

— Jezus Maria!...

Ogromny hałas zleciał nagle jak chmura pełna burzliwych łoskotów. Raczek poczuł nagle szarpnięcie, zachwiał się ku przodowi, potem w tył. Zawirowało mu w głowie. Spojrzał z lękiem przez okno i ujrzał, że drzewa zaczęły uciekać jak wojsko w rozsypce. Aeroplan podrygiwał, jakby się toczył po nierównej drodze.

“Śmierć! — pomyślał Raczek. — Coś się musiało stać”... Chciał ostatnim spojrzeniem pożegnać Ignasia, lecz spojrzawszy — zdumiał się. Ignas miał na twarzy szczęście całego świata i wszystkich czasów. Słońce mignęło złotą plamą i ozłociło na chwilę jego twarzyczkę, jak gdyby chcąc ucałować oczy szczęśliwe.

W tej chwili Raczek doznał przedziwnego uczucia. Wszystko się zachwiało, cały świat się zachwiał i skrzywił, drzewa przybrały śmieszny pozycję, a domy pochyliły się ku ziemi jak pizańska wieża. Coś go ścisnęło w dołku, język zdrewniał, a usta stały się suche.

— Lecimy! — ogłosił Lepajłło.

Raczek chciał odpowiedzieć, ale nie mógł. Z zabobonną trwogą patrzył na szaleństwo ziemi: widnokrąg najwyraźniej oszalał, podnosił się i zniżał, wreszcie jak gdyby własnym obłędem przerażony, zaczął zapadać się w dół.

— O Boże! — szepnął Ignas z zachwytem.

“Słusznie wzywa Boga — pomyślał Raczek. — To są rzeczy diabelskie”.

— Wspaniale! — krzyknął Lepajłło.

“Mdli mnie...” — pomyślał Raczek.

Natężył jednak ducha i zwołał na pomoc dawne bohaterstwo wszystkich Raczków, jacy kiedykolwiek żyli na polskiej ziemi. A ci, co już byli w niebie, patrzyli w tej chwili, mówiąc i pokrzykując słodkimi głosami:

“Patrzcie, patrzcie, bratowie! Azali to nie najmilszy Alojzy ku nam leci? Czyżby już został aniołem? A jeżeli nim został, to czemu tak warczy?”

Duch Raczka, wytrącony z równowagi i zakłócony jak głęboka toń, którą wiatr stłamsił, uspokajał się powoli i z żołądka, w który zapadł w chwilach przerażeń, podnosił się z wolna i zwycięsko. Wreszcie, usadowiwszy się w górnych sferach istoty Raczka, spojrział zdumiony i krzyknął z radości. Raczek dawał znaki ręką siedzącemu opodal Lepajłlle, że jest zadowolony, a kiedy podniósł i drugą rękę, znaczyło to, że zadowolenie jego rośnie i jest bliskie zachwytu.

Lecieli nad Warszawą, która, jak gdyby chroniąc swoje domy przed atakiem skrzydlatego potwora, godziła w niego ostrzami wielu wież. Ignas dziwił się ogromowi miasta, co się rozlewało na wszystkie strony strugami ulic i gościńców. Najdłuższym z nich była Wisła, gościniec odwieczny, wiodący w ryczącą gardziel morza. Z góry czyniła pozór nieruchomej. Statek, niewielki i dymiący czarną smużką dymu, schronił się pod most, kiedy na wodzie ujrzął cień ogromnej ważki—aeroplanu. Tramwaje przesuwaly się powoli, małe, czerwone dziecinne zabawki. Wszystko zaś było wyraźną mapą plastyczną, a oni — ku swojej radości — poznawali na niej kościoły i gmachy, płace, ogrody i gąsienice ulic. Raczek zaczynał być wniebowzięty, co nie byłoby czymś niezwykłym, bo był na dobrej drodze ku niebiosom.

— Widzi pan, panie Lepajłło — zawołał — lecimy nad naszą redakcją! Hal

— Krzyknij pan, a Naleśnik wywiesi flagę — grzmiał rozweselony Lepajłło zwróciwszy się ku Raczkowi.

W tej chwili aeroplan pochylił się nagle na lewą stronę, zataczając łuk. Raczek krzyknął i począł rzucać w Lepajłę groźne spojrzenia.

— Niech się pan nie rusza i niech się pan nie wierci! Ledwie się pan poruszył, zaraz aeroplan pochylił się. Nie powinni zabierać ludzi ważących tyle co słonie... Już... Jakoś znowu równo leci... Jakże ci tam, Ignasiu?

Ignas odpowiedział wielkim szczęściem spojrzenia i tylko ściskaj jego rękę, więc Raczek znowu wpadł na jasne wody radości i nurzał się w nich z rozkoszą. Nagle krzyknął:

— Spadamy! Jakaś katastrofa!

Ignas zaśmiał się głośno.

— Motor nie działa! — mówił Raczek przerażony.

— Lądujemy! — objaśnił go Ignas.

Raczek przeżył te chwile z niedowierzaniem i wśród kilku migawkowych, krótkotrwałych zgryzot i przerażeń, zanim aeroplan, podskoczywszy kilkakrotnie na twardym podścielisku lotniska, zatrzymał się jak zdyszany bachmat. A kiedy filozof wyszedł z kabiny i dotknął nogami ziemi, najpierw się zatoczył, zdawało mu się bowiem, że jeszcze leci. W głowie miał mnóstwo huku i terkotania, jak gdyby huczący bąk obrał ją sobie za gniazdo. Otrzeźwiał jednak szybko na widok ziemi rodzonej, niewzruszonej i pewnej. Zaświtała w nim myśl, aby padłszy na nią krzyżem ucałować ją i zakrzyknąć: "Ziemio! Ziemio!" — powstrzymał się jednak, nie lubił bowiem, aby jego wzruszeniom przypatrywało się tysiące ludzi. Za to stąpał pośród nich jak bohater. Zdawało mu się, że jest Kolumbem, co powrócił z Nowego Świata, odkrytego wśród straszliwych trudów: tłumy zaległy wybrzeże, a on idzie — triumfator — aby stanąć z dumą przed królewskim tronem. Marzenia jego przerwał, jak zawsze, Lepajłło:

— I co, panie Alojzy, jest pan zadowolony?

— Jestem szczęśliwy — odrzekł Raczek. — Przekonałem się, że człowiek zwyciężył żywioł bardziej niebezpieczny niż woda. Wróżę temu wynalazkowi powodzenie i wielką przyszłość.

— Niepotrzebnie pan się tak bał...

— Kto się bał?! — wykrzyknął Raczek zdumiony. — Ja?

Pan źle widzi i źle słyszy, panie Michale. Ja się wcale nie bałem, bo zawsze gardziłem i będę gardził niebezpieczeństwem. To, co pan uważał za objawy lęku, to był bunt, może zbyt głośny, mojej idei przeciwko idei, którą do tej chwili uważałem za niezdołną do życia.

Mówiąc to powoli i dobitnie, mrugał na Lepajłę wskazując na Ignasia, co oznaczało:

— Gadaj, stary niedźwiedziu, co ci się podoba, ale tylko wtedy, kiedy będziemy sami, ale nie zdradzaj moich słabości przed chłopcem!

— Rozumiem! — odrzekł mu Lepajłło skinieniem głowy. — Chcesz oszukać łatwowieerne dziecko!

“Łatwowieerne dziecko” nie zwracało jednak na nich uwagi. Ignas przeżył chwilę wymarzoną, a w tej chwili tak był zajęty rozmyślaniami, że nie było w głowie już miejsca na myśli nie mające skrzydeł. Cudowna to była jazda, lecz trwała zbyt krótko. I zbyt bezpieczna... Siedzi się wygodnie, w zamknięciu, jak w kolejowym wagonie. Wielką z tego radość ma ojciec, wielką radość ma pan Lepajłło. I on jest uradowany, bardzo uradowany, bo już wie, jak ziemia wygląda z góry, poczuł dreszcz przy odrywaniu się od ziemi i w chwili powrotu na nią, lecz tyle razy latał w myśli na tamtych aeroplanach: groźnych, bojowych, zwinnych i śmigłych, tak sobie wyobraził lot twarzą w twarz z wichrem i pędem, że ten lot “pasażerski” uważa jedynie za wstęp do czegoś, o czym nie można myśleć bez rozkosznego dreszczu. Przed chwilą był na pierwszym stopniu tej wysokości, która nie ma granic. Aeroplan płynął spokojnie, jak gdyby miał przed sobą wytyczony gościniec, przy którym przydrożnymi znakami są całe miasta lub wsie. Ci “pasażerscy” lotnicy muszą tak latać, z nieomylnym spokojem, bacznie pilnując bezpieczeństwa. Umieją to czynić świetnie, ach, jak świetnie, bo są wybrani z najświetniejszych. Dlatego powierza się im życie ludzkie, a oni go strzegą jak największego skarbu. A “tamci” latają po bezdrożach i szukają na niebie ścieżek nieznanych, opętanych dróg, przepaści i wąwozów, jakby chcieli poznać teren, zbadać wszystkie drogi wiatrów i wszystkie ich przesmyki. Wiatr każdej nocy i każdego dnia zaciera po sobie ślady i jak górską rzeką żłobi sobie coraz to nowe koryta, ale lotnika nie zmyli. On już wie, gdzie są wietrzyste drogi, jakby na zawsze wyżłobione, gdzie się najczęściej puste otwierają przepaście i które wicher będzie się dzisiaj przelewał. Odbywa się pomiędzy lotnikami a wicherem walka nieustanna, żmudna i nieustępliwa. Wróg niewidzialny jest podstępny, więc bojowy lotnik nauczył się wyczuwać go każdym nerwem i zna wszystkie jego nieuczciwe w walce sposoby. W strasliwości tej wojny jest tyle grozy, że dreszcz wstrząsa człowiekiem. W zwycięstwie człowieka jednakże jest tyle radosnej dumy, że nic go od tej walki nie odwiedzie. Takim być lotnikiem, takim tylko! Walczącym, walczącym nieustannie, gotowym na wszystko. Musi on czasem spełnić zadanie, przed którym zawahałby się na ziemi najodważniejszy; musi być

zrośnięty ze swoją maszyną na śmierć i życie, znać musi każde jej drgnienie i każdą odmianę głosu, każdy w niej szmer i każdy ruch ledwie dostrzegalny.

Ignaś rozmyślał o tym zgiełkiem myśli. Był to powszedni chleb jego rozważań, którym karmił niespokojną duszyczkę. Nie zwierzał się z tym nikomu, bał się bowiem, że go jednym dmuchnięciem zgaszą jak płonąca w biały dzień świeczkę. Jest przecież pędrakiem, co ledwo odrósł od ziemi, cóż on jednak jest winien temu, że się dał opętać tym skrzydlatym marzeniom, kiedy to marzenia codziennie przypinają sobie skrzydła i wzlatają na lotnisku, wabiąc go i napęlniając słodkim, radosnym wzruszeniem? Już go chyba nie opuszczą nigdy. Ignaś myślał z rzewnym uśmiechem, że gdyby nie był człowiekiem, nie byłby ani drzewem, ani rybą, ani kamieniem, lecz albo ptakiem, albo wiatrem.

Wiatr był dla niego stworzeniem żywym i czującym. Odróżniał wybornie wiatry złe i podstępne, zrywające się niespodzianie, kłębiące się z wściekłością, od wiatrów pożytecznych, wiejących z jednakim natężeniem, pełnych siły, co szuka pracy, aby się wyzwolić i ucichnąć. Patrzył czasem na widowiska wśród chmur i wyobrażał sobie, co tam na wysokościach wyprawia wiatr; z lotu chmur oznaczał kierunek i natężenie i o tym tylko myślał, czy byłby on dla lotnika wiatrem złym, czy przyjaznym i pożytecznym? Z tego punktu widzenia osądzał każdy dzień, zaledwie otworzywszy oczy. Nie obchodziło go to wcale, czy pójdzie do szkoły w strugach deszczu, czy w złotym słońcu. Troską jego było pytanie, czy ołowiana szarość dnia nie zwoła jakichś złych wichrów lub ciężkiej trzody mgieł, co zawałą niebieskie drogi, poczynią zasięki lub rozkleją się po niebie brudnym, nieprzejrzanym jeziorem. Sami lotnicy nie mieli chyba takich serdecznych z tego powodu zmartwień. Ignaś jednak chciał dopiero być lotnikiem, więc był jeszcze więcej gorliwy od tych, co już nimi byli. Kiedy widział, jak wiatr rzuca aeroplanem, co z nim walczy i brnie z trudem przez ciemne niebo, dotykał mimo woli ręką dziecięcego swego serca i sam sobie sprawy z tego nie zdając, co czyni, cicho się modlił. Nie wiedział o tym lotnik, tam, pod chmurną kopułą nieba. A może jednak w jakiejś bardzo ciężkiej chwili nagle zadrzał, jak gdyby usłyszał głos, co mu dodaje otuchy. Któż to wie?

Raczek położył w tej chwili rękę na ramieniu chłopca.

— Idź, synku, z panem Lepajłłą, który ci coś da dla mnie.

— A ojczulek?

— Ja pójdę do domu, bo mi się zdaje, że wciąż jeszcze lecę. Czy pan czuje to samo, panie Michale? A wie pan co? Bardzo się cieszę, żeśmy razem dzisiaj latali, ale wolałbym, żeby pana nie było.

— Czemuż to? — zdziwił się Litwin.

— Bo lataliśmy za nisko. Pan zbyt wiele waży...

Lepajłło machnął ręką i poszedł z Ignasiem przez rojne ulice.

Jesienna niedziela, złociście łaskawa, uśmiechnięta była bladym uśmiechem. Ulice, wiodące ku zachodowi, gorzały u wylotów migotliwie, jakby napełnione były złotym pyłem, bo słońce zniżało się ku ziemi. Oni szli sobie powoli, rozprawiając poważnie. Lepajłło bowiem lubił bardzo rozmowy z chłopcem, roztropnym i umiejącym myśleć, Ignas zaś kochający tego serdecznego człowieka często odkrywał przed nim serce. Ubóstwianego Raczka nie chciał trwożyć swoimi zamysłami, które się jeszcze jemu samemu wydawały czasem szalone, więc zwierzał się przed Lepajłłą. Ten słuchał w tej chwili uważnie, co mu Ignas mówi o locie aeroplanem i o swoich tęsknotach. Chłopiec patrzył na twarz dobrego człowieka, czy na niej nie dojrzy wesołego lub lekceważącego uśmiechu. Olbrzym jednak słuchał pilnie i z wielką powagą. Wreszcie mu rzekł:

— Na to wszystko jeszcze jest czas, drogi chłopcze. Jedno ci tylko powiem: trzeba z całej duszy kochać swój zawód, z całego serca trzeba kochać swoją pracę, bez tej miłości bowiem każda praca będzie zawsze tylko nikczemnym partactwem. Jeśli tedy pragniesz zostać lotnikiem, musisz kochać ten zawód ciężki, może najcięższy. Wtedy będziesz dobrym lotnikiem... Nic nie mów... Ja wiem, co w tobie siedzi... Wypróbuj się, zbadaj swoją wytrwałość. I lepiej zawrócić z drogi, choćbyś się już zbliżał do celu, jeżeli będziesz miał chociaż chwilę zwątpienia, bo potem byłbyś nieszczęśliwy i nie dokazałbyś niczego.

— Ja nigdy nie zwątpię! — rzekł Ignas żywo.

— Amen! — powiedział Lepajłło. — Ja ci wierzę, mój chłopcze.

Kiedy się rozstali, Ignas krążył po ulicach, jakby chciał sprawdzić, czy należycie orientował się z góry. Był nad Wisłą i długo patrzył, jak zapalone właśnie latarnie świetlicie mącą szarą wodę. Wrócił do domu, kiedy już wieczór drżał na jesiennym chłodzie. Wszedł cicho, bo Raczek albo czytał, albo pisał, nisko pochylony nad stołem. Musiał czynić coś bardzo zajmującego, bo wbrew zwyczajowi nie odwrócił się i nie spytał Ignasia, co czynił i skąd powraca? Chłopiec przysiadł na krześle w kuchence i odpoczywał, bo był bardzo zmęczony. W izdebce było

cicho i mroczno, lampa bowiem, którą zagarnął dla siebie Raczek, była dość słabowita i wcale nieciekawa jego, co się dzieje po kątach.

Coś się dzieje przeciwnego naturalnemu biegowi spraw. Już czas największy na wieczerzę, za dwie godziny bowiem Raczek będzie musiał pójść do redakcji. Nie ma niedzieli w ciężkiej służbie dziennikarskiej, gazeta musi ukazać się w poniedziałkowe rano. Raczek jednak zatonął w swojej pracy. Czy on pisze, czy czyta? Jeśli czyta, to nigdy chyba nie czytał z takim zapamiętaniem, miał bowiem zwyczaj rozpoczynania doraźnej rozprawy z książką; był to czytelnik prosty i serdeczny, wierzący skwapliwie w najwymyślniejsze przygody, w których brał udział żywy i bezpośredni. Czytając książkę, wchodził natychmiast w gromadkę ludzi, którzy się po niej snuli, cieszył się z nimi lub smucił, z przedziwną zaś skwapliwością usiłował niweczyć wszystkie czarne intrygi i zapobiegać zbrodniom. Kiedy zły stryj, uwięziwszy bratanicę, naigrawał się z jej niewinnej boleści, Raczek wpadał w gniew i wołał głośno:

— Ach, ty szatanie, ty psie! Niewinność ostrzegął i kiedy jej podano truciznę w srebrnym pucharze, szeptał, aby nie piła, zawsze jednak opuszczał ręce i jęczał:

— Za późno!

Wertując po raz setny popularną książkę o astronomii, w tych samych zawsze miejscach dawał głośny wyraz swego uwielbienia i zachwytu dla nieograniczonych wspaniałości wszechświata. Kiedy odczytywał zdanie: “Sto trzydzieści dwa tysiące lat światła...” — wołał niezmiennie: “Ho! ho!” — a dowiadując się o ogromach mgławic: “To rozumiem! To jest coś!”

Teraz jednak Raczek milczy i zatracił widocznie rachubę czasu. Czyta... Nie!... I czyta, i pisze. Najpierw odczytywał coś pilnie, a teraz niecierpliwym ruchem chwyta pióro i pędzi je po papierze, bo aż w kuchence słyhać jego skrzypienie. Pewnie nie usłyszał wejścia Ignasia, bo nie odwrócił się nawet. Napisał coś, potem to odczytywał, wydając pomruki. Jest już jednak późno, więc Ignas waży się nieśmiało na cichy szept:

— Ojczulku, dziewiąta godzina...

Raczek jednakże nie zważa na zwiędłe szepty. Jest tak zajęty, że zaledwie piorun zwróciłby jego uwagę. Lewą ręką pociera czoło, jakby je masował, prawą wzniosł w górę i potrząsa kopią pióra. Czasem oddycha tak gwałtownie, że chwieje się płomień dychawicznej lampy, a ona sama drży cichutkim, szklanym dźwiękiem, dziwiąc się wielkim westchnieniom tego męża. Ignas nie wiedział, co robić. Raczek nie uznawał ludzkiej miary czasu, zegara i jego godzin i poddawał się jej z trudnością. Nie było to dziwne u człowieka, który operował setkami lat światła, chłopiec

jednak pilnował mizernego ziemskiego czasu i przypominał Raczkowi, że czas iść do redakcji. Zdecydował się wreszcie na dość zuchwały czyn. Wszedł do pokoju i stanąwszy obok Raczka dotknął ręką jego ramienia.

— Ha! — zakrzyknął Raczek. — Co się stało?

— Nic się nie stało, ojczulku — uśmiechnął się Ignaś. — Bardzo już późno.

— Jakże może być późno? Ledwie usiadłem przy stole...

Niedawno rozstaliśmy się przecie...

— Od tego czasu minęło prawie pięć godzin.

— Niemożliwe! — krzyknął Raczek.

— Możliwe, bo dochodzi dziewiąta.

Filozof zdumiał się, potem — okrężną drogą powróciwszy do normalnego stanu z krainy jakichś zamyśleń — uśmiechnął się dobrotliwie i powiedział dziwnie pięknie:

— W krainie marzenia zatracamy poczucie czasu. Ja go jednak nie zmarnowałem. Patrz, chłopcze! Widzisz te papiery?

Jak myślisz, co to być może?

Ignaś, nie mogąc określić owoców jakiejś tytanicznej pracy Raczka, nazwał jedynie jej rodzaj.

— Ojczulek coś pisał...

— Cha! Cha! — śmiał się Raczek jasnym, zwycięskim śmiechem. — “Ojczulek coś pisał...” Ale co? W tym rzecz! I ty się zdumiejesz, i zdumieje się Lepajłło. Ignasiu! Ja opisałem nasz dzisiejszy lot nad stolicą!

— Nie może być! — krzyknął wesoło chłopiec.

Raczek zarumienił się i tłumaczył nieśmiało:

— Przyszła na mnie chwila natchnienia... Ręka sama rwała się do pisania... Tysiące skrzydlatych słów brzęczało mi w głowie... Poczułem w sercu wielkie wzruszenie... Bądź co bądź, Ignasiu, dokazaliśmy nie byle czego... Takie chwile trzeba utrzymywać, uwieczniać, przekazywać je potomnym. Mickiewicz był na Krymie i zaraz to opisał. Oczywiście, ja nie mogę współzawodniczyć z Mickiewiczem, ale nikt nie zaprzeczy, że cokolwiek trudniej jest wlecieć w aeroplanie pod niebosiężne niebiosa aniżeli wozem przejechać przez stopy. Niechże się ludzie dowiedzą, że i stary Raczek nie zmarnował życia i czegoś w tym życiu dokazał. Lepajłło — powiadam ci — zbaranieje. O nim też napisałem I

— I cóż ojczulek napisał?

— Przede wszystkim prawdę. Dałem mocny wyraz zachwytowi. Co prawda, to prawda... Nieznacznie napisałem, pomiędzy wierszami, że byłem przeciwnikiem mechanicznego sposobu latania, ale że zostałem zwyciężony. Rzecz jest zbyt wspaniała, aby się przed nią nie ukorzyć. A zakończyłem gorącym wezwaniem do ludzkości, aby przestała trzymać się kurczowo ziemi. Przyszłość ludzkości jest w powietrzu! Właśnie napisałem słowa: "Nie masz pana nad lotnika!" — kiedy mnie znalazłeś na Olimpie.

— "Nie masz pana nad lotnika" — powtórzył Ignas śmiejąc się wesoło.

— Sprytnie, co? Umyślnie przekreśliłem słowa, które dotąd brzmiały: "Nie masz pana nad ułana!" — aby i lotnictwo uwielbić, i zdegradować ułana razem z jego koniem. Dość już koni!

— I to będzie w gazecie?

— W tym celu to pisałem. Zadowolony jesteś ze starego Raczka?

— Strasznie jestem zadowolony. Więc ojczulek... już nie ma nic przeciw temu...

— Przeciw czemu? Śmiało! Śmiało!

— No... przeciw lotnikom... ja tak w ogóle...

— Przeciw lotnikom? Bronilem się długo, bo miałem swoje racje... Racje filozoficzne, oczywiście! Dzisiaj jednak, kiedy leciałem i powróciłem szczęśliwie, kiedy poznałem potęgę i pewność aeroplanu, jestem dumny, że dożyłem jego zwycięskich czasów. I gdybym był młodszy — Europa usłyszałaby o mnie... Atlantyk nie jest taki bardzo szeroki... Ty mnie rozumiesz, chłopcze!

X

Ignas nigdy nie ujrzał w druku wspaniałego hymnu Raczka o podniebnej podróży,
— Zawiesz ludzka — rzekł Raczek. — Tym pismakom zdaje się, że tylko święci garnki
lepia.

I chciał symbolicznie złamać pióro, ale zaniechał tego, gdyż należało ono do Ignasia. Zapomniał jednak szybko o swojej autorskiej krzywdzie i tym więcej pokochał lotnictwo, że miłość ku niemu, wyśpiewana w górnym hymnie, na początek przyniosła mu cierpienie. Machnął na to ręką i zajął się wielkim planem. Ignas kończył lat szesnaście, a za tydzień rozpoczynały się wakacje. Lato już dojrzało i tańczyło, trzymając złote słońce ponad gorącą głową. A głowa Raczka, zawsze pełna pomysłów, rozmyślała nad sposobem uradowania ukochanego chłopca. Już go nie można było kochać więcej, stary człowiek jednak wciąż się tym trapił, czy mu oddał serce w całości i czy jakiego włókienka nie zachował na swój użytek? Żaden zaś syn rodzony tak nie kochał ojca, jak Ignas Raczka. Nie było poza tym dwóch przyjaciół wierniejszych i w przyjaźni uczciwszych. Chłopiec już przed nim nie ukrywał swoich tęsknot lotniczych, Raczek zaś, wslawiony lotem nad Warszawą, słuchał i rozważał przyglądając się roztropnie każdemu słowu i ważył je potem w rozumie, byстрыm ponad pojęcie. Wielkie w nim chował tajemnice i ukrywał je za srebrną zasłoną śmiechu. W tej chwili zajmował się jedynie sprawą pilną, Ignas rozpoczyna wakacje, a Raczek urlop dobrze zasłużony. Miało być tego urlopu miesiąc, Lepajłło jednak, mniej prośbą, a więcej groźbą, wycygał sześć tygodni i powiedział Raczkowi:

— Zanim pan postanowi, co zrobić z urlopem, to przy pańskiej lotności myślenia minie miesiąc i skończy pan wyuczasy, zanim je pan zacznie. A tak przez miesiąc będzie pan dumał i rozmyślał, a dwa tygodnie wystarczą panu na odpoczynek.

— Ho! ho! — zakrzyknął Raczek.

— Co ma znaczyć ten okrzyk? — zapytał Lepajłło z niesmakiem.

— To ma znaczyć, że plany mam gotowe i spędzę czas rozkosznie. Ja już nie jestem, panie, ten sam Raczek, ten dawny niedołęga. Ten już jest “świętej pamięci”, mówiąc pańskim pogrzebowym stylem. Od czasu kiedyśmy latali nad Warszawą...

— Dość mam już gadania o tym lataniu! Pan tam zostawił resztę rozumu...

— Być może. Ale znalazłem radość i energię. Skrzydła, panie Michale, skrzydła!

— Stary, skrzydlaty koniu! — krzyknął Lepajłło trzaskając drzwiami.

Zdumiał się jednak, kiedy Raczek przyszedł się żegnać i oznajmił mu, że pojedzie z Ignasem do tatrzańskiej ściany, a stamtąd będą szli ku Warszawie per pedes¹⁹, jak dawni podróżnicy, śpiąc na łące i w lesie, żywiąc się byle czym i pijąc wodę z rzeki.

— To nie jest zły pomysł — pochwalił Lepajłło. — Nawet dość rozsądny jak na zatwardziałego wariata...

— A co? A co? — śmiał się Raczek. — Ignas pozna kraj, a ja ucieszę oko widokiem pól i lasów, których dawno nie widziałem... Tak, tak... Ostatni raz oglądałem je z daleka i z góry, kiedy lataliśmy aeroplanem... No, no! Niech się pan nie ciska... Oto jest marszruta... Przez pola, przez rzeki, przez góry. Hej! Hej! — krzyknął nagle.

— Czego pan krzyczy?

— To nie ja. To moja dusza krzyczy na widok przestrzeni!...

— Jeszcze jej pan nie widzi.

— Raczkowie odznaczeni się zawsze bujnością wyobraźni. Nie wiem, jak z tym było u Lepajłłów.

Pożegnali się najczulej i najserdeczniej. Lepajłło długo ścisnął Raczka i nakazywał mu pod groźbą pobicia, aby w wagonie nie dotykał takiego przyrządu, który się zwie “hamulcem bezpieczeństwa”, nie wychylał się przez okno i aby nie zapomniał nakarmić i siebie, i— Ignasia, przynajmniej od czasu do czasu. Wreszcie pociąg gwizdnął z radości, że wiezie — po raz pierwszy od lat wielu — dwie istoty szczęśliwe.

Chyba od chwili swoich narodzin nie słyszały Tatry takich zachwyconych okrzyków, jakie z wezbranej piersi wydawał Raczek. Krzyczał i radował się za dwóch. Ignas bowiem, oszołomiony, milczał, jakby w chłopięcej duszy nie mógł znaleźć słów godnych tego kamiennego cudu. Dziwnej zaznawał radości, bo coś jak płacz napępniało mu piersi; był wzruszony do głębi serca. Nad górami błękitniała wielka pogoda. Jednak trzeciego dnia ich pobytu w Zakopanem poczęły się nad Giewontem kłębić chmury: białe, wełniste i potargane. Odbływały się wśród nich jakieś niepokojące harce, jakaś burza wśród pogody. Z tego gniazda chmur jak z matecznika wyleciał wiatr. Nazywano go tu “wiatrem halnym”. W krótkim czasie, zleciawszy z wysokości, “napępnął dolinę gorącym szaleństwem. Na niebie rwał chmury na strzępy, tłamsił je, pędził i miotał nimi, a obłoki, przerażone i zrozpaczone, gnały przed siebie jak białe stado owiec

¹⁹ Per pedes (łac.) — pieszo.

ogarniętych śmiertelną trwogą. Wiatr halny — pasterz straszliwy — gnał je świstem i .zajadłością najdziwniejszych głosów. Przeraziwszy niebo spadł na ziemię i jak olbrzym, którego szal opętał z jakiegoś wielkiego bólu, chwycił drzewa za czuby jak mizerne zielska, skręcał je i usiłował wyrwać z korzeniami. Drzewa podniosły szumny płacz i gięły się bezsilne. Zły wiatr osłabnął we wściekłości, głos wydał przeraźliwy i rzucił się na ludzkie sadyby, trwożnym graniem elektrycznych przewodów i skrzypieniem blach, ciskał się w oblędzie z domu na dom i usiłował zatrząść nim, wywrócić lub zerwać z niego nakrycie dachu. Zwalił się znowu wyczerpany i osłabiony po napadzie furii i leżał kosmaty zwierz przedpotopowy po uciążliwej śmiertelnej gonitwie. Od jego cielska bił żar i gorączka. Z tej gorączki rodzi się jego wściekłość. W nieprzytomnym locie wpadł tutaj pomiędzy góry jak w pułapkę i szuka spomiędzy nich wyjścia. Dlatego tak się miota, demon w klatce, dlatego tak wyje, zrozpaczony, i pazurami rwie niewinne obłoki, gryzie zębami ziemię, a stu kosmatymi rękami wrywa drzewa albo je łamie jak rozsrożony niedźwiedź. Przez noc całą szalał nieprzytomnie plądrując po obszernej dolinie; wreszcie zaczął płakać, narzekać i jęczeć, a kiedy nie znalazł nigdzie litości, szatan, podstępny, rozpoczął na nowo swoje mściwe szaleństwo.

Ignaś słuchał jego głosów ze zgrozą i o tym tylko myślał, że biada każdemu aeroplanowi, który by musiał stoczyć walkę z tym wyjąłym potworem, groźniejszym od każdej burzy, z tym wiatrem obląkańcom, który wieje równocześnie ze wszystkich stron i nie ma swojego szlaku, lecz kłębi się nieprzytomnie z szaloną szybkością. O, jakie to szczęście, że ten wiatr nie schodzi w doliny i nie przebiega tymi drogami, którymi krążą samoloty! Byłby to wróg straszny i śmiertelny. Ignaś myślał o nim z trwogą i rad był, że wiatr ten rodzi się rzadko i szybko umiera. Zapamiętał sobie jego dziwne, skłócone głosy; poznałby go po nich od razu.

Raczek też się o nim wyrażał z niesmakiem, bo to zwierzę nie pozwalało mu spać i usiłowało wyrwać ramę z okna w jego pokoju.

— Są wiatry i są wiatry — rzekł głęboko. — Ten wydaje mi się głupi.

Zapomnieli jednak o nim, rozpoczynawszy słynną swoją wędrówkę od Tatr w dół. Szli mocno objuczeni, Raczek bowiem, zakupiwszy skautowski namiot, postanowił i hotel, i restaurację nosić na plecach. Wyglądali tak, jak gdyby stary, wielkimi grzechami obarczony pątnik średniowieczny powracał radośnie z świętego miejsca, gdzie mu zostały odpuszczone grzechy, a wiodło go niewinne pacholę. Dostojny pielgrzym zachowywał się jednak nieco weselej, niżby to się jego

siwej godziło brodzie. Czasem, przystanąwszy na wzgórku, zdejmował kapelusz i wykrzykiwał na cały świat:

— Hop! Hop!

Potem, przyłożywszy rękę do ucha, nasłuchiwał pilnie.

— Tutaj nie ma echa, ojczulku — śmiał się Ignasz.

— To dziwne, mnie się zdawało, że echo powinno być wszędzie.

Czasem znów, kiedy odpoczywali na łące rozgrzanej w słońcu i słońcem pachnącej, stary pielgrzym opierał głowę na rękę i wędrując spojrzeniem mówił wzruszony:

— Patrz, Ignasiu, jaka cudna jest ta polska ziemia... Musiał na nią paść uśmiech Boga, kiedy stwarzał świat... Są ziemie, które wyglądają, jakby ich góry i skały rzeźbił srogi gniew. Cień się po nich snuje i groza. Są ziemie bogate, z których wyrastają marmurowe domy, i są ziemie odarte ze wszystkiego, nagie i żebracze. A na naszej ziemi jest jakaś słodycz i spokój. Nie jest ona zbyt bogata, ale nie jest i biedna. Ziemia jest cicha i niska, a niebo łaskawe i wysokie. Ta ziemia uśmiecha się, Ignasiu. Nie trzeba z nią walczyć ani grozić, ani zaklinać, bo ma serce matczyne, pełne dobroci. Nakarmi cię i napoi za odrobinę miłości... Cudowna ziemia!... Słyszysz, jak tu wszystko na niej śpiewa? Czujesz, jak pachnie ta łąka, a kiedy wiatr powieje, od lasu dolatuje* zapach żywicy... Dobra, słodka, rodzona ziemia... Dlatego my ją tak kochamy, dlatego taka jest nam droga i najdroższa...

Ignasz potwierdzał każde słowo uderzeniami serca. Było mu dobrze, niewypowiedzianie dobrze. Szeroko jest, szeroko i jasno. Chmury, białe i wybujałe ku górze, poruszały się leniwo, przelewając się z boku na bok i najdziwaczniejsze przybierając kształty. Lasy schodziły niepoliczonym tłumem po stokach wzgórz ku rzece płytkiej i szeroko rozlanej na kamienisku. Zboża zaczęły już przybierać barwę bladozłotą. Powietrze drżało, gorące i migotliwe, niemal widzialne, tak nasycone promienistością słońca i złotym jego pyłem. Ciężka, leniwa cisza zwiślała ku ziemi; czasem drążył ją z trudem bąk albo ptak ją przeszył cieniutkim i ostrym jak szpilka głosikiem. Woda wyszeptwała swoje tajemnice kamienistej ziemi, ale tak sennie, że zaledwie było słychać szemranie.

O zmierzchu rozbijali namiot i rozpaliwszy ognisko, pożywiali się cygańskim sposobem. A kiedy niebo rozkwitło gwiazdami, wtedy dopiero duch Raczka prężył skrzydła, a mowa jego stawała się skrzydlata. Wzruszonym głosem wskazywał palcem gwiazdy, astronom wyborny, i wiele z nich wołał po imieniu, a gwiazdy, szczęśliwe, że je ktoś woła, mrugały złością i

uśmiechały się do tego, który je kochał w biedniutkim swoim sercu. Wtedy Ignas słuchał ciekawie, Raczek bowiem wchodził do własnej głowy jak do spichrza i, pełnymi rękami wynosił z niego przedziwne wiadomości. Radość ogarniała go przemożna, że może mówić o ukochanym przedmiocie. Kiedy Ignas już spał, Raczek gadał sam ze sobą i chyba z gwiazdami.

Raz, podczas miesięcznej nocy, Ignas obudził się usłyszawszy głos Raczka. Wyjrzał z ciekawości z namiotu i ujrzał Raczka siedzącego na kamieniu, a przed nim wiejskiego pastuszka, który pilnował pasącego się opodal konia. Koń okazywał całkowitą obojętność wobec dziwnego przybysza, pastuszek natomiast słuchał z niepomiernym zdziwieniem tego pana, co wpatrzony w księżyc, podniósłszy palec prawej ręki, tak mówił:

— Teraz, kiedy już wiesz o paralaksie Księżyca, jeszcze jedną rzecz ci muszę powiedzieć. Otóż, uważaj tylko! Oś, dokoła której obraca się księżyc, jest prawie prostopadła do płaszczyzny ekliptyki, Otóż to! Nie prostopadła, jak zapewne myślisz, tylko prawie prostopadła, gdyż tworzy z nią kąt wynoszący osiemdziesiąt osiem stopni i dwadzieścia dziewięć minut. Ani mniej, ani więcej? Cóż z tego wynika? To mianowicie, że równik księżyca tworzy z płaszczyzną ekliptyki... Chłopcze! Co ci się stało? To jeszcze nie koniec...

Ignas zdusił radość, aby nie wybuchła płomieniem wesołego śmiechu. Pastuszek podczas ostatnich słów Raczka zaczął przestępować z jednej nogi na drugą, potem cofał się powoli, wreszcie zaczął zmykać jak zając. Dopadł swego jasnokościstego bachmata i wgramoliwszy się na jego grzbiet popędzał go gwałtownym uderzaniem bosych pięt, z czego rumak zrozumiał, że jakieś wielkie niebezpieczeństwo wypadło z cichej nocy i choć spętany, zaczął uciekać.

Raczek patrzył na to wszystko z serdecznym żalem, jak prorok, któremu uciekł ostatni wyznawca. Potem, machnąwszy ręką, poszedł spać.

Nazajutrz weszli do Krakowa, który ich przyjął omszałym uśmiechem, a przywitawszy — usnął znowu cichym snem, ułożywszy sędziwą głowę na wawelskim wzgórzu. Przeżyli tam dwa dni takie dziwne, jak gdyby nieustannie czytali prześliczną starą książkę, ozdobioną sztychami. Miasto lśniło jak cudowny klejnot w starożytnej oprawie przez najwspanialszego cyzelowanej złotnika. Kamienie odwieczne wydawały się żywe i znające mowę ludzką. W każdym załomie muru spał ciężkim snem cień taki mroczny jak dawność; na każdej płycie kamiennych schodów znać było głęboko żłobione ślady ciężko stąpających wieków. Oni zaś chodzili pośród tych murów bez hałasu, jak się chodzi po kościele, i ściszały głosy rozmawiając jak pośród grobowców. Raczek, który mieszkał kiedyś w Krakowie, pouczał Ignasia dobierając słów, jak gdyby zwyczajne słowa

potocznej mowy nie mogły zmieścić w sobie tych blasków, co ociekały z murów i wież. Chłopcu pozostało w oczach na zawsze malowidło wspaniałe, jakim się pyszni bogato zachodzące słońce, i taki blask, jakim się świeci stare, szerniałe złoto.

Już byli poza Krakowem, a odwracali się ciągle, aby spojrzeć raz jeszcze, raz jeszcze. Kościół Mariacki podawał niebu koronę wyzłoconą przez słońce. Nad Skalką wytrysnął srebrny czub rozperlonej fontanny: to gołębie podleciały pod niebo i opadały teraz jak ciężkie krople srebrnej wody.

Szli coraz wolniej, zbaczając z gościńców i wędrując polnymi drogami, jak gdyby chcieli iść jak najdłużej. Tyle było w tym wędrowaniu rozkoszy, że Ignas już się począł trwożyć zakończeniem podróży. Czuli się wspaniale, a Raczek, ducha w sobie odmłodziwszy, pokrzykiwał coraz częściej i coraz głośnie. Opalony jak traper na amerykańskiej prerii, chudy jak Wielki Post, żyłasty jak pieczeń w dawnej jego jadłodajni, szedł niezmordowanie, a chociaż czasem milczał, jednak dusza w nim śpiewała. Nie chciał używać kubka do wody, najbardziej wstrzemięzliwych przewyższając tym filozofów, i pił wprost ze strumienia, tłumacząc Ignasiowi, że utrapienia ludzkie narodziły się wraz z przedmiotami zbytku. Ignas przeto, uczeń mistrza, żył też jak młody Indianin i sławił radośnie powrót do natury. Natura jednak musiała tego nie dosłyszeć, bo czasem sprąła ich wielkim deszczem, po którym Raczek tracił wygląd filozofa, a przybierał pozór zmokłego żurawia na patykowatych nogach, co — oswiały — rozmyśla o zmienności pogody.

Kiedy po nasiąkłym wilgocią wieczorze zapowiadała się noc przykra, rzekł Raczek:

— Nauczyłem się gardzić ludzkim mieszkaniem i sklepienie niebieskie uważam za dach człowieka wolnego. Cóż jednak robić, kiedy to sklepienie zaczyna przeciekać? Na noc dzisiejszą musimy schronić się pod dachem. Dobry człowieku — zapytał przechodzącego kmiotka — gdzie by tu można przenocować?

Kmiotek obejrzał ich i uśmiechnął się nieznacznie.

— We wsi was nie przyjmą, bo ile razy takie zanocują, zawsze rano przepadną ze dwie kury.

— Jak to? Czy myślicie, dobry człowieku, że my kradniemy kury?

— Ja nie mówię, że wy... Ale byli inni, a kur nie ma. A pan też, za przeproszeniem, ma trochę złodziejską gębę.

— Co takiego? — krzyknął Ignas, oburzony.

— Świetnie! — zawołał Raczek z zachwytem. — Ja też byłem zawsze tego zdania. Ignasiu! Ten dobry człowiek wie, co mówi.

Chłop spoglądał niepewnie, nie wiedząc, czy obraził tego śmiesznego człowieka, czy też go zachwycił komplementem.

— Idźcie do dworu — rzekł. — pan Olecki wielki pan. Zginie mu kaczka albo kura, to nawet nie poczuje.

— Kto? Kto taki?

— Pan Olecki, nasz dziedzic.

— Ignasiu, słyszałeś?

— Słyszałem — rzekł Ignaś wzruszony.

— Dziwne to jest zrządzenie. Olecki! Przecie wyraźnie powiedział... Czy ty masz jakich krewnych w tych stronach?

— Sam nie wiem — mówił Ignaś zamyślony.

Bardzo wzruszeni weszli między zabudowania, gdzie ich opadły psy.

— Albo, szelmy, nie poznały Oleckiego, albo poczuły kielbasę w moim plecaku! — mówił Raczek.

Potem, przypomniawszy sobie sposoby Odyseusza²⁰, nagle przykucnął, a psy, zdumione dziwną jego postawą, umilkły. Ktoś równocześnie zjawił się na ganku i, ostatnimi słowami wymyślał skonfundowane psie towarzystwo za gorliwość.

— Panowie do kogo i po co? — pytał chudy człowiek, niedbale ubrany.

Przyjęcie miało temperaturę wystarczającą do skroplenia wodoru.

— Czy mam zaszczyt mówić z panem Oleckim?

— A jeśli tak, to co? Owszem, jestem Olecki. A pan kto taki?

— Zjawiliśmy się przypadkiem — mówił Raczek uroczyście. — Przypadek jednak może okazać się błogosławiony, a sprawa — sprawą wielkiej wagi.

Stary Olecki obejrzał ich niechętnie, potem, wzruszywszy ramionami, zaprosił do pokoju, w którym czuć było stęchliznę.

Raczek, przedstawivszy się, wygłosił mowę. Piękną mowę! O cudowności przypadków, o sierocie bez rodziny i o wzruszającym szczęściu, jakiego zaznałby sierota odnalazłszy kogoś

²⁰ O d y s e u s z — bohater eposu Homera pt. "Odyseja", znany z przebiegłości i sprytu, najchytrzejszy z Greków.

swojej krwi. Ignas jest już jego synem i tego syna on nie odda nikomu, ale jeśli Bóg tak zdarzył, że się znalazł bliski krewny, niech chłopiec wie, że w razie gdyby jego, Raczka, zabrakło, nie zostanie sam na świecie!

Mówił tak ślicznie, że Ignas patrzył na niego z zażawionym zachwytem. Natomiast chudy człowiek, wysłuchawszy z namarszczonym czołem tego przemówienia, oświadczył krótko, że nie jest jego zwyczajem odmawianie noclegu ludziom będącym w podróży, nie przypomina sobie jednak, aby miał jakichkolwiek krewnych. On nikogo nie szukał i prosi, aby jego nie szukano. Pan Raczek i “domniemany” kuzyn mogą się przespać w oficynie i na tym raczą zakończyć wszelkie stosunki. Oleckich jest wielu na polskiej ziemi, a on nie jest obowiązany do opieki nad kimś, co nosi to samo nazwisko. Bardzo to pięknie ze strony pana Raczka, że zajął się chłopcem, bo go widocznie na to stać, ale on tego podjąć się nie może.

Raczek podniósł obie ręce w górę. Ignas patrzył chmurnie, a na jego twarzy znać było tajony ból.

— Trudno — rzekł Raczek smutno. — W takim razie nie będziemy pana niepokoić i dziękując uprzejmie za zaproszenie pójdziemy sobie dalej. Ukłoń się panu, Ignasiu... A teraz wyjdź i poczekaj na mnie na ganku.

— A pan po co zostaje? — zapytał Olecki. — Jeśli się pan obraził...

Raczek dał mu znak porozumiewawczy.

— Zaraz się pan dowie... Nie chciałem, aby ten chłopiec słyszał, bo to sprawy jeszcze nie dla niego. Otóż, widzi pan: wielka to jest szkoda, że pan nie jest krewnym Ignasia... Wielka szkoda!

— Nie taka wielka, jak się panu zdaje! — uśmiechnął się chudy człowiek.

— Sąd pański jest cokolwiek za wczesny, bo my, drogi panie, nie wędrujemy tak sobie, bez celu. Ja szukam jakiegoś krewnego tego chłopca. To, co panu o nim opowiadałem, jest tylko w połowie prawdziwe, nie powiedziałem panu bowiem że szukam opiekuna nie tylko dla chłopca, ale i dla jego majątku...

Chudy człowiek spojrzał ciekawie.

— Jak to “dla majątku”? Ten chłopiec ma majątek?

— Po matce, i to duży. Spójrz pan na mnie! Czy ja wyglądam na finansistę? Dlatego chciałem znaleźć bliskiego krewnego Ignasia..., Wielka szkoda, że pan nim nie jest, wielka szkoda? Zegnam pana...

— Zaczekaj pan! — krzyknął tamten. — Trzeba pomyśleć...

— Szkoda czasu, drogi panie! — rzekł Raczek bardzo żałośnie.

— Zaczekaj pani Może się okaże...

— Nic się nie może okazać! Gdyby pan był jego krewnym, okazałoby się to z uścisku, którym byłby go pan przywitał, i z dobrego słowa dla mnie. Niech mnie pan puści!

— Nie puszczę pana! Czy pan wie, że ja mam prawo zająć się chłopcem i wszystkim, co do niego należy?

Raczek oswobodził grzecznie swoją rękę z jego uścisku i rzekł dobitnie:

— Majątku Ignasia będę bronił jak lew! Rozumie pan, jak lew!

— A ja udam się do sądu!

— Trudno — rzekł Raczek. — Zgniję na więziennej słomie, ale pan jego milionów nie zobaczy! Na to panu daję słowo Alojzego Raczka!

I skorzystawszy, że tamtego zatchnęło, wyszedł dostojnie, chwyciwszy zaś Ignasia za ramię mówił ze śmiechem:

— Uciekajmy, bo nas wezmą do niewoli!

Pan Olecki nie gonił ich jednakże, bo drżącą ręką zapisywał imię i nazwisko tego oberwańca, co mu ukradł kuzyna.

— Co ojczulek z nim tak długo gadał? — zapytał Ignasz.

— Nic. Łgałem! — odrzekł Raczek. — Ale mi to Pan Bóg przebaczy. A wiesz, Ignasiu, co ci powiem? Ten kmiotek, co twierdził, że ja mam złodziejską gębę, pomylił się, ale nie bardzo. Ja nie gębę mam złodziejską, tylko duszę. Cha! cha! Pan Olecki nie będzie dzisiaj spał! Cha! cha!

Ignasz jednak nie śmiał się. Było mu ogromnie przykro, że ktoś, co tak samo jak on się nazywa, wyrzeka się go od razu, nie zbadawszy nawet, czy jest naprawdę jego krewnym? A pan Raczek... Przytulił się nagle do niego i starą jego, pomarszczoną rękę położył sobie na twarzy.

— Ej, chłopcze — mówił Raczek cicho. — Co ci się znowu stało? Zapomnij o tym niby krewnym. On się zapewne tylko tak nazywa jak ty... Pal go lichu! Na co on nam potrzebny? Czy takim dwom jak my potrzeba kogoś trzeciego do pomocy?

Śmiejąc się z tego i zapomnij o tym zdarzeniu!... *Gaudeamus igitur!*²¹ A teraz chodźmy na plebanię, gdzie nas zapewne przenocują...

²¹ *Gaudeamus igitur* (łac.) — rabujmy się; pierwsze słowa dawnej pieśni studenckiej w języku łacińskim.

Nazajutrz zapomnieli o niedokrewnym krewnym, zbyt pięknie było bowiem na świecie, aby rozmyślać o ludzkiej skostniałości. Od Częstochowy, której ze czcią się pokłonili, wędrowali do Radomska. Mieli jeszcze dwa tygodnie wakacyj, więc nie spieszyli bardzo, tym bardziej że siwy skaut odpoczywał coraz częściej i chociaż gorąco pochwalał życie obozowe pod gwiazdami, coraz częściej szukał łoża na czterech nogach zamiast spać na gołej ziemi.

Dzień był słoneczny i promienisty. Ponieważ wędrowali od poranku, więc wynalazłszy piękną łączkę pod lasem, odpoczywali w cieniu. Polne koniki grały niezmordowanie jak wiejscy skrzypkowie na trzydniowym weselu. Dziki gołąb przefrunął czasem śmigłym, ogromnie szybkim lotem. Motyle tańczyły w rozpalonym powietrzu. W oddaleniu zieleń się ciemną zielenią liczne pułki chmielu, uszykowane w równych szeregach jak wojsko jeżące ostre dzidy tyk. Jakiś ptak wydawał taki głos, jak gdyby śmiał się z radości, że jest ptakiem i że dzień jest taki błękitny. Tak było cicho, że dziki królik, stworzenie niezmiernie płochliwe i czujne, ważył się niekiedy na szaleństwo i przemknął w kilku susach od nory do nory.

Raczek oparty plecami o pień drzewa patrzył radośnie na spokojną, dojrzałą radość ziemi. Było mu niewypowiedzianie dobrze. Czasem, aby ogłosić wszelkiemu stworzeniu swój zachwyt, usiłował zagwizdać melodyjnie jak ptak, co się przez chwilę chwiał na gałęzi, odśpiewał swoją arię i poleciał dalej, aby ją powtórzyć w innym lesie. Znamca i niepospolity wykonawca “Haiki” nie był jednak mistrzem w udawaniu ptaka, przeto kończył produkcję od razu po wydaniu pierwszego pięknego tonu. Ignas, położywszy się na trawie, patrzył na wysokie chmury, nieruchome i wspaniałe, wełnisto—białe.

Nagle czujnym uchem złowił daleki jakiś głos poza lasem.

Oparł głowę na rękę i rzekł:

— Słysząc aeroplan! Jest gdzieś nad nami...

Zadarli głowy i tak patrzyli w niebo, jak na cudownym obrazie Chełmońskiego ów stary chłop z wyrostkiem, co patrzy na bociany.

Szmer przeszedł w łoskot i w tej samej chwili ujrzeli aeroplan lecący dość nisko. Cisza letniego dnia przysła jak spokojna woda, w którą ciśnięto pocisk eksplodujący.

— Co to się dzieje? — rzekł Ignas z niepokojem.

Istotnie, działo się coś niezwykłego, bo miarowy, zwykle gderliwy głos motoru zmącił się i rozkrzykiwał chrapliwie.

— Jezus Maria! — krzyknął Ignas z nagłą rozpaczą. — Patrz, ojcze, patrz!

— Co, co takiego? — mówił ze strachem Raczek, zrywając się.

— Pali się... Pożar w motorze! — krzyknął Ignas z rozpaczą.

Błysnęło raz i drugi, wiatr podwijał wąskie pasmo płomienia pod samolot. Za chwilę stanie cały w płomieniach, własnym pędem podpalony.

— Czy on wyskoczy? — wołał Raczek.

— Za nisko! — krzyknął Ignas, blady jak płótno.

Lotnik musiał ujrzyć już płomienistą śmierć. Motor ucichł nagle, a aeroplan leciał bezradny — jakby na płomieniu.

— Będzie lądował... — mówił Ignas nieswoim głosem. — O Boże... Oby się wyratował...

Zaczął nagle wymachiwać rękami i wydawać ochryple okrzyki, jak gdyby chciał dać znać lotnikowi o istnieniu łąki pod lasem. Tamten, zrozumiawszy, że nie ma innego sposobu ocalenia, a ujrawszy łąkę już dawno, ważył się na lądowanie. Cała głowica aeroplanu była już w płomieniach, kiedy się toczył po ziemi. Działo się to wszystko w śmiertelnym tempie, choć wydawało się chłopcu, że mijają godziny. Jeszcze jednak samolot nie dotknął ziemi, chłopiec biegł opętanym biegiem ku niemu. Ujrzał człowieka bladego jak widmo, który ostatnim, już nieprzytomnym wysiłkiem usiłował uczynić ruch rozpinający pasy. Ignas uczynił to błyskawicznym ruchem i z siłą nagle wzmożoną do niebywałego napięcia chwycił lotnika pod ramiona i wyciągnął go z aeroplanu. Płomienie buchały z wściekłością, pięły się zachłannie w górę i chwytaly za skrzydła.

— Ojcie, prędzej! Prędzej! — krzyczał Ignas.

Zdyszany Raczek chwycił lotnika pod jedno ramię, a Ignas pod drugie i uciekali szybko.

Aeroplan płonął z trzaskiem i hukiem jak stos, na którym palono bohaterów i wodzów.

Ułożyli lotnika w lesie, w bezpiecznym miejscu. Ignas, opanowawszy podniecenie, pobiegł po wodę do strumienia i przyniósłszy ją w kapeluszu nacierał nią skronie lotnika. Na jego rękach widoczne były dotkliwe oparzenia, na prawym policzku ślad, wyżarły przez ogień. Ognista śmierć dotknęła go końcem piekającej ręki. Brakło jednej chwili, aby go objęła ramionami i zamieniła w popiół, jak to czyni z aeroplanem wśród purpurowej, straszliwej radości. Cud boski i ten chłopak wydarli śmierci tego człowieka. Jest nieprzytomny i nie wie, co się z nim dzieje. Powieki lekko drgają. Na osmalonej twarzy ma wielkie, grube krople potu, które Raczek drżącą ręką ociera. Raczek chce coś mówić do Ignasia, ale nie może, gdyż ma ściśnięte gardło. Serce się w nim tłucze po śmiertelnym, niedawnym lęku. Ale Ignas jest od niego silniejszy.

— Jeszcze wody... — szepce.

Raczek bieży szybko do strumienia, choć załamują się pod nim nogi.

Ignasz wlewa ją między, blade wargi lotnika, który otwiera oczy z głuchym westchnieniem i czyni taki ruch rękami, jak gdyby chciał z piersi usunąć ciężar. Może śmierć, co je przygniotła?

— Żyje! Żyje! — szepce Ignasz.

Lotnik patrzy przez chwilę nieprzytomnie, a kiedy z jego oczu zszedł męt, widzi oczy chłopiące, pełne równocześnie łez i radości uśmiechu. Nic nie rozumie ani też nic nie widzi, tylko te oczy, które mu się w pierwszej chwili wydają jakies ogromne, jak dwa księżycy, lecz się zmniejszają powoli, bardzo powoli. Słyszy radosny głos, więc usiłuje odpowiedzieć temu głosowi uśmiechem, lecz przy najmniejszym skurczu twarzy czuje ból. Po chwili ujrzał innego człowieka — który też wpatrzony jest w niego niebieskim, dobrym wzrokiem — i nie może zrozumieć, skąd się wzięły te inne oczy? W głowie ma szum i łomot, w powietrzu migają krwawe, miedziane błyski. Wreszcie zaczyna sobie przypominać. Nagle sprężył się, jakby tknięty straszną wieścią, i wykrzykuje pierwszą przytomną myśl w przeraźliwym okrzyku:

— Maszyna... Co z maszyną?

Ta jedyna myśl drżała w nim jak piorun w chmurze i nie opuściła go zapewne ani na chwilę. Teraz rozdarła mu świadomość, właśnie jak piorun chmurę, i oznajmia się zrozpaczonym krzykiem. Bo jego śmiertelne zmaganie się — to nic, jego lęk i groza, która sama zabić może — to nic, jego walka ze śmiercią płomienistą i to spadanie na ziemię, jak gdyby wprost do grobu — to nic. Troska jego najpierwsza wykrzykuje pytanie o jego aeroplan. W ledwie oprzytomniałych octach przebłyskuje nagłymi błyskami rozpacz, a oparzona twarz drga w szybkich skurczach.

Ci ludzie nie odpowiadają... Kto są ci ludzie?... Jeden z nich, ten chłopak, myśli przez chwilę, potem obejmuje go prawym ramieniem, unosi nad ziemię i lewą ręką pokazuje coś w oddaleniu. Lotnik patrzy długo na płonący stos, na którym, rozkrzyżowawszy skrzydła, płonie ogromny ptak.

Głuchy jęk wydobywa się z piersi bohaterskiego lotnika. Ignasz widzi, że z oczów lotnika płyną grube, ciężkie łzy. Płacze człowiek, który nie drgnąłby zapewne, gdyby stał pod gradem kul. Ale tam przecie w proch się obraca coś, co miał najdroższego. To jego serce płonie na tym stosie... Dlatego płacze. W wielkim milczeniu, bez jednego słowa. Jest żołnierzem, ale nie wstydzi się łez, bo żołnierz nie płacze nigdy nad sobą, ale płakać mu wolno nad śmiercią towarzysza najmilszego.

Nagle go ogarnęła rozpaczliwa chęć, aby się zerwać i biec na ratunek bezbronnego stworzenia, nad którym pastwi się ogień jak sęp szukający, czy strzęp jaki nie został na obnażonym szkielecie. A tym bezbronnym stworzeniem jest jego aeroplan, jego brat i siostra, jego ukochanie i przyjaciel. Znał w nim każdy nerw i każde włókno. Znał jego serce jak serce własne i głos jego znał jak głos własny. Więc się począł wrywać i usiłował się podnieść, ale się tylko zachwiał.

Wtedy chłopiec znowu objął go miękko i mówił głosem dobrym i pełnym słodyczy:

— Cicho!... Cicho!...

Lotnik spojrział na niego i zobaczył tyle współczucia i tyle braterskiej pociechy w młodych, załamanych oczach, że nagle przytulił się do niego jak w wielkim nieszczęściu brat do brata się tuli.

XI

Przerwali swoją wielką podróż i całym sercem zajęli się lotnikiem. Major—pilot Latysz mniej cierpiał fizycznie, więcej natomiast cierpiał z powodu utraty aeroplanu. Mocna dusza lotnika, straszliwie wstrząśnięta, nie mogła zapomnieć płonącego widma. Ile razy lotnik przypominał sobie tę chwilę — kiedy skutek pęknięcia tłoku nastąpił pożar smarów w karterze²², a potem widok buchającego ogniem stosu na łące — zamykał oczy: usta jego drżały, a na twarzy, bandażami owitej, zjawiał się nagły, bolesny skurcz. Coś w nim zaczynało płakać suchym szlochom bez łez. Ocalił się niepojętym sposobem, niemal cudownym. W żywocie lotnika zdarzają się przypadki najdziwaczniejsze; śmierć patrzy często z niepomiernym zdziwieniem, pojąć nie mogąc, w jaki sposób udało się ująć człowiekowi skazanemu na zgubę nieuchronnie. Jakaś ręka pomocna i dobrotliwa wrywa zranione ptaki ze śmiertelnych sideł. Jest ponad nimi jakaś łaska, wzruszona bohaterstwem. Jakiś orzeł niezmierny, którego okiem jest słońce, czuwa nad orlętami, co wzlatają z ziemskiego gniazda. Taka moc cudowna wyratowała Latysza i posłała tego dziwnego chłopca, co nie uląkł się ani nie wybuchnął płaczem przerażonego śmiercią chłopięctwa, lecz zemdlonego lotnika wyciągnął z aeroplanu.

Major—pilot Latysz nie zwracał uwagi na dotkliwy ból pochodzący z oparzeń. Chłopski syn, żołnierz wspaniały, lotnik jeden z najgłośniejszych, ciało miał żelazne. Śmierci się nie lękał. Śmierć ma swoje mieszkanie w ziemi, która nie ma tajemnic wobec chłopca; wie on, że śmierć przyjdzie, a kiedy — to już sprawa boska, a nie jego. Latysz nigdy nie myślał o tym, że każdej godziny goni ona za nim na świszczącym wicherze. Myślał tylko o tym, że ma spełnić zadanie i obowiązek i nie zdrzeć na widok największego niebezpieczeństwa. Sto razy najmniej szła na niego zguba, a on sto razy wymknął się jej na tej cudownej maszynie, pogrzebanej w tej chwili w popiołach. Rad jest, że uszedł i teraz zagładzie. Jest młody i silny, a jego życie skrzydlate, wśród chmur i wichrów zahartowane i pełne świetnych doświadczeń, cenne jest dla ojczyzny. Ciężko jest wychować lotnika, więc ile razy jeden z nich wysuwa się z szeregu, aby w nim już nigdy nie stanąć, wielka troska gryzie serca tych, co strzegą ziemi. Ten chłopak, wyratowawszy go, ocalił nie jego, Latysza, lecz żołnierza Rzeczypospolitej.

²² K a r t e r — dolna zewnętrzna obudowa silnika spalinowego, chroniąca części jego mechanizmu i będąca zarazem zbiornikiem na oliwę.

Kochany to i dzielny chłopak! Zajął się wszystkim, skrzyknął ludzi, sprowadził pomoc i z tym starszym, miłym panem nie opuścili go ani na chwilę. Odczuwszy sercem dziecka, co największy ból sprawia rannemu lotnikowi, pocieszał go dobrymi słowami, że maszyna, co spłonęła, przestarzałego była typu i że nowa, na której major niedługo poleci, będzie cudem cudów. A potem — chłopiec naiwny — zaczął z głęboką powagą tłumaczyć mu, że piękniejsza była śmierć tej ukochanej maszyny w ogniu, niż żeby miał po niej zostać stos pogiętego żelaziwa, żalosne rumowisko. Spłonęła jak bohater na stosie, a nie tak niesławnie jak stary grat, który się rozpadł. Lotnik uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu dni, słuchając tej gorącej pociechy.

Przewieziony do Warszawy, wracał do zdrowia we własnym mieszkaniu, w którym Ignas był codziennym gościem, a gdzie Raczek zjawiał się często. Lotnik przylgnął do chłopca całym sercem. Oczekiwał go niecierpliwie i potrafił gadać z nim bez końca, zdumiony jego wiadomościami i zachwycony jego ukochaniem lotnictwa. Rozmawiali po koleżeńsku, jak towarzysze, którzy byli razem w ognistym boju i jeden drugiemu ocalił życie. Latysz wiedział wkrótce o każdej godzinie z życia Ignasia, a o Raczku wiedział więcej niżli sam Raczek, wiecznie roztargniony. Zrozumiawszy, kim są ci dwaj nierozłączni, pokochał ich prosto i serdecznie.

Jak długo niedomagał, Ignas rządził nim i jego domem, a czasem czupurnie i nieustępliwie bronił do niego wejścia kolegom lotnika, którzy przyjmowali to z wesołą uległością. Ignas, wybawca lotnika, stał się figurą powszechnie znaną w kołach lotniczych i beniaminkiem tych skrzydlatych ludzi. Mówiono do niego “panie Ignacy”, co zostało przyjęte z uznaniem, z wielkim natomiast krzykiem i protestacją, kiedy jego serdeczny przyjaciel, pan major—pilot Latysz, próbował nazywać go ceremonialnie. Po długich utarczkach stanęło na tym, że dla majora będzie i pozostanie Ignasem.

Wobec tego major rzekł jednego razu:

— Ignasiu, bracie drogi! Jak widzisz, rękę mam jeszcze w powijakach, więc musisz za mnie napisać list.

— Rozkaz, panie majorze! — zaśmiał się Ignas. — Byle nie po francusku, bo jeszcze nie umiem.

— Po polsku, po polsku! — mówił lotnik. — To do mojej matki...

Począł dyktować mu list złożony z najprostszych słów i zdań krótkich. Opisywał swój wypadek i opowiadał o męstwie i o rozwadze Ignasia.

— Mnie tego nie wypada pisać... — szepnął Ignas.

— Pisz, bo cisnę w ciebie butem! — zagroził lotnik.

Pisał przeto posłusznie, z rumieńcem na twarzy i z wielkim szczęściem w sercu. Lotnik skończył list tysiącem pocałunków i podpisem, a Ignas zawahawszy się na jedną chwilę, pisał dalej.

— Co ty tam gryzmolisz, patałachu? Pokaż no tutaj!

...Ten Ignas całuje Pani ręce z wielką czcią i przysięga, że pana majora nie opuści, aż zupełnie wyzdrowieje, aby Pani była spokojna, a zresztą pan major jest zdrow, tylko udaje chorego, bo przed chwilą chciał we mnie cisnąć butem!

Lotnik czytał to z uśmiechem, a potem spojrział tylko na chłopca tak serdecznie, że serdeczniej patrzeć nie można.

— Chłopcze drogi — szepnął. — Bóg ci zapłać... Biedna moja starowinka ucieszy się... Dobrze to wymyśliłeś, bo gdybym jej dziesięć listów napisał, to jednakby się martwiła, ale tę awanturę z butem doskonale zrozumie. Skądś ty taki mądry, małpo zielona?

— Bo sprzedawałem gazety! — mówił Ignas głośno się śmiejąc.

Kiedy Ignas odchodził, lotnik zaczynał o nim myśleć. Stał mu się bliski ten chłopiec i wszystko dla niego uczyni. Wiedział z długich rozmów z Ignasem, że lotnictwo jest jego marzeniem największym i jedynym; chłopięca dusza jest tak ogarnięta płomieniem tego marzenia, jak jego aeroplan ogarnięty był pożarem. To już nie są nieoczekiwane pomysły dziecinnej wyobraźni, lecz jakby natchnienie, które narodziwszy się w gorącym sercu, już nigdy młodymi oczami w inną stronę nie spojrzy, lecz zawsze spoglądać będzie ku wysokościom nieba. I będzie kiedyś lotnikiem. Właśnie takim lotnikiem, jakich najbardziej potrzeba: nie z nakazu, lecz z miłości.

Major Latysz rozmyślał nad sposobem spełnienia marzeń chłopca. Kiedy ozdrowieje, zajmie się tą sprawą, teraz zaś każde spotkanie z Ignasem zmienia na godziny przygotowawcze. Wyjaśnia mu wielkość i szlachetność powołania. Cieszy się, że słucha tego i Raczek, zaciekawiony i przejęty.

— Jestem dumny, że jestem lotnikiem — mówił Latysz, kiedy go słuchali o mrocznej, przedwieczornej godzinie. — Uważam, że mnie odznaczono dając mi skrzydła do latania, i powołano mnie do tego, abym rozszerzał Ojczyznę.

— Nie rozumiem — rzekł Raczek. — Aby rozszerzyć Ojczyznę, trzeba rozszerzać jej granice i zabierać obce ziemie.

— A nam cudzego nie potrzeba — słusznie! Toteż lotnik, jeśli wyrazić się ściśle, podwyższa Ojczyznę. Ojczyznę, drogi panie Alojzy, jest dzisiaj nie tylko ziemia i nie tylko morze. Jest nią tak samo i błękitna ponad nami wysokość, ocean chmur, kolonie gwiazd, zorze wschodnie i zachodnie, powietrze wolne, czyste i niezmierzone. Nasze jest i to także, co jest ponad nami. Naszym jest dach nad naszą Ojczyzną. A my, lotnicy, jesteśmy strażą graniczną tych górnych sfer. I oto, Ignasiu, kiedy latamy z wielkim warkotem, wtedy ogłaszamy tymi głosami, że polskie niebo do Polski należy i że go będziemy bronić do ostatniego tchnienia, tak jak żołnierz będzie bronił ziemi, a marynarz morza. Tak, tak... Wiesz, chłopcze, kto to jest Hamlet?

— Nie wiem — odrzekł Ignasz.

— Coś kiedyś słyszałem — powiedział niepewnie Raczek. — Jest to bohater tragedii Szekspira. Otóż ten Hamlet powiedział dziwne zdanie: “Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś”. A lotnik może odmienić niektóre w nim słowa i powie o sobie całą prawdę: “Ktoś lata, by mógł orać ktoś!” Niech oracz uprawia spokojnie swoją ziemię, bo wysoko ponad nim krąży lotnik i wypatruje, i strzeże, aby mu nikt strasznym cieniem nie przesłonił słońca. Odprawia on wieczną wartę, widząc daleko.

— Pięknie powiedziane — rzekł Raczek z uznaniem.

Major machnął ręką lekceważąco.

— Co mi tam I Nie umiem gadać pięknie. Jeśli człowiek wierzy w każde słowo, które wymawia, to zawsze będzie “pięknie powiedziane”.

Raczek oznajmił dostojnym skinieniem głowy, że się godzi na takie ujęcie sprawy.

— Niech pan major mówi jeszcze! — prosił cicho Ignasz.

— Cóż ci jeszcze powiem, drogi chłopcze? Powiem ci to chyba, o czym rozmyślałem nie tu, skurczony na łóżku, lecz tam, wysoko. Kiedy człowiek jest sam, w wielkiej pustce bardzo daleko od ziemi, wtedy myśl od niej odrywa i zaczepia ją o niebo jak pajęczynę. Staje się tam dziwnym, pokornym mędrcom, który rozumie, że w każdym z nas mieszka tęsknota za słońcem, za kryształową czystością górnych sfer i za upojeniem górnego wichru. Wiecie co, kochani moi? Nie przez dumę to mówię... Jestem zwyczajnym, szarym żołnierzem, jednym z mnogich tysięcy. Nie moja rzecz filozofia! Jednak, kiedy się wznoszę ponad chmury, wtedy czuję, że jestem mimowolnym wykonawcą pracy jakiejś wielkiej, tajemniczej. Wiem, że mój aeroplan, mój ogromny ptak, zmusił ciężkie ludzkie spojrzenia, aby się skierowały ku wysokościach. Ten ptak z zuchwałą odwagą zaczepił szponami o ziemię i niestrudzonym wysiłkiem dźwiga ją w górę.

Dlaczego ogrom morza budzi w nas wielkie wzruszenie? Dlaczego patrzymy na nieogarnione niebo z drzeniem serca?

— O, tak, o, tak... — szepnął Raczek, władca gwiazd.

— Dlatego — odpowiadał na własne pytanie lotnik — że te bezmiary przypominają nam bezmiary inne: wieczność i nieskończoność. Zapomnieliśmy o nich w rozgwarze naszego uciążliwego życia, ale duch ludzki nie zapomina. I oto taki pyłek na niebie, jakim jest aeroplan, przypomina człowiekowi, że w jego duszy ukryte jest pragnienie oderwania się od małych, smętnych, ziemskich spraw i rozwinięcia skrzydeł w bezmiarach. Ten aeroplan zabiera w podróż podłoneczną nasze myśli, chodem gąsienic pełzające w prochu ziemi. Jego głos, gdzieś tam w chmurach, staje się żywą pieśnią o słońcu i hymnem na cześć tego wszystkiego, co czyste i jasne mieszka na wysokościach.

— Rozumiem, rozumiem — szepnął Ignasz gorąco.

— To dobrze, chłopcze. Widzisz więc, że lotnik to nie tylko człowiek na maszynie. Na nic zdałby się taki... Łatwo jest nauczyć się poruszania sterem i wykonać wszystko potrzebne, aby maszynę puścić w ruch albo ją zatrzymać. To jednak za mało! Prawdziwym lotnikiem, prawdziwym ptakiem bożym jest ten, który ma i duszę skrzydlatą. Ten, który rozumie, że jest najdalej, bo najwyżej wysuniętą strażą przednią, posłem Ojczyzny w przestworzu, żywym sztandarem jej potęgi i jej radosnej dumy. Taki nie ulęknie się, taki się nie zawaha. Taki zna godność swoją nadzwyczajną. A śmiem powiedzieć, że coraz więcej jest u nas takich właśnie lotników, coraz więcej! I dlatego cały świat patrzy ze zdumionym podziwem na tę polską ekipę, co dźwiga swoją Ojczyznę na szczyty chwały i nie na pokaz tylko walczy z wichrem twarzą w twarz, lecz się z nim śmiertelnie zмага, aby polską chorągiew zatknąć jak najwyżej, choćby na samym słońcu. Polscy lotnicy są wspaniałymi lotnikami! Mogą być policzeni pomiędzy najpierwszych na świecie... Mają naprawdę skrzydlate dusze!

Odetchnął głęboko i rzekł ciszej:

— Mówię nie o sobie, broń Panie Boże! Mówię o moich towarzyszach. Ja pragnąłbym z całej duszy być takim i uczyniłbym wszystko, aby im dorównać...

— Jakże to? — zapytał Ignasz nieśmiało. — Pan jest przecież jednym z najslawniejszych...

— Ach! — uśmiechnął się lotnik. — W twoich łaskawych oczach. Jestem uczciwym lotnikiem, może nawet dobrym lotnikiem, ale nie dokazałem niczego takiego, co by nas wszystkich okryło sławą. Chciałbym dokonać czegoś niezwykłego, wykreślić jakieś nowe drogi, pokonać

jakieś niezmiernie zapory... Ale to trudno, to strasznie trudno... Nie dla chwały własnej... Wiercie mi, moi drodzy... Dla nas wszystkich, dla nas wszystkich... Bo musicie wiedzieć, że w wielkim czynie lotnika bierze udział nie tylko on, lecz cały naród, i dlatego słusznie naród dzieli się potem jego sławą.

— Jak to być może? — zapytał Raczek. — Przecie tylko on leci, na przykład przez ocean, a wszyscy czekają jedynie na wiadomość. My śpimy, a lotnik walczy ze śmiercią.

— Myli się pan — odrzekł Latysz. — Głęboką tajemnicą każdego wielkiego czynu i każdego bohaterstwa jest to, że wielki czyn i wielkie bohaterstwo żywi się powszechną miłością i wiarą w szczęśliwe spełnienie. Zaraz to panu wyłożę jaśniej. Człowiek taki na przykład, jak Amundsen²³, dokonujący nieopisanych, nieludzkich trudów, aby dojść do bieguna, dlatego tam dojdzie, że czuje poza sobą ogromną miłość i wielkie napięcie serc całego narodu, w którego imieniu brnie przez mrok i przez śniegi. Kiedy kona ze znużenia, zdaje mu się, że słyszy wielki głos: “Nie upadaj! Jesteśmy z tobą! Modlimy się za ciebie! Kochamy cię, wielki synu naszej ziemi! Wytrwaj, och, wytrwaj!” I ten człowiek idzie dalej, jak gdyby mu przybyło sił: już ginął z głodu, a nakarmił się miłością. Wiercie mi, że tak jest. Tak samo za łodzią odkrywcy nowych światów wlecze się bruzdą morza tęsknota dalekiej jego ziemi, pełnej oczekiwania, a miłość dmie w żagle i dlatego też żeglarz dopłynie! Tak samo gęsty, stęchły mrok dżungli afrykańskiej rozświecila podróżnikowi jasna gwiazda jego Ojczyzny. Stanley²⁴, wielki podróżnik, zdawał sobie z tego sprawę i mówił o tym wyraźnie. Tak jest! Miłość i wiara są ciepłem na biegunie, wiatrem na oceanie i jasnością w mroku.

— Więc lotnik — pytał chłopiec — musi czuć tę miłość?

— Tak, moje dziecko. Lotnik jest też odkrywcą nowych światów, poszukiwaczem nowych dróg, które się staną kiedyś zwyczajną, codzienną drogą ludzkości uskrzydłonej. Dlatego i on pragnie całą duszą tego tylko, aby za nim leciała na skrzydłach miłość jego narodu. Nie usłyszysz oklasków ani okrzyków zdumienia i na nic mu to wszystko. Jemu trzeba miłości, choć odrobinę miłości. Kiedy ją odczuje, będzie po siedemkroć bohaterski i po siedemkroć będzie nieustraszony.

²³ Amundsen Roald (1872—1928) — wielki podróżnik norweski, pierwszy dotarł do bieguna południowego w r. 1911 przebywszy 3000 km na nartach; zginął w akcji ratunkowej włoskiego sterowca “Italia” w okolicach Spitsbergenu w r. 1928.

²⁴ Stanley Henry Morton (właściwie: James Rowland) — dziennikarz i podróżnik angielski po Afryce, zbadał dorzecza Konga i okolice Wielkich Jezior, odnalazł zaginionego podróżnika Liwingstona nad jeź. Tanganika; przygody swoje i odkrycia opisał w wielu książkach.

On spełni swoje bohaterstwo i śmierci zaśmieje się w oczy, ale musi wiedzieć o tym, że cała jego ziemia patrzy za nim, że mu błogosławi, że się z nim raduje i że w niego wierzy. Tego mu potrzeba najwięcej. Brak wiary jest dla niego gorszy od burzy. Skostniała, zimna obojętność gorsza jest od śmierci. O, gdybyście wiedzieli, jak nam wszystkim trzeba tej miłości, jak nam jej trzeba!...

— O Boże! — szepnął Ignasz. — Przecie ja z całej duszy... z całego serca...

— Wiem, chłopcze, wierni — zawołał szybko lotnik. — Ja nie do ciebie to mówię. Ale o innych, o innych... Bo może nie wszyscy wiedzą o tej tajemnicy. Są pewnie i tacy, co patrzą na aeroplany i nie zdają sobie sprawy, że tam w górze odbywa się sprawa piękna i głęboka, i uśmiechnąłby się niejeden, gdyby mu powiedziano, że lotnik ponad chmurami usłyszy najcichszy głos serca, co zostało na ziemi. Oby to jednak wszyscy pojęli i tak ukochali te polskie skrzydła, jak ty...

Objął Ignasia ramieniem i przytulił do siebie.

W chłopcu załopotało serce. Chciał powiedzieć i nie mógł, że nie tylko on z całej duszy miłuje skrzydlatych ludzi, lecz że jest posłem miłości wszystkim polskiej młodzieży, co przysięga wielką, uczciwą miłość i wierność skrzydłom. Wypowiedział to uściskiem, a lotnik zrozumiał.

— Niech ci Bóg zapłaci, drogi chłopcze — rzekł cicho.

Wtedy Raczek podniósł się i rzekł nieśmiało:

— A mnie czy pan nie uściska, majorze? Gadałem kiedyś rozmaite brednie, więcej z chęci podkreślenia mojego prawa do samodzielnego myślenia niż z przekonania. Ale dzisiaj!... Łuski spadły z moich oczów, że się tak wyrażę... Mógłbym, oczywiście, uzasadnić to szeroko i gruntownie, ale po co? Powiem panu krótko: kocham lotników i nie dam się prześcignąć temu brzdącowi. W ręce pańskie, panie majorze! Bez pucharu, tylko symbolicznie... Wznoszę miłość w pańskie ręce. Uściskaj mnie, lotny młodzieńcze!

— Ze straszliwą ochotą, dostojny starcze! — wykrzyknął ze śmiechem Latysz.

Raczek oświadczył tego dnia Lepajlle, że całkowicie zrezygnował z niedawnych swoich latających pomysłów i prosi go, aby i on o nich zapomniał.

— To zbędna prośba — odrzekł na to Lepajllo. — Czy pan myśli, że ja nie mam innych zmartwień nad pańską malignę? Zapomniałem o tym dawno.

— A jednak — uśmiechnął się Raczek — musi pan przyznać, że moja teoria uczyniła na panu piorunujące wrażenie! To już jest coś!

— Oczywiście. Kiedy oślica Balaama przemówiła ludzkim głosem, wrażenie też musiało być nadzwyczajne! Czy pan nic nowego nie wymyślił?

— Ja nie myślę na żądanie publiczności. Moje pomysły są, rzecz można, improwizacją.

— Tak, tak! Najwięksi psychiatrzy czasem pojąć nie mogą, co i skąd strzeli wariatowi do głowy? Ale żegnam pana, bo idę na pogrzeb.

— Wesolej zabawy — rzekł Raczek bezwiednie.

— Niestety, to nie pański pogrzeb, tylko jednego takiego, co miał rozum — zakrzyknął Lepajłło, trzaskając drzwiami.

Raczek zajął się pracą. Od pewnego czasu staranność, z jaką ją wykonywał, poczęła ulegać niejakim wahaniom. Dotąd czytał wszystkie artykuły z bystrą i pilną uwagą, tę tylko okazując słabostkę, że jeśli się zdarzył kiedykolwiek artykuł na temat astronomiczny, wyborny korektor i astronom odczytywał go najmniej dwa razy. Lęk go chytał, że gdyby w olbrzymiej liczbie nie zauważył pomyłki, stać by się mogło coś strasznego: ten i ów z czytelników, bardziej wrażliwy, mógłby oszaleć z trwogi przeczytawszy, że energii słonecznej starczy na dwanaście bilionów lat, kiedy naprawdę, wedle twierdzenia autora artykułu popsowanego przez nieuwagę drukarza, starczy jej na trzynaście bilionów. Teraz jednak Raczek — uczestnik lotu nad Warszawą, przyjaciel Latysza — odwrócił nieznacznie serce od astronomii i całą pilność poświęcił lotnictwu. W głębi duszy czuł dla siebie pogardę, nie mógł jednak nakazać sobie obojętności. Codziennie zamieszczano w gazecie jakąś wiadomość lotniczą i Raczek czytał ją uważnie, kilkakrotnie, starannie i bacznie; sprawdzał każdą literkę w nazwisku lotnika i wyszukiwał nazwy miast na trasie jakiegoś wielkiego lotu w “Słowniku geograficznym”, aby nazwy nie wydrukowano błędnie. Po niejakim czasie orientował się wybornie wśród asów europejskiego lotnictwa i znał doskonale nazwy aeroplanów. Śledził pilnie wielkie życie lotnictwa i wśród stosu korekt wyszukiwał przede wszystkim artykuły o nim, aby je odczytać z niezmęczoną jeszcze uwagą. Często, powróciwszy w nocy do domu, budził Ignasia i meldował krótko:

— Ten Francuz widziany był o dwudziestej trzeciej nad Grenlandią.

Major Latysz bardzo poważnie gadał z Raczkim jednego dnia. Zbliżał się czas, kiedy Ignasia trzeba było posłać do szkoły, gdyż rozpoczynała się jesień. Nikt nie dowie się nigdy, o czym oni gadali przez dwie godziny, kiedy jednak Raczek powrócił do domu, patrzył na chłopca rzewnie, a potem bez słowa jednego objął go i uścisnął.

Nazajutrz rzekł wzruszonym głosem:

— Pan major czeka na ciebie... Wdziej nowe ubranie... Adieu²⁵, mój chłopcze!

W chwilach wyjątkowych, bardzo wyjątkowych, chcąc ukryć wzruszenie w cudzoziemskim słowie Raczek wygłaszał owe krótkie i suche: Adieu! Na codzień używał zwrotów szeroko rozlanych i całkowicie swojskich. Toteż Ignasz spojrział na niego z zaniepokojoną ciekawością, któż jednak zdoła odczytać cokolwiek z twarzy mędrca, kiedy mędrzec nałoży na nią nieprzeniknioną maskę udanej obojętności?

Latysz, gotów do wyjścia, czekał na chłopca. Uściskawszy go, rzekł krótko:

— Chłopcze... Rozmawiałem z panem Raczkim... Kocha cię ten człowiek więcej, niżby cię mógł kochać rodzony ojciec. Pan Raczek zgodził się na wszystko... Było mu ciężko, ale się zgodził... Pójdiesz do lotnictwa!

— O Boże! — szepnął Ignasz.

Zbladł nagle, a w chwilę potem poczerwieniał. Wiadomość była zbyt wielka na jego chłopięce serce. Latysz uśmiechnął się czule.

— Nie wyobrażaj sobie, że od razu zostaniesz lotnikiem. O, nie! Na to jesteś za młody! Postanowiłem więc zrobić tak. Pójdiesz najpierw do szkoły mechaników lotniczych. Wprawdzie brak ci dwóch miesięcy do wymaganego wieku, ale te dwa miesiące wyprosimy. A potem, kiedyś...

— A potem?... — powtórzył chłopiec, niemal bez tchu.

— To dalsza sprawa. Jeśli dożyję, będę czuwał nad tobą i wszystko zrobimy, abyś został lotnikiem. Co daj, Panie Boże!... Teraz zbliżysz się do lotnictwa i poznasz jego serce: motor. Będziesz się kształcił przez trzy lata, będziesz pracował bardzo ciężko. Nie ma innego sposobu, abyś się znalazł w kręgu lotnictwa. Oczywiście, mógłbyś poczekać kilka lat, skończyć wykształcenie i dostać się do szkoły pilotów. Widzisz jednak, pan Raczek jest najcudowniejszym człowiekiem pod słońcem, ale jest człowiekiem starym a ciężko pracującym. Sobie od ust odejmie, a tobie odda, ale na to ty się pewnie nie zgodzisz. I co by stało się z tobą, gdyby pan Raczek umarł?

— Niech pan tego nawet nie mówi!

— Rozmawiajmy jak dwaj mężczyźni. Daj Boże, aby ten najlepszy człowiek żył sto lat, trzeba jednak pomyśleć o wszystkim. Przede wszystkim zaś trzeba ulżyć drogiemu naszemu biedaczynie. On by się zapracował na śmierć, byle się z tobą nie rozłączać. Płakał, kiedy mu o tym mówiłem... Spokojnie, chłopcze, spokojnie... A jednak oprócz łez nie miał innej odpowiedzi,

²⁵ A d i e u (fr.) — do widzenia.

kiedy mu powiedziałem... Zresztą, to obojętne... Pan Raczek zgodził się na to, abyś poszedł do tej szkoły.

— Gdzie to, proszę pana?

— W Bydgoszczy.

— To niedaleko — mówił chłopiec w zamyśleniu.

— Pewnie, że nie na końcu świata. Będziecie widywać się często, pan Raczek odwiedzi ciebie, ty odwiedzisz pana Raczka. Więc jakże, Ignasiu? Nie możesz być od razu lotnikiem, więc czy zgodzisz się na to, że będziesz jak gdyby półlotnikiem, najwierniejszym współpracownikiem lotnika, opiekunem aeroplanu? Będziesz należał do lotniczej rodziny, żyć będziesz jej życiem.

— Czy będę mógł kiedykolwiek polecieć?

— Nieraz, nieraz! — zaśmiał się Latysz. — To już jest, wewnętrzna sprawa lotniczego państwa. Lotnicy są to urwipółcie pierwszej klasy, którzy w swojej zbrodniczości i okrażaniu prawideł doszli do takiej doskonałości, że nie zostawiają śladów w powietrzu. Nasyp mu soli na ogon, złap go i sprawdzaj, kogo on tam wiezie na maszynie. Mechanika zresztą zabiera się często, że tak powiem, urzędowo, tylko nie takich młokosów, co się uczą. Najlepiej zrozumiesz, kiedy ci powiem, że taki pan mechanik to jest lotnik, co ma tylko jedno skrzydło. O drugie zawsze łatwiej, skoro się ma to jedno.

Ignasł słuchał bardzo uważnie i przyglądał się każdemu słowu. Rozumiał doskonale wszystkie argumenty lotnika, całą zaś rozmowę związał w dwie ostateczne konkluzje: trzeba ulżyć Raczkowi i trzeba znaleźć się na lotnisku. Resztę niech obmyśli przyszłość, która ma czas aż do nieskończoności. On wierzy, że będzie lotnikiem. Jak, kiedy — to późniejsza sprawa. Skoro się raz znajdzie w cieniu skrzydeł, kiedy raz wejdzie do skrzydlatej rodziny, połowa jego marzenia będzie spełniona. Drugą połowę wymodli sobie albo ją zdobędzie. Jego wesoły, roześmiany przyjaciel Wroński jest mechanikiem i wtajemniczy go w tajemnice lotniska. Niechże będzie! Trzeba najpierw nauczyć się chodzić, aby móc rozpędzić się do lotu. Jeśli Bóg sprawi, że będzie lotnikiem, będzie jak nikt znał serce swego aeroplanu.

— Panie majorze... Pójdę do szkoły!

Latysz skinął głową z uznaniem.

— Mądry z ciebie chłopak. Tak byłem pewny twojej zgody, że wszystko przygotowałem. Papiery w porządku, wszystko w porządku i, zdaje się, że twoje serce też jest w porządku. Teraz chodźmy...

Zaprowadził Ignasia do lotniczego dygnitarza, który go przyjął jak najżyczliwiej, znając jego historię. Chłopiec jak gdyby już był żołnierzem, stał wyprostowany, nie pytał o nic, odpowiadał krótko i roztropnie. Oficer patrzył na niego przez grube szkła okularów niemal z rozczuleniem, jak gdyby się serdecznie cieszył, że się rodzina latająca powiększy i że przy będzie jej jeszcze jedno serce gorące i śmiałe. Był to lotnik wielce wsławiony, a tak prosty w obejściu j, prostoduszny, że Ignasz patrzył w niego z zachwytem. Kiedy tamten przeglądał papiery, chłopiec myślał:

“Pan Latysz miał rację, kiedy mówił, że im nie sławy trzeba, lecz miłości. O, jakże ja ich kocham, jak bardzo ich kocham!”

Musiał mieć cały ogrom tej naiwnej miłości w blasku oczów, bo oficer spojrzawszy na niego uśmiechnął się dziwnie, potem podał mu rękę i uściśnął.

— Bądź zdrow, drogi chłopcze! — rzekł serdecznie. — Jeśli wielu będzie takich jak ty, możemy gwizdać na samego diabła.

— On mówił “pod figurą”, o tym gwizdaniu na diabła — rzekł Raczek, wysłuchawszy relacji Ignasia o wielkim zdarzeniu. — Sprytnie powiedziane, nie ma co, ale nas tym diabłem nie omami, co, Ignasiu?

Raczek gadał w ten sposób, ni w pięć, ni w dziewięć, aby w gąszczu słów ukryć Raczka zbiedzonego i bardzo smutnego, który nie chciał, aby chłopiec widział jego cichą zgryzotę. Głowę miał pan Raczek zapalną i dymiącą pożarem najdziwaczniejszych pomysłów, kiedy jednak tej lekkomyślnej głowie wytłumaczono, że trzeba Ignasiowi zapewnić przyszłość, zrozumiał to dobrze. Zrozumiał tym łatwiej, że chował głęboko smutne tajemnice. On jeden tylko wiedział o tym, że czasem, kiedy późną nocą bardzo był znużony, nachodziły go dziwne chwile: wszystko dokoła zaczynało z nim wirować, a przed jego oczami padał czarnoczerwony śnieg. Po takich przejściach wracał Raczek do domu, wlokąc się ociężale i z trudem; przystawał często i drżącą ręką ocierał gruby pot z czoła. Lepajłło przyglądał mu się coraz częściej i kręcił głową nic nie mówiąc, on zaś poczuwszy na sobie takie bystre i badawcze spojrzenie nadrabiał miną i wpadał w ferwor. Uderzał się ręką w chude, zapadłe piersi i wykrzykiwał niby tak sobie, od niechcenia:

— Nigdy nie czułem się lepiej! Jestem zdrow jak byk! Za żadne skarby tego świata nie przyznałby się przed Ignasiem, że mu cokolwiek dolega wiedząc, że go zatrwoży i napelni zmartwieniem. Każdego ranka, chociaż budził się bardziej znużony, niż był przed spoczynkiem,

wykrzykiwał potężnie i wesoło, potem uprawiał gimnastykę, zręcznie przysiadając na chudych, o, jakże chudych nogach!

— Jestem dzisiaj wesoły jak szczygieł — powiadał. — A silny jestem taki, że mógłbym łamać podkowy.

Wiedział jednak dobrze o tym, że mu ubywa sił i zdrowia. Wiele przeżytych nędz i wiele głodów minionych dni nagryzło go jak czerwie. Toteż kiedy był sam, zamyślał się smutno i na czole miał troskę. Co się stanie z chłopcem, kiedy jego zabraknie? Więc chociaż w nim serce płakało na myśl rozstania, zgodził się na wysłanie go do szkoły mechaników. Nie zdołałby doprowadzić go do jakiejś niezwykłej kariery, o jakiej dla niego marzył, a jeśli zostawi go w pół drogi, chłopak zmami się niewątpliwie. Czasy są twarde i ludzie są twardzi. Niechże będzie przeto doskonałym, zabezpieczonym pracownikiem, żołnierzem na służbie Ojczyzny, odważnym i prawym. Da sobie radę ten chłopaki Już nie zginie wszedłszy w gromadę ludzi dzielnych i szczerych jak złoto. Ten zacny Latysz będzie miał na niego oko, a wszyscy go będą kochali, bo trudno nie kochać tego cudownego chłopca. Z wielkim szlochom serca odda go teraz na służbę publiczną. Odda swoje najdroższe dziecko, a chociaż zostanie sam, biedaczyna śmiertelnie smutny, zostanie jednak z poczuciem dumy, że z tego chłopaczka, znalezionego na ulicy, uczynił pożytecznego człowieka i uczynił z niego żołnierza.

Zdawało mu się, że z szatańską chytryością udaje wesołość. Wymyślał dowcipne powiedzenia i naigrawał się z Ignasia, że będzie miał gębę poczerwioną smarami i że będzie mógł napić się czasem gorącej oliwy. Cha! cha! Trzymał się za chudy brzuch z wielkiego śmiechu i mówił do smutnego chłopaka:

— Chłopcze! Dożyłem wielkiej radości... Jakby mnie kto na sto koni wsadził! Co? Na jednym nigdy nie siedziałem, a teraz cwałuję na stu, tak się cieszę... Świetnie ci tam będzie w tej Bydgoszczy... Świetnie!... A kiedy pierwszy raz polecisz, wspomnij o naszym locie nad Warszawą. Dzielnie trzymaliśmy siei Pod Lepajłą drżały łydki, a my śmigaliśmy jak jaskółki... Panie Olecki! Jeśli zaraz tych łez nie obetrzesz, to jakem Raczek, wpadnę w złość... Czemu mi mącisz radość? I cóż z tego, że pojedziesz? Przecie nie na wieki pojedziesz, tylko na trzy lata. Wielkie mecyje, trzy lata! Słońce żyje biliony lat... A widzisz, że się uśmiechasz, małpiszonie drogi... Śmiej się, bracie! Hop! hop!

Wydał ten okrzyk przeraźliwie, ale jednak smutno, w fałszywej tonacji. Toteż bardzo był rad, że ktoś zastukał do drzwi. Przyniesiono list adresowany do Raczka. Odczytali go z przejęciem, nikt bowiem nigdy do nich nie pisał.

Pragnę panu oświadczyć, że jest pan ordynarnym szachrajem, który sobie stroi żarty z uczciwych ludzi. Zapowiadam panu, że jeśli kiedy pana spotkani, może pan zamówić nabożeństwo żalobne za swoją mizerną duszę. A tego "kuzynka", który się dostał w pańskie łajdackie ręce, może pan zatrzymać na wieki wieków bez odszkodowania. Niestety — bez szacunku — Hilary Olecki,

— Aj! — zawołał Raczek. — To ten dziedzic dybie na moje życie.

— Jak on śmiał tak napisać? — oburzył się Ignas.

— Daj spokój — uśmiechnął się Raczek. — On miał trochę racji. Spotkał go wielki zawód. Ja zaś otrzymałem prywatną deklarację, że zostałeś mi ofiarowany z duszą i ciałem. Mógłbym cię odesłać z karteczką uwiązaną do nogi: "Zwrócić nadawcy, przesyłka nieprzyjęta!", ale już chyba nie odesłę... Dobry dowcip, co? Śmieje się, kiedy ci powiedziałem, że zrobiłem dowcip!...

— Kiedy nie mogę — rzekł Ignas. — To cokolwiek zbyt smutne.

Raczek spojrzał na niego bacznie i, zrozumiałwszy, że jeśli zostaną sami, jakieś łzy popłyną, namówił chłopca, aby pójść z pożegnaniem do Koniewiczów, gdzie wiadomość o wyjeździe Ignasia przyjęto z okrzykami zdziwienia i żalu. Tadzia nie było w domu, ale miał powrócić za chwilę. Inka, korzystając z tego, wyprowadziła Ignasia do innego pokoju i niby ocierając łzy, których w żaden sposób nie mogła wywołać z kryjówki, powiedziała z żalną miną:

— Słyszałam, proszę pana, że lotnikom daje się na szczęście dziwną rzecz, bo pończochę. Panie Ignasiu... Niech się pan. nie śmieje... Ja pana strasznie lubię... Może nawet więcej niż strasznie... Niech pan to weźmie na szczęście... Moją pończoszkę...

Podawała mu pończoszkę z lewej nogi, a chłopiec, zapłoniwszy się, wziął ją machinalnie. Zapomniał o jej piekielnych knowaniach i o szatańskiej przewrotności; był wzruszony wszystkim, co się działo, więc się tym łatwiej wzruszył jej nieoczekiwanie dobrym słowem i nagle, sam nie zdając sobie z tego sprawy, co czyni, przycisnął pończochę do ust.

— Ktoś idzie — krzyknęła Inka. — Niech pan to schowa!

Było już jednak za późno. Tadzio, dowiedziawszy się od Raczka o wyjeździe przyjaciela, wpadł jak burza i stanął niepomiernie zdumiony.

— Ignaś! Czemu ty całujesz moją pończochę?

Inka uciekła z piskiem.

— To... twoja... pończocha?

— Moja, od sportowego ubrania. Ciśnijże to paskudztwo!

Ignaś zmiął ją z irytacją i cisnął o podłogę, Tadzio zaś przyglądał mu się ze zmrużonymi oczami.

— Ach, to tak? — wyrzekł wreszcie. — Daję ci słowo, że ją teraz tak spiorę jak jeszcze nigdy. Myślałem, że ci dała spokój, a ona wymyśliła nowy cyrk. Wampir!

Wampir nie pokazał się w chwili pożegnania, ukrywając się w jakimś ciemnym kącie, zapewne w zakamarku piekła. Ale przy ostatecznym pożegnaniu przyjaciel wierny dał niemy znak przyjacielowi wiernemu, że zrobi wampirowi kęs.

Ignasia mało jednak obchodziło wszystko, co się teraz działo koło niego. Zbliżała się chwila rozstania z Raczkiem.

Bóg widzi, że nikt nie zdołałby opisać wzruszenia owej chwili. W przeczystości ich pomieszanych łez płakała wielka, niezmierna miłość. Wymawiali jakieś bezładne słowa, ale nie rozumieli ich. Mogli przemawiać tylko spojrzzeniami, drzeniem ust i uściskiem. Dwa serca, jak gdyby na zawsze zrosnięte, nie mogły się od siebie oderwać. Trzeba było straszliwego szarpnięcia, co się dokonało wśród dotkliwego bólu.

Może dlatego Raczek jest taki śmiertelnie blady i rękę położył na piersi.

Och, jakże go boli, jak boli!... Na twarzy ma uśmiech, bo uśmiechem pragnie pożegnać najdroższego chłopca... Już go dawno nie ma, a siwy, cudowny biedaczyna wyciąga jeszcze raz rękę, aby go objąć.

— Chodźmy, chodźmy już... — mówi ktoś do niego serdecznie i ujmując go pod ramię.

Ach, to Lepajłło. Poczciwy Lepajłło... I major Latysz mówi coś miękko. Dobrzy ludzie... Ale uważają go za dziecko czy co u licha? Jego? Raczka?! Zaraz im pokaże, co to jest hart męskiego ducha!

Spojrzeni na niego z wielkim podziwem, bo Raczek najpierw zaśmiał się w głos, a potem zaczął beztrosko i figlarnie pogwizdywać.

Ale nie dokończył wielkiej melodii, bo nagle wielkie, ciężkie łzy zaczęły spływać po wesołej twarzy Alojzego Raczka.

XII

Dwa lata minęły od tej godziny rozstania. Przez te dwa lata listy latały jak białe gołębie oczekiwane z utęsknieniem, witane z głośną radością, odczytywane po sto razy. Każdy list Ignasia był czytany przez cztery osoby, czytał je bowiem Raczek, Lepajłło i Latysz, a potem znowu Raczek. Główne ich ustępy, opowiadające o życiu szkolnym, były poza tym roznoszone skwapliwie i komunikowane przysięgłym przyjaciołom: Koniewiczowi, Michałkowi, Wrońskiemu i Szczęsnemu. Zdarzało się, że i całkowicie obca osoba, spotkana przez Raczka przypadkiem, uchwycona za guzik, musiała wysłuchać, co się dzieje z Ignasiem.

Widzieli się trzy razy bardzo krótko i ulżyli swej wielkiej tęsknocie. Ignas rósł jak młode drzewo, męźniał i nabierał sił. Pracował ciężko, lecz umiłował sobie pracę patentowanym i niezawodnym sposobem mechanika Wrońskiego, wprawdzie nie rzał rozgłośnie jak rumak na widok zielonej łąki, ale miał w oczach młodą, przejasną radość. Raczek dobrze mówił, prorokując, że tego chłopca będą wszyscy kochali. Łatwo było prorokować znając Ignasia, ale nawet Raczek w największym natchnieniu nie przewidywał, że chłopiec stanie się ulubieńcom całej szkoły. Poza tym żył w przyjaźni ze wszystkimi lotnikami; rozbudził ją major Latysz, który listami zapowiedział jego przybycie i polecił go gorąco dobrym i czułym lotniczym sercem. Przyglądali mu się długo, chcąc naocznie sprawdzić, czy w tym zawadiackim, radosnym chłopaku tkwi naprawdę namiętność do lotnictwa. Uznano zgodnie, że Ignas nie posiada własnych, wspaniałych skrzydeł jedynie przez skąpstwo przyrody, które należy naprawić, chłopcu bowiem dzieje się wyraźna krzywda. Toteż ten i ów instruktor, ukończywszy ćwiczenia, zabierał ucznia szkoły mechaników na aeroplan. Jeśli ktoś bronił się, nie czynił tego zbyt długo; nie można było odmówić prośbom tego szlachetnego chłopca, jakby nie można odmówić prośbom ptaka o wypuszczenie go na wolność. Szczególnie porucznik pilot Sołecki, sam "dusza skrzydlata" i najśmielszy podniebny harcerz, umiłował Ignasia. Porucznik był sam na świecie i też przez nędzę wykarmiony w swoich chłopięcych latach, toteż z tajonym rozrzewnieniem patrzył na drugiego takiego, jakim był on sam. Każdą wolną chwilę spędzał z Ignasiem. Starszy zaledwie od niego o lat siedem, traktował go po koleżeńsku i wszystkie swoje zwierzenia chował w dobrym sercu tego chłopca, słuchającego z niezwykłą powagą serdecznej opowieści Sołeckiego o jednej ślicznej panience, która uśmiechała się do niego przez pół roku i sześć dni.

— Cudownie wtedy latałem, Ignasiu! — mówił smętnie. — Miałem w sercu radość, a na duszy było mi lekko. Ale cóż... Dowiedziałem się, że do mnie się uśmiechała, a zakochała się w jednym weterynarzu.

— Jak mogła tak postąpić! — krzyknął Ignas z oburzeniem. — A jednak zrobiła. Lotnik jej się nie podobał... Uważasz? Lotnik! Wolą weterynarza...

— Kobiety są wszystkie takie — rzekł Ignas ponuro. — Wiem coś o tym...

Pragnąc temu rodowi kobiecemu okazać jawnie, że są poza nim piękniejsze rzeczy na świecie, zajęli się z namiętnością aeroplanami. Rozkochany w nich porucznik uczył Ignasia niez mordowanie. Kiedy byli przy maszynie, zapominali o całym bożym świecie. Mogło nic nie istnieć na nim prócz powietrza i kawałka lotniska. Ze stworzeń żywych mógł pozostać na nim tylko ptak, kuzyn aeroplanu, natomiast plemię końskie, na ten przykład, mogło z powodzeniem z niego zniknąć, bo wtedy i weterynarz skapiałby z głodu. Panem świata powinien być lotnik i to nie podlegało żadnej dyskusji. Tylko niektóre panny jeszcze tego nie pojęły i sądzą nierozumnie, że poza lotnikami istnieją jeszcze na ziemi istoty ludzkie, godne jakiegokolwiek uwagi.

Porucznik był głównym nauczycielem Ignasia. Jak mistrz doświadczony, który wyborczego znalazłszy ucznia, pragnie go we wszystkie swoje wtajemniczyć mądrości, młody lotnik nauczał Ignasia cierpliwie i rozsądnie. Ptak z mocnymi skrzydłami nauczał pisklę. Opowiadał mu o tajemnicach powietrza, o jego gniewach, porywach i o śmiertelnych jego ciszach; o wirach, wielkich prądach niewidzialnych rzek i o przepaściach, co się otwierają nagle, bezdenne; o tajemnicach przedziwnego kraju chmur, co się rozmaicie barwią; o straszliwych zwyczajach burz i nawałnic, o sposobach ucieczki przed ich nagłym napadem i przed złośliwością wichru. On to wszystko przeżył i wszystko przeżył jak żeglarz, co wszystkie przepłynął morza i zna ich zdrady. Często widział z bliska okropne, pożądliwe oczy śmierci, wpatrzone wprost w jego oczy. Często wichr zarzucał na niego śmiertelną pętlę i szarpał nim jak dziki pastuch na preiach szarpie szlachetnego mustanga, aby go powalić i zdławić. Tyle razy widział z bliska śmierć i grozę, że stał się nieprawdopodobnie czujny. Nie tylko patrzył oczami jastrzębia: całym sobą, każdym włókienkiem serca, każdym nerwem, i widział, i słyszał. Stał się najczulszym instrumentem, który drgał przy najmniejszym drgnienu maszyny. Na pozór był istotą z żelaza, bez nerwów, lodowato spokojną, co nieomylnym ruchem porusza stery i bada wskaźniki, lecz w tej żelaznej istocie wszystko czuwa i wszystko jest w napiętym oczekiwaniu. Toteż kiedy wylądował szczęśliwie, wszystko to w nim się uspokaja, po dokonaniu pracy ogromnej i wspaniałej. Schowany w czujnym

sercu, uśmiech powraca na młodą twarz. Zmarszczone czoło wyrównuje się. Gaśnie blask rozgorzałych oczów, aby mogły odpocząć. Dusza, napięta jak łuk, rozpręża się z westchnieniem. Drapieżny ptak staje się łagodnym, cichym człowiekiem. A zaledwie dotknął stopami ziemi, już mu czegoś brak i już czegoś żal. Brak mu tego upojenia, które mieszka na wysokościach. Tam tylko jest naprawdę szczęśliwy i naprawdę wolny.

Każde słowo lotnika wbijało się w serce chłopięce jak drżąca, pierzasta strzała i tkwiło w nim. Już znał doskonale każdą tajemnicę aeroplanu, teraz poznawał tajemnice skrzydlatych ludzi. Utwierdził się jedynie w tym, że nie ma dość wielkiej, dość gorącej miłości, jakiej oni godni są za swoją pracę bohaterską. Niczym jest podziw, niczym jest najgłośniejsze uznanie. Jedynie miłość może być godziwą, złotą zapłatą za to, co oni czynią dla nas, dla nas wszystkich.

Kiedy po raz pierwszy wyleciał na takiej maszynie, co wygląda jak jastrząb wobec żurawia maszyny pasażerskiej, na której latał z Raczkim, poczuł zawrót w głowie. Był szczęśliwy, a nie mógł zwalczyć dziwnego uczucia, że ten aeroplan jest gotowy na wszystko, bo się w nim czają popędliwe jakieś moce, że jakieś siły, z trudem przez lotnika trzymane na uwięzi jak psy na łańcuchach, zerwać się chcą do szalonego pędu czy też do szalonej walki. Motor gada inaczej, wiatr pod skrzydłami szumi inaczej. To dziki ptak, upatrujący zdobyczy. Niewypowiedzianie zwinny i obrotny, lekki i śmigły, warczy z nieukojojonej jakiejś żądzą. Pławi się w słońcu i połyskuje srebrzyście, gdyby jednak ujrzał w oddali miedziane, błyskawicami poorane czoła burzy, nie uląkłby się i szukałby z nią walki. Ale lotnik położył na nim rękę jak jeździec, co dotyka szyi konia i uspokaja go. To przecież tylko ćwiczebny lot! Po co te gniewne głosy, po co te drgania niecierpliwie? Spokojnie... Spokojnie... Trzeba, żeby ten skrzydlaty chłopiec widział wszystko dokładnie i uczył się lotu. Polsce potrzeba lotników, ptaków nieustraszonych, przeto pan porucznik, chociaż znużony bardzo całodzienną służbą, naucza tego chłopca z własnej pilności i z wielkiej miłości. Nikt go za to nie pociągnie do odpowiedzialności, choć wszyscy o tym wiedzą, bo Igaś jest w ogromnych łaskach u wszystkich. Każdy by go chciał uczyć i każdy chętnie zabrałby go z sobą. Jakiegoś niemrawca i patałacha wsadziliby raczej w ziemię, aby w nią wrósł korzeniami, ale w tym chłopcu tkwi cudowny materiał na lotnika. Warto pójść nawet do paki za takiego ananasa!

Młody mechanik, pilnie wykonujący swoją robotę, jeszcze pilniej oddawał się nie swojej. Dokładne sprawozdania z owych wypraw, nabijane błyskotliwymi gwoździemi nazw i specjalnych terminów, aby tym bardziej były zajmujące, otrzymywał w listach Tadzio Koniewicz i z

płomienistą żarliwością powtarzał je w dawnej szkole Ignasia, gdzie wskutek tego niepomiarnie rosła jego sława. Koledzy jego dumni byli, że mieli przed dwoma laty wśród siebie takiego, co dzisiaj podniebne czyni wyprawy. W niejednej głowie, bardzo niestarannie uczesanej i w ten sposób okazującej wielką wichrowatość jej wnętrza, poczęły rodzić się tęsknoty za owym lataniem. Tadzio przechowywał listy przyjaciela starannie, toteż zmartwienie jego nie miało granic, kiedy nagle zginęły bez śladu, jak gdyby uleciały z wiatrem, którego były pełne. Ukryte były przemyślnie w szafce zegara, któremu znudziło się widocznie chodzenie tam i z powrotem, przeto zamilkł i niczyjej nie zwracał uwagi. Zbrodniarz jednak wypatrzył ciemną kryjówkę i wybrał z niej listy jak pisklęta z gniazda. Tadzio wysłał na zwiady przenikliwe podejrzenie jak gończe ogary, wreszcie doszedł do niezłomnego przekonania, że listy stały się łupem przeraźliwego szatana, wampira i srogiej czarownicy — Inki. Najstraszliwsza awantura, złożona w równej mierze z krzyków i pisków, gwałtownych pytań i pogardliwych odpowiedzi, nie zdołała jednak wydobyć prawdy z tej piekielnej duszy. Może byłąby się przyznała, wzięta na tortury, ale w tym względzie nie dało się nic zrobić. Tadzio przyczał się przeto i ucichnął, ale czuwał i patrzył. Najbardziej przemyślny złoczyńca wreszcie kiedyś zaniedba ostrożności i zdradzi się. Na wszelki wypadek każdy nowy list przyjaciela ukrywał w niedostępnych zakamarkach. List ostatni był szczególnie zajmujący, Ignaś “bowiem wykladał w nim z należytych znanstwem istotę i warunki międzynarodowych zawodów samolotów turystycznych, zwanych challengem, o puchar przechodni Aeroklubu Francji, które miały się rozegrać za dwa tygodnie. Było to najważniejsze zagadnienie owych dni. Młode głowy rozważały namiętnie polskie możliwości w olbrzymim tym turnieju, a najczęściej powtarzonym słowem w rozmowach było dziwne słówko, złożone z trzech liter i jednej cyfry — RWD6. Największy nawet bęcwał w klasie albo wybitny specjalista z dziedziny nie mającej nic wspólnego z budową maszyn wiedział jednak, że te trzy litery i ta cyfra oznaczają wspaniały splot niezmordowanego wysiłku, nieustępliwej pracy, promienistej ambicji i geniuszu trzech ludzi, co postanowili zbudować polski samolot, cudowny, wspaniały polski samolot. “R” mogło oznaczać w tym okrzyku liter Radość, roześmianą, rozpętaną, rozszumianą Radość, że Polska będzie miała swojego ptaka, co się we własnym wylągł gnieździe. “W” mogło oznaczać Wytrwałość, wytrawną, wyborną, wściekłą Wytrwałość, aby nie ustać w pracy, nie zawahać się, nie załamać i nie ustąpić. “D” niech oznacza Dumę, dzielną, dorodną, doskonałą Dumę, co śpiewa szumem skrzydeł wzniosły hymn na cześć narodu, co nie zostanie nigdy w tyle, lecz na własnych skrzydłach wzleciawszy, znajdzie się zawsze w pierwszym szeregu z wołaniem

Wypiańskiego: “Lecieć i nie dać się mijać!” A cyfra 6 świadczy niemylnie, że nie “do trzech razy sztuka”, starym, niedołącznym zwyczajem, bo oto młode życie, co pragnie skrzydeł, będzie je budowało sześciokrotnie, coraz lepsze i śmielsze, a jeżeli będzie trzeba, to ta drobna cyferka zwielokrotni się i urośnie. To, co było wczoraj dobre, naznaczone cyfrą 5, będzie jutro lepsze. To będzie 6! Potężny związek RWD nie ustępuje w pracy, nie pragnie spoczynku, lecz splótłszy myśli jak trzy błyskawice będzie budował i budował bez końca. Wystarczy cyfr, aby nimi znaczyć nowe ptaki, coraz świetniejsze! To geniusz narodu upojony wolnym na świat spojrzeniem zebrał się w sobie, skupił, związał swoje tajemne moce i oto nagle wytrysnął — jak pocisk — pod niebo! Srebrny ptak lata ponad chmurami. Patrzcie, patrzcie! To nie “paw narodów i papuga”, lecz orzeł, radosny, wytrwały i dumny! To chwała skrzydlata, skrzydlata siła i potęga! Młodość radosna, co się wzbija pod niebo, to “Oda do młodości” wyśpiewana na niebie warkotem motoru i szumem skrzydeł. Wzleciała i już nigdy lotu nie zniży, bo już wie o swojej sile, bo już pojęła swoją moc, co dotąd była senna. Chwała skrzydłom! Chwała młodości! Radujmy się, żeśmy wzlecieli ponad kurhany i groby, ponad smęt i żal, ponad płaską zgryzotę i rozjęconą troskę! A niosą nas polskie skrzydła... RWD — Radość, Wytrwałość, Duma!

Chłopcy czytali zachłannie listy Ignasia, w których te litery powtarzały się jak magiczne zaklęcia. Czytał je Raczek i mądrze rozważał, a potem objaśniał Lepajlle, mówiąc roztropnie:

— Pan chodzi ciągle za karawanem i dlatego nie może pan patrzeć w niebo. Niech pan przeto posłucha, co się dzieje na tym polskim niebie. Otóż Ignas pisze...

— Wybornie! — mówił Lepajllo. — Ignas to mądry chłopiec. I niech pan sam powie, jakie dziwne awantury dzieją się w przyrodzie. Pan wychował mądrego chłopca! Tyczka chmielowa zakwitła, a piec nauczył Sokratesa mądrości. Dziwne! dziwne!

— Żadna moc nie zmieni jednak niedźwiedzia w wytwornego markiza — mówił Raczek. — Ale słuchaj pan dalej... Niedługo odbędzie się challenge. Jest to obce słowo, którego pan, oczywiście, nie rozumie, ale ja tu jestem od tego.

Tłumaczył mu pięknie i z polotem. Tak zaś był przejęty sprawami lotnictwa, że im bliższy był ten wielki dzień, Raczek tracił spokój ducha, zachwiany w dniu “lotu nad Warszawą”. Zasypywał pytaniami Ignasia, największą powagą w lotnictwie, zachodził coraz częściej do Latysza i wyciskał z niego wszelkie wiadomości, zmuszając go do prorokowania. W redakcji zamęczał wszystkim omawianiem szans polskiej ekipy. Challenge odbywał się w zacnej głowie Raczka i doprowadził go dnia jednego do szaleństwa. Natknął się na cierpliwego słuchacza,

przypadkowego gościa w redakcji, któremu wyłożył dokładnie, czego się spodziewa po polskich zawodnikach.

Gość nastrojony był sceptycznie i rzekł od niechcienia:

— Daj Boże, aby się udało, ale ja w to nie wierzę.

— W co pan nie wierzy? — zapytał Raczek wstrzymując oddech.

— W zwycięstwo. Nasze lotnictwo jest zbyt młode, a niemieckie zbyt groźne i potężne.

Raczek pobladł jak Furia, w której zapaliła się wściekłość.

— Nie wierzy pan? — krzyknął z mocą. — A czy pan wie, że pan popełnia zbrodnię?

— Jaką zbrodnię? — zdumiał się gość.

— Pańskie zwątpienie jest zbrodnią, i to marną, nikczemną zbrodnią. Panu nie wolno wątpić/ ani nikomu tego nie wolno. Więc lotnik polecą, może polecą na śmierć, i ani na chwilę nie zwątpi o zwycięstwie, a byle fujara, co się wlecząc niepotrzebnie po ziemi, ośmiela się wątpić za niego? O, nie, mój panie! Jeśli nikt nie zwątpi i wszyscy uwierzą, to ta wiara uzbroi lotnika. Rozumie pan? “Młode lotnictwo” — powiada pan? Sam pan jest odwieczny grzyb, więc pan nie rozumie, że dla młodości nie ma nic niepodobnego i w tej młodości’ cała jest nadzieja. Nie podoba się panu, bo to swoje! Bo to taka nikczemna moda, aby nie wierzyć swojemu, a cmokać z podziwem nad cudzym.

— Panie! — krzyknął gość. — Ja nie pozwolę...

— Na co pan nie pozwoli? Proszę, bardzo proszę! To ja nie pozwolę, aby ktoś śmiał nawet wątpić! Lotnik polecą za pana, za mnie, za nas wszystkich, a ktoś śmie kręcić czerwonym nosem — to pan ma czerwony nos! — i zamiast dodać mu otuchy... W ogóle: wynoś się pan, bo nie ręczę za siebie!

Zrobiła się straszna awantura i trzeba było wielu wysiłków, aby spętać lwa, co się nagle obudził w jagnięcym sercu Raczka.

— Co się panu stało? — mówił mu po godzinie Lepajłło. — Wyglądał pan tak, jak gdyby pan chciał bić naszego gościa.

— Och, panie Michale — odrzekł Raczek, już łagodnie. — Ja żałuję, że go nie zabił. Zatłukłbym jeneralnego przedstawiciela wątpicieli, niedowiarków, śledzienników i malkontentów. Żeby ktoś z siebie bebechy wypruwał, takiemu jeszcze będzie tego za mało. On nie wierzy, żeby się co udało, a kiedy się uda, no to “szczęśliwy przypadek”. Zamiast na kolana paść, Pana Boga

błagać, aby się udało, ten i ów, znawca od stu choler i od ciężkiej zarazy, ma czarne myśli i czarną wątrobę. Całe szczęście, że niewiele jest takich...

— A pan wierzy, panie Alojzy?

— Ja? — zdumiał się Raczek. — Ja dam głowę za zwycięstwo! Wierzę, wierzę, wierzę! Mnie Latysz nauczył, że wiara całego narodu to już niemal zwycięstwo, bo lotnikowi więcej tej wiary potrzeba niż wiatru. Czy nie mądrze powiedział?

Lepajłło patrzył z podziwem i z szacunkiem na ten siwy łeb płonący ogniem i na poczciwe oczy pełne blasku.

“Młodość sprawiła, że starość zakwitła — pomyślał czule. — Wielkie cudy czyni miłość...”

I objął Raczka serdecznie, mówiąc:

— Daj panu, Boże, wielką radość!

W niewiele dni potem huczące wystrzeliło działo. Potężny huk nowiny rozniósł się po całej polskiej ziemi, która zadrzała. Wieść, lecąca przez powietrze, wołała: “Zwycięstwo! Zwycięstwo!” Radość pukała do serc ludzkich jak do czerwonych okienek, śmiejąc się w głos: “Zwycięstwo! Zwycięstwo!” Drzewa szumiały rozgłośnie, morze zweźniło się i wśród wielkiego śpiewu rzuciło się w objęcia piaszczystego brzegu. Ptaki ogłaszały wielką nowinę, a ludzie mówili głośno, bezładnie, wołając ku sobie z daleka. Uśmiechał się człowiek do nieznanego człowieka, a kiedy spotkał swego wroga, podawał mu dłoń, bo w nim serce zawzięte zelżało. Chwila wielkiego szczęścia napełniła duszę słodką dobrocią. Radość czyni człowieka dobrym. A przecie w tej godzinie radość ta była niezmierna i trysnęła z szarej, spracowanej ziemi aż pod same niebo, na niebie zaś trzepotała z dumną, wspaniałą godnością polska flaga. Świat cały patrzył na nią z podziwem i oddawał jej cześć. Salutował ją ciężki, żelazny, nieustępliwy wróg. Naród cały poczuł szczęście radosnej, godziwej dumy; oto już ma skrzydła, i to skrzydła potężne, że w śmiertelnym, wspaniałym, niezmiernym locie zwyciężyły cały świat! Duch narodu natężył się, skupił w sobie nieustępliwą wolę zwycięstwa, zebrał młodzieńcze moce i dokonał cudownego czynu. Zaufał uśmiechniętemu porucznikowi Żwirce, zaufał zamyślonemu Wigurze, nakarmił ich wiarą, napił ich miłością i oto ci dwaj wspięli się na szczyt bohaterstwa. Pokazali całemu światu, że nie ma dla Polaka rzeczy niepodobnej, jeśli jej chce dokonać zestrzelona w jedno ognisko wola całego narodu. Każde usta powtarzały po sto razy te dwa nazwiska z niezmierną miłością, bo ci dwaj — niech będą błogo sławieni! — nie tylko, że dokonali wspaniałego czynu, lecz uczynili więcej:

kazali nam wszystkim podnieść czoła i spojrzeć śmiało w oczy Goliatom całego świata, co zbrojnie stąpając chrzęścili swoją pychą. A oni zakrzyknęli Polakom z wysokości: “Bądźmy dumni! Wołajmy głośno o sobie! Nie ściszejmy głosu, lecz śpiewajmy radośnie. »Lećmy i nigdy nie zniżajmy lotu«...

Usłyszał ten głos żołnierz w koszarach i oracz na zagonie, i poeta w swojej izdebce, i szewc w wilgotnej suterenie, i chłopiec w szkole; zgrzybiały usłyszał starzec i dziecko usłyszało, co ledwie odrosło od ziemi; filozof wspaniały i biedniutki prostaczek. I wszyscy zrozumieli, że w wielkim wyścigu narodów do mety, którą jest wzniosłość doskonała i miłość powszechna, w pierwszym lecimy szeregu na skrzydłach ducha, co się ani burzy nie przerazi, ani śmierci. Każdy rozumiał, gdyż prosta to była mowa, złożona ze słów bohaterskich i żelaznych. Szary porucznik i cichy inżynier trafili najprostszą drogą do ludzkich serc i dlatego te serca tak ich ukochały.

Radość jak słońce załała polską ziemię. Wzruszone dusze śpiewały, gdyż troski zmalowały nagle, przycichły wszystkie zgryzoty. Ci dwaj — niech będą błogosławieni! — oderwali myśl ludzką od ziemi i dźwignęli jej ciężar ku wysokości wyrzeczenia się, poświęceń i ofiary dla wspólnego szczęścia, które się może kiedyś po trudach i znojach narodzi z cierpienia. Trzeba im za chwilę wielkiej radości odplacić się wielką miłością. Niech wiedzą, że ich miłujemy gorąco, gorąco... I że tak miłować będziemy każdego, co wzruszył polskie serce i otuchą je napełnił jak zdrowiem.

Miliony ludzi wyciągało ku nim ręce, lecz był wśród nich jeden, którego nikt nie prześcignął w miłości tej wzruszającej. To Raczek. Szary biedaczyna, człowiek ubożuchny, prostoduszny służka boży, wieczysta, bezbronna ofiara nędz i głodów, poczuł się nagle wywyższony, napełniony wichrem dumy i wielką łaską szczęścia. Jest tym szczęśliwszy, że nigdy nie zwątpił. Ho! Ho! On zawsze wierzył, on zawsze ufał... Nie ma wprawdzie zbyt wielkiej wprawy w prorokowaniu, ale kiedy dawał swoją głowę w zastaw, nie czynił tego lekkomyślnie. Udał mu się ten cudowny Zwirkol A Wigura!... Co to za głowa! Och, z jaką rozkoszą uściskałby ich, z jaką rozkoszą! Pewnie rozplakałby się ze wzruszenia, ale to nic... Łzy szczęśliwe nie hańbią nawet filozofów; że jednak nie dociśnie się do nich, więc sobie popłacze z wielkiej radości w swojej izdebce i nagle, głosem wzruszonym, lecz potężnym zakrzyknie: “Chwała bohaterom!” Gdyby był Ignas, krzyknęliby razem, ale Ignasia nie ma. Pewnie też szaleje z radości... Majora Latysza zastać nie można w domu, bo lotnicy wyraźnie powariowali i nie mogą usiedzieć na miejscu. On przecie sam też nie może usiedzieć. Krąży po ulicach i spogląda w wesołe ludzkie

twarze, i mruży oko, jakby chciał powiedzieć: “A co, mości panowie, nie mówiłem?” Staje przed oknami sklepów i godzinami przygląda się fotografiom dwóch tych cudownych ludzi. Jaka chłopięcą, wesołą i rozigraną twarz ma Żwirko!... Taki bohater, ale Raczek, stary wróbel, pozna po uśmiechu, że to musi być chłopisko jak szczerze złoto: poczciwe i zacne, a kawalarz pierwszorzędny! Teraz mu już nie wypada, ale gdyby tak mógł, toby coś wesołego zbroił od razu. Przecież pan porucznik Żwirko wyraźnie się do niego uśmiecha... Przysiąc można, że się uśmiecha, jak gdyby chciał powiedzieć: “A co, panie Raczek? Ciężko było, ale nie daliśmy siei A panu niech Bóg zapłaci, że pan o nas nie zwątpił”. Więc Raczek się uśmiecha i mówi niesłyszalnym szeptem: “O, synku drogi! Czym ja ci się odwdzięczę? Weź serce moje... Stary to grat, ale uczciwy... Niech ci, Bóg...”

I nie może mówić pan Raczek więcej, bo go coś w gardle ścisną; przeto się skłonił Żwirce, ze czcią spojrzawszy na Wigurę i poniosł dalej swoją radość, aż do łez wzruszoną. Pisał tej nocy długi list do Ignasia. Więcej w tym liście było wykrzykników niż słów rozsądnych i statecznych, lecz cały pan Raczek był w owej chwili jednym wykrzyknikiem. Ignas odkrzyknął mu zachwyconą epistołą i tak do siebie gadali przez dni kilka jak dwaj pomyłenci, z których stary stanął na szczycie jednej góry, młody na szczycie drugiej i wołają ku sobie przez przepaście.

Z nowym listem w kieszeni szedł Ignas przez lotnisko poza szkołą, bowiem nie znał innego, godnego uwagi terenu; spędzano go stamtąd jak baka, co ustawicznie krąży i odpędzić się nie da. Jakiś ruch niezwykły panował tam w tej chwili.

— Co się stało? — zapytał Ignas znajomego sierżanta.

— Starszego mechanika zabrali do ambulansu — odrzekł tamten.

— Wójcika? Już wczoraj narzekał, że się źle czuje. A ten “potez” dokąd?

— Do Warszawy, a potem dalej. Nagle wezwany. Major Boniecki lecieć miał z Wójcikiem.

Nie wie teraz, co robić, bo nie ma nikogo pod ręką, a ma zabrać mechanika.

Ignas już był przy majorze.

— Panie majorze, melduję posłusznie...

— Czego Olecki chce? I co tu w ogóle Olecki ma do roboty?

Major, jak wszyscy, miał słabość do Ignasia, ale podniecony był i niezadowolony. Ignas jednakże nie ruszał się, jak gdyby wrósł w ziemię. Stał wyprostowany, tylko oczami wodził za majorem, aby się spotkać z jego wzrokiem. Stary lotnik spojrzawszy na niego badawczo i uśmiechnął się.

— Rozumiem cię, dryblasie... Ale nic z tego nie będzie.

— Gdyby pan major chciał... — bąknął Ignas nieśmiało.

— Pal cię lichu! Zaczekaj tutaj...

Boniecki poszedł szybko do kancelarii i długo nie wracał.

Kiedy się pokazał na lotnisku, wołał już z daleka:

— Polecisz, małpiszonie! Zbieraj się... Prędko!...

Po upływie kwadransa Ignas leciał do Warszawy. Jesienny czas był burzliwy i wiał silny wiatr: zrywał się nagle, rzucał się zajadle i ucichał, aby znowu po chwili narodzić się, zahuczeć i szczeznąć. Maszyna orała powietrze z ciężką pracowitością, lecz pewnie i niezmordowanie. Cięła je śmiga, zdawało się, że aż do krwi, i odwalala jego skiby na boki jak pług odwala ziemię. Major Boniecki, lotnik wprawny i doświadczony, mógł uważać ten lot za igraszkę, chociaż wiatr, coraz silniejszy, chłodem smagał mu twarz. Ignas, baczny i aż drżący z uwagi, nie zważał nawet na przykry chłód, który mu mniej dokuczał niż siedzącemu na przedzie lotnikowi. Rozpierała go radość, że chociaż nie jest jeszcze ukończonym mechanikiem, uznany został za godnego do zastąpienia znakomitego Wójcika. Musiał major długo gadać, aby się na to zgodzono. Może by nie pozwolono na ten lot z innym lotnikiem, ale major, wielka powaga, musiał zapewne wziąć na siebie całą odpowiedzialność. I sprawa musiała być bardzo ważna, jeżeli jej nie odwleczono. Cóż go to zresztą obchodzi, dlaczego się tak stało? Dość, że się stało i leci. Czas jest psi, ale lot tym bardziej zajmujący. Wciąż ich zrywa i spycha, wciąż trzeba pchać się uporczywiej. A Raczek ani marzy o tym, że za godzinę Ignas będzie już na warszawskim lotnisku. Już nie za godzinę, lecz za pół godziny. I już nie za pół godziny, lecz za piętnaście minut. Tam daleko, daleko widać już miasto, co legło nad rzeką jak rozłożysty potwór, co się rozkraczył nad nią i chłepce wodę.

Och, jak szarpnęło!...

Ignas skupił całą uwagę i cały się naprężył.

Nagle drgnął. Nie widział, jak wiatr podstępny ruchem zdarł lotnikowi okulary i jak w tej chwili prysnęła gorąca oliwa, a lotnik z sykiem i jękiem zasłonił ręką oko — poczuł tylko jakieś niezrozumiałe wahanie się maszyny. Coś się stało... O Jezus Maria! Major Boniecki daje mu rozpaczliwe znaki. Ignas widzi bladą twarz i jedno oko lotnika napełnione jak gdyby krzykiem przerażenia, bo drugie zasłonił ręką. Major coś krzyczy. Wiatr porywa słowa i rzuca je jak potargane strzępy. Ale Ignas już rozumie. Lotnikowi wydarzyło się nieszczęście: jest bliski omdlenia z bólu, a ostatkiem sił, bohatersko trzyma maszynę i jeszcze ją prowadzi. Serce zamarło

w zalękłym chłopcu, ale błyskawicznie pojmuje, że musi się opanować, nie dać się przemóc przerażeniu... Ratunku, Boże Miłosierny!... Maszyna zdradza straszliwy niepokój... Lotnik jest bliski wyczerpania... Ignas krzyczy, chociaż sam nie rozumie swoich słów... Dusza w nim się spręży i waży się na rzecz wielką: ze śmiertelnym spokojem kładzie ręce na stery.

Lotnik poczuł swoim szóstym zmysłem powietrznej istoty, że chłopiec wyrównuje maszynę. Głowę przechylił w tył i obie ręce położywszy na oczach cierpi w półomdleniu.

Ignas, czujny jak uczeń podczas wielkiego egzaminu, przypomina sobie całą naukę swoich świetnych nauczycieli. Każde słowo Sołeckiego brzmi mu w uszach jak rozkaz. Walczy z wiatrem uparcie i roztropnie, zresztą wiatr przycicha i zrywa się nieprzypadkiem coraz rzadziej. Jakoś jednak lecą... Miasto ukazało się nagle jak kamienna, rozłożysta wyspa na zielonym morzu. Lotnisko jest w jego południowej stronie. Już je widać, jak się płaszczy w obramieniu kamiennych domów. W tej chwili uciszone serce chłopca zaczyna dygotać. Czuje, że na skroniach ma wielkie krople zimnego potu. On wie, że samo latanie nie jest trudne, lecz z lądowaniem to inna sprawa. Dla takiego lotnika jak on może to być sprawa śmiertelna. Mimo woli spojrzął na majora, który musi cierpieć bardzo, bo głowę wgniół w ramiona, lecz mimo piekielnego bólu usiłuje znowu położyć ręce na sterach: większa niż ból jest jego przerażona zgryzota, że chłopiec nie podoła lądowaniu, ale ręce jego błędzą jakby po omacku; więc jedną z nich daje znak Ignasiowi, zrezygnowany znak. Niech się stanie, co się ma stać. W imię Boga Wielkiego, co czyni cudy...

Ignas widzi lotnisko i wie, że przed lądowaniem musi je okrążyć.

Każdy nerw w nim dygoce. Oczy zmieniły mu się we dwa połyskliwe płomienie. Powtarza sobie głośno, z trudem dobywając słów, przepis lądowania. Ileż razy go słyszał, ileż razy przyglądał się lądowaniu.

“Podejść pod wiatr!...”

Tak. To pierwsze. Czyni to z wysiłkiem.

“Wyłączyć motor!...”

Nie. Nie ma odwagi. Jeszcze raz okrąży lotnisko, jak zrozwadzony ptak, który ma pod sobą tylko morze. Nie wie, że na lotnisku obserwują ten lot najpierw z ciekawością, potem ze zdumieniem, wreszcie z lękiem. Nie rozumieją, co się dzieje? Przecież to leci Boniecki, arcy pilot. Czemuż tak krąży, czego się obawia? Głos maszyny jest równy, na oko wszystko jest w porządku. Lotnisko puste... Co się tam dzieje? Już się obniżył i znowu, jakby z głosem rozpaczy, wzniósł się, i znowu krąży.

“Wyłączyć motor...” — powtarza Ignasz. Potem pilot “pikuje”... Potem “wytraca” szybkość... Ze dwa metry nad ziemią... Potem takie śmieszne słówko z lotniczej gwary: “cyk” i “siedzi”...

Podszedł znowu pod wiatr. Nagle szepnął:

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...

Wyłączył motor. Cisza zadzwoniła mu w uszach, a ogarnął go szum. Na pół przytomnie wykonuje przykazania lotnicze. Nagle czyni mu się czarno przed oczami: drewniane cielsko hangaru jest tuż przed nim. Słyszy rozpaczliwe krzyki... Podrzuciło go parę razy... O Boże!

Spokój. Cisza... “Cykl” — “Siedzi!” — trzy metry od śmierci, która pod ścianą hangaru wyciągnęła po niego rękę.

Wiele było na lotnisku rwetesu i zdumienia; wiele było poza lotniskiem awantur, stawiania do raportu, groźnych krzyków i cierpkich wymówek, lecz — że to był okres wśród lotników radosny — ukoily się wzburzone wody, a pozostała jedynie na nich mała wysepka, na której sterczał przelękły Ignasz, wystawiony na wszystkie spojrzenia. Oglądano go jak dziwo. Sierżant Szczęsny uściskał go, a mechanik Wroński zarżał takim śmiechem radości, jakiego nigdy jeszcze nie słyszano na lotnisku. Major Boniecki z bandażem na jednym oku, cały ładunek zapału i entuzjazmu zebrał w drugim, jak w naboju, który wystrzelił płomieniem, i mówił swoim przełożonym:

— To jest fenomen! Mnie ocalił i ocalił maszynę. Jeden na sto tysięcy zdobyłby się na to i nie umarłby z lęku! Wójcik, z którym miałem lecieć, nie dokazałby tego w żaden sposób! Panie pułkowniku, ten chłopiec jest już lotnikiem... To jest skrzydlata dusza... Uczyli go chyłkiem i cudownie nauczyli, dlatego właśnie, że on się na lotnisku urodził.

Rozkazem z dnia 9 września 1932 roku został Ignacy Olecki (lat osiemnaście, znaków szczególnych żadnych) przeznaczony do szkoły pilotów.

Tego samego dnia usłyszano ze zgrozą, jak Alojzy Raczek wykrzykiwał:

— Chyba się upił! Pierwszy raz w życiu... Urznię się, psiakość! Z samym Lepajłłą się urznię!

XIII

PIEŚŃ LOTNIKÓW

Gdy serce zacznie bić w motorze,
Gdzie wicher, co nas popędzi w locie?
Lecimy w górę przez przestworze,
Srebrzyste ptaki w słońca złocie.

A kiedy burza ponad nami
Jak z ciężkich dział wyrzuci gromy,
My zasłonimy was skrzydłami
I ocalimy wasze domy.

My chcemy ludzkie dźwignąć plemię
Ponad najwyższe szczyty świata,
Gdzie, okiem słońca patrząc w ziemię,
Bóg jak niezmierny orzeł lata.

XIV

W niewiele dni potem znowu huczące wystrzeliło działo. Potężny huk nowiny rozniósł się po całej polskiej ziemi: “Nieszczęście! Nieszczęście!” Rozpacz pukała do serc ludzkich jak do czerwonych okienek płacząc w głos: “Nieszczęście! Nieszczęście!” Drzewa płakały rozgłośnie, morze zwelniło się, wśród wielkiego szlochu. rzuciło się w objęcia piaszczystego brzegu. Ptaki ogłaszały straszną nowinę, a ludzie mówili głośno, bezładnie, wołając ku sobie z daleka:

— Jakże było inaczej niedawno, tak niedawno!...

Nikt nie chciał uwierzyć przeraźliwej wieści i zrozpaczonym ruchem ręki odpędzał ją od siebie, aby szczyła. Bo jakże to być może, aby oni zginęli, ci dwaj, na których przecie sama śmierć patrzyła z podziwem i kłaniała się im w pas, kiedy lecieli pod obłokami? Czy za wielkie szczęście, za tę radość promienistą, zerwaną na niebie i ofiarowaną swojemu narodowi, musieli zapłacić aż tak niezmierną cenę? O Boże, o wielki Boże! Niezbadane są Twoje wyroki...

Ucichli najpierw wszyscy w niemocnym osłupieniu, a potem w piersiach ludzkich zerwało się łkanie. Płakały matki, jak gdyby im burza śmiertelna pobiła dwóch synów najukochańszych. Płakali ojcowie ocierając rękawem łzy. Płakał poeta w swojej izdebce, płakał żołnierz w koszarach i szewc w zatęchłej suterenie. Szofer prowadził błędnie swój wóz, albo wiem łzy zasłoniły mgłą jego oczy. Płakały dzieci zrozumiawszy, że ten pan Żwirko, taki uśmiechnięty, już się nigdy nie uśmiechnie. Płakała wszelka nędza i biedota za dobrodziejami swoimi, którzy taki sprawili cud, że i rozpacz, i nędza, i głód raz jeden w życiu miały chwilę szczęśliwą. Filozof zasłonił ręką oczy rozmyślając o tępej, nierozumnej złości przypadku, prostaczek skamlał i cicho szlochał, że się taka straszliwa stała krzywda i jemu, i wszystkim, wszystkim. Kto zaś płakać nie mógł, bo nieszczęście większe było od łez, ten ręką uciskał serce przerażone i spoglądał błędnie oczami, w których śmiertelne było zdumienie. A inny, co nawet oczywistości uwierzyć nie chciał, spoglądał wciąż na niebo i krzykiem serca wołał nadziei: a może to nieprawda, może to pomyłka, może to przywidzenie? Może nagle, na niebieskiej ścianie nieba, zamajaczy się aeroplan triumfalny, radośnie się oznajmiający? Bo jakże burza mogła powalić tych, co oddychali burzą? Jezus Maria! Jezus Maria!... Czyż ich niewolnik, wicher, zbuntował się dziko i śmiał podnieść na nich rękę? Czyż siła nierozumna wpadła w szal na widok duchów skrzydlatych i Kaliban zabił Ariela²⁶.

²⁶ Kaliban i Ariel — postaci dramatu szekspirowskiego pt. “Burza”.

Zimna jakaś ręka chwyciła serce Raczka i ścisnęła je tak, że siwy człowiek krzyknął. Świat zawirował w jego oczach, a jasne, pogodne niebo poczerniało i padło jak ciężki, miękki kir na struchlałą ziemię. Był na szczycie szklanej góry radości, a nagle stoczył się w przepaść, na której dnie czerniła się smętna, głęboka woda rozpacz. Spojrzał błędnie na Ignasia i wyciągnął ku niemu obie ręce, jakby błagając o ratunek. Chłopiec siedział nieruchomo, jak gdyby martwy. Twarz miał białą, a usta zacisnął aż do krwi, aby nie krzyknąć i nie płakać w głos. Pan Raczek szloch, człowiek poczciwy i serdecznie dobry, a on chyba w kamień powinien się zamienić z niezmiernego bólu, bo on więcej stracił. Żwirko to był jego brat starszy, lotnik najcudowniejszy, jego świetlany bohater; na dźwięk jego imienia drżało w nim serce z wielkiego szczęścia, że i on jest ze skrzydlatej gromady. Widział go na własne oczy przed dwoma dniami i patrzył w niego jak w słońce, a on, radosnym krążąc spojrzeniem, zatrzymał je na moment jeden na chłopięcej twarzy. Wtedy chciał krzyknąć i z trudem jedynie zdławił krzyk młody i szczęśliwy. Uczeń popędliwy chciał chwycić rękę mistrza i położyć ją sobie na jedno chociaż mgnienie na piersi, w tym miejscu, gdzie łoपोce serce, aby przysiąc temu bohaterowi, że nigdy nie zdradzi skrzydeł, nigdy się nie zawaha, nigdy się nie cofnie. Przysiągł mu w milczeniu, a Żwirko, jakby z jego wyczytał oczów, zgasił uśmiech i słuchał tej przysięgi z powagą. Potem zsalutował i poszedł. A miłość, wielka miłość wszystkich spojrzeń, szła za nim.

Ignas widzi go wyraźnie i widzi Wigurę, co wciąż dotyka ręką czoła, jakby za ścianą tego czoła odbywała się wieczysta praca, pełna męki, niestrudzona, nieustająca. Skończyła się jedna, która zachwyciła świat, niech się zacznie następna, bo nie można spocząć ani na chwilę w drodze ku słońcu. Nie ma czasu, nie ma czasu... Trzeba myśleć, trzeba choćby rozkrwawić myśli, aby nas kto nie ubiegł... Spogląda niecierpliwie, jak gdyby radość huczna i rozśpiewana przeszkadzała mu w ciężkiej pracy, a on spieszy się do pracowni...

Chłopiec siedział skamieniały, nieruchomy, zapatrzony w swoje widzenie. Raczek usiadł przy stole i biedną głowę oparł na rękach, bo mu ciążyła niezmiernie. Zapomnieli o posiłku, nie spostrzegali, jak czas mija. Dzień zagasnął i chłodny, wrześnieowy mrok opadł na ziemię pełną zgryzoty.

Ktoś wszedł cicho i położył rękę na głowie Ignasia. On spojrzał smutno i ujrzał bladą, jakby nagle postarzałą twarz majora Latysza, a czując, że go lotnik nie przestaje gładzić po głowie, rozserdecznił się i rozrzewnił. Chłopięca dusza nie mogła już dłużej utrzymać szlochu w zmartwiałych piersiach, więc nagle wybuchnął płaczem.

Raczek odwrócił głowę, zaniepokojony, a spostrzegłszy lotnika, powstał z trudem.

— Cicho, cicho, chłopcze — mówił Latysz miękkiem, dobrym głosem. — Nie trzeba płakać...

Usiedli razem w mroku, zmęczonym, otępiałym i sennym.

Słysząc było ciche, gasnące płkanie chłopca. Drzewa za oknami szumiały porywistym szumem, z lęku przed nocą. Po długiej chwili Raczek rzekł znużonym głosem:

— Dobrze, że pan przyszedł, drogi majorze... Dobrze, że pan przyszedł... Straszny dzień...

Nagle, jakby się obudził z senności, zaczął mówić głosem zdyszany i podnieconym:

— Za wiele jest śmierci! Dlaczego was tyłu ginie? I ten chłopak będzie lotnikiem, więc pomyślałem sobie, że i on jest skazany. Na Boga! Niech mnie pan pocieszy, niech pan coś powie...

— Drogi panie — mówił lotnik łagodnie, jak gdyby chciał zmartwionemu dziecku wyjaśnić sprawę prostą i zwyczajną — ból mówi przez pana i dlatego nie myślał pan o tym, że śmierć jest ostatnią istotą godną uwagi lotnika. Gdyby zaczął rozmyślać o tym, że może ją spotkać na swojej drodze, złym byłby lotnikiem. Wzniosłość jego zawodu na tym polega, że go śmierć nie straszy. I nie tylko lotnika ona nie straszy... W człowieku, może w każdym człowieku tkwi ziarnko bohaterstwa, które czasem wyrasta w drzewo. Bez tego człowiek do dziś mieszkałby w ciemnej grocie, padałby na twarz na głos piorunu i wyłby z trwogi na widok ognia. Gdyby wciąż myślał o śmierci, nie zbudowałby świata, nie stworzyłby kultury, nie odkrywałby nowych ziem i nie walczyłby z ciemnością. Usiadłby drżący i czekałby na tę śmierć. Lotnik zdobywa nowe światy, ujarzma żywioł wśród najcięższej walki. Cóż więc dziwnego, że w tej walce pada czasem zwyciężony? Natychmiast jednak jego miejsce zajmuje inny. Nowy bohaterski człowiek, żądny walki, żądny górnych zdobyczy — nie dla siebie, lecz dla wszystkich...

— Ale za wiele ich ginie, za wiele!

— Oczywiście, ale to są pionierzy! To są pierwsi zdobywcy, którzy torują drogi, a ich śmierć uczy innych i ci następni będą już umieli umknąć zagłady. W pierwszym natarciu i w pierwszym szeregu ginie najwięcej żołnierzy, ale ich śmierć nie odstraszy następnych, którzy zwyciężą. A resztą: czy tylko lotnicy giną? Padają pokotem ci wszyscy, co idą na przedzie i toczą walkę z żywiołem czy z przyrodą, czy z zabójczą klęską. O straconych w śmierć lotnikach słyszy się, bo wypadki te są głośne, ale, drogi panie, czy pan pomyślał o tym, ilu zginęło żeglarzy, co

szukali nowych światów, ilu poległo bohaterów w puszczech i śniegach, ilu nie powróciło nigdy z wypraw w nieznane? A czy pan policzył tych, których śmierć dopadła, kiedy szukali mikrobów strasznych chorób, bohaterskich uczonych, którzy zaszczepiali sobie zarazę, aby zbadać jej podstępne działanie, którym odpadły ręce zjedzone przez tajemniczą siłę radu, którym żrące kwasy wypalają oczy? Czy policzył kto nieskończony szereg lekarzy, tych, co bez namysłu i wahania dotykają trędownych i zadżumionych, i tych, co zginęli zaraziwszy się śmiertelną chorobą? Żaden z nich ani przez moment jeden nie pomyślał o tym, że idzie po własną śmierć, lecz szedł szybko, ochotnie, na pierwsze wezwanie. I nie tylko ci wszyscy są bohaterami. Są nimi i ci cisi, biedni i nieznani, co się wgryzają w ziemię, aby z niej dla nas wydobyć węgiel z czeluści, gdzie ich często śmierć chwyta, całe zabijając gromady. I ci, których zatruwa siarka i ołów, i wyziewy. I robotnik, co żywcem płonie przy straszliwym hutniczym piecu, jest bohaterem...

— Tak, tak, to prawda... — rzekł Raczek.

— Gdyby w człowieku nie było tej iskry bożej, co się w nim rozpała płomieniem, tego bohaterstwa, co go pędzi naprzód, wciąż naprzód, choćby poprzez śmierć — świat zginąłby w mroku i w ohydzie. Ci ludzie — opętani miłością ludzkości, upojeni wielkim pragnieniem, aby ją “dźwignąć i uszczęśliwić” — są motorem poruszającym świat. A lotnik pragnie być jednym z nich. Nie dla sportu, nie dla sensacji leci on samotny przez ocean, goniąc własną śmierć. O, nie! Ten lotnik chce zbliżyć do siebie lądy, zbliżyć ludzi, aby wymienili między sobą myśli i serca i aby w bohaterskim porywie podali sobie ręce i związali się wielką miłością. Śmierć jest drobną zapłatą za zysk tak niezmierny! Tak, panie Alojzy! Śmierć nikogo nie odstraszy. Ale po walce nieustępliwej może kiedyś zwyciężona zostanie śmierć. Bohaterstwo duszy ludzkiej nie zna granic i nie zna kresu poświęcenia. Prometeusz²⁷ nie ulęknie się męczarni.

Umilkł i wpatrywał się w szare światelko sączące się przez szyby.

Ignas słuchał uważnie i chował każde z tych słów w zakamarku duszy, aby się później przyjrzeć im raz jeszcze. Raczek westchnął ciężko.

— Serce we mnie zamarło — mówił cicho lotnik — kiedy wieść o ich śmierci padła dzisiaj na mnie jak grom. Od tego ‘jest serce, aby bolało. Zginęli dwaj bohaterowie. Ale dlatego właśnie, że to byli bohaterowie, pomyślałem sobie, że ta wielka śmierć na wicherze i na szczytach drzew nie

²⁷ P r o m e t e u s z — wg podań starożytnych potomek Tytanów, który wykradł niebu ogień na użytek człowieka; za karę przykuty przez Zeusa do skały i skazany na straszliwe męki. Prometeusz jest symbolem zmagania w obronie najwyższych ideałów ludzkości.

może być ani końcem, ani kresem, ani jakimś słowem ostatnim. Pocieszmy się, najdrożsi moi, wielką pociechą: śmierć przecie nigdy nie jest końcem. Duch przecie nie umiera. Jest światło, co nigdy nie gaśnie... Jest słowo, które brzmieć będzie do końca świata. Dlatego grób nie jest zwyczajnym kopcem smętku, lecz jedynie głazem granicznym na krawędzi zimy i wiosny. Grób tych dwóch, co się nawet w śmierci ramionami spleli, jest dumnym, wspaniałym, niezmierną chwałą opromienionym znakiem, od którego nowy zaczyna się start. Na tym grobie nie kwiaty rosną, lecz bohaterstwo. Nie smutek się nad nimi unosi, lecz wspaniała, wzniosła, promienista dumal Krzyż na nim nie jest znakiem cierpienia, lecz symbolem miłości, szukającej drogi do słońca. Łez ani szlochań nie należy rzucać na ten najdroższy grób... Tym, co wzniecili w narodzie radość miłości, należy się przede wszystkim radosna miłość. A po to się na naszych lotniczych grobach stawia śmigła, aby oznajmić wszystkim, że ten w ziemi jest żywy i odpoczywa tylko, że lot takich jak on skrzydlatych ludzi nigdy się nie skończy... I dlatego, choć serce we mnie zaskowyczało, nie mam na oczach łez... Bohaterom takim jak oni rzućmy na grób miłość największą, najgłębszą... W wielkim milczeniu... Nie potrzeba słów... Chyba słów przysięgi, że śmierć ich, wielka śmierć, będzie nowym wołaniem nowym hasłem na dalsze zmagania... Aby się uradowali w grobie... O, gdyby można na ten grób przynieść im wieść radosną i rzec cicho: "Najdrożsi! Zwyciężyliśmy... Zwyciężyliśmy tak jak wy, za waszym przykładem!" O mój Boże, o mój Boże!

Ostatnie słowa lotnika drżały od wielkiego wzruszenia. Raczkowi wydawało się, że w mrocznej izbie uczyniło się jasno, kiedy Latysz mówił — jak gdyby wprost do tych dwóch śpiących pod strażą dwóch śmigieł. I rzekł nagle:

— Pomódlmy się!

Trzech ludzi: jeden starzec, jeden żołnierz i chłopak jeden przyklękli, a siwy człowiek modlił się głosem osiwiiałym, drżącym i nabrzmiałym od tajonych łez:

“Daj im, Panie Boże, radość wiekuistą... Utul ich, bo znużyli się bardzo... Daj im skrzydła wspaniałe, bo nie będzie dla nich bez skrzydeł radości... Zwołaj ich wszystkich i uczyn z nich zastęp wspaniały, z bohaterów złożony”...

Ignas zatkał cicho.

— I Zych Płodowski jest u Ciebie, Panie Boże, i Szałas porucznik, i Idzikowski²⁸, co ponad wodami leciał, i Scheur Antoś, chłopak jedyny, i wielu, wielu, och, jak wielu!... I ci dwaj najukochańsi, co przylecieli dzisiaj na burzy... Daj nie spokój wiekuisty, lecz wiekuistą radość... Niech latają na wichrach niebieskich... Na skrzydłach tęczowych... Pomiędzy chmurami... Spraw to, Boże jedyny, aby...

Złamał się głos pana Raczka i już nie mógł mówić.

Ignaś uczynił znak krzyża, a lotnik zakrył twarz ręką i coś szeptał bezgłośnie. Zdawało się, że drzewa, targane wiatrem, dlatego tylko ucichły w tej chwili, aby nie mącić zgiełkliwym szumem tych serdecznych słów i szeptów, i aby je Bóg mógł usłyszeć.

Nazajutrz Ignaś musiał odjechać i Raczek został sam. Pełne blasku jego oczy przygasty, on zaś tak wyglądał, jak gdyby przebył ciężką chorobę, która się cieniem jeszcze za nim włości. Zaniepokojony Lepajłło przemyślał nad tym, w jaki sposób pobudzić dawną, bujną i awanturniczą werwę swojego przyjaciela. Umyślił przeto, że należy wyzwać jego kogucią i czupurną gotowość do boju. W tym celu szukał z nim zaczepki i napadał na jego ulubione tematy, Raczek jednak nie podnosił rękawicy. Nie zdołała go wyprowadzić na dawne pobojowisko nawet kalumnia rzucona przez Lepajłłę na astronomię. Bezwstydnie twierdzenie Lepajłły, że Kopernik popełnił największy w dziejach błąd, gdyż ziemia wcale się nie obraca, lecz tkwi jak zardzewiały gwóźdź we wszechświecie, wywołało jedynie uśmiech na wynędzniałej twarzy astronoma. Zbyt zawieszisty był to robak na haczyku, na który chciano go schwytać.

Raczek nie mógł po prostu, po wielkim wstrząśnieniu, odzyskać swojej greckiej pogody. Wprawdzie wiele mu wyjaśnił roztropny major Latysz — owszem: Raczek wie o tym doskonale, że nie ma zwycięstwa bez ofiary i że trzeba czasem własne serce rzucić na stos płonący, aby podsyć ogień, bez którego zginie świat — lecz kiedy sęp śmierci jawi się nagle i niespodzianie, kiedy grom uderza, nie z burzy wychynawszy, lecz z pogodnego nieba, wtedy oszołomienie i zdumienie nieszczęsnego człowieka jest tak niezmierne, że nie może pojąć w pierwszej chwili wzniosłości bólu i tragicznej konieczności. Pojmie to kiedyś później, kiedy ból przeminie i łyzy obeschną, że się jakaś wielka dokonała ofiara, aby śmiercią zaświadczyć, że boski jest rodowód duszy, nieustannie na wicherze lecącej przez śmierć do nieśmiertelności. Wtedy dopiero powie

²⁸ Idzikowski Ludwik (1891—1929) — major-pilot. W latach 1928-29 podejmował dwukrotnie próby lotów transatlantyckich. Podczas drugiego lotu zginął wraz z maszyną w płomieniach w chwili przymusowego lądowania.

sobie cichutko, że “i ten szczęśliwy, co padł wśród zawodu, jeśli poległym ciałem dał innym szczebel do sławy grodu”. I wtedy dopiero pochylił głowę przed wielką tajemnicą, co się żywi cierpieniem, aby się kiedyś stać słońcem.

Siwy człowiek z sercem gołęmbim długo płakał, zanim zdołał to serce uciszyć; w tej zaś powrotnej drodze do ukojenia jak gdyby spoważniał i przedziwnej nauczył się mądrości. Zgasł w jego oczach naiwny i łatwy niebieski uśmiech starego dziecka; teraz, uśmiechając się, przypominał swoim uśmiechem łaskawą pogodę jesiennego dnia: dzień jesienny ma w oczach mądrość doświadczeń, spokój ukojonej namiętności, słodycz odpoczynku po czasach burz, zgiełkliwych i huczących piorunami. I ma w nich pełne godności oczekiwanie schyłku i śmiertelnego snu. Nie trwoży się wieścią o zimie. Oczekuje jej spokojnie. Dzień jesienny jest pogodnym mędrcom i wszystko rozumie. Jesienny człowiek, Raczek, rozumiał, że już jest zmęczony bardzo. Młodość jego trwała zbyt długo, prawie do niedawna: wszak był starym, siwym dzieckiem, z sercem czystym i niezepsutym, wpadającym w zachwyty rozgłośny na widok kwiatka. Pan Lepajłło słusznie się dziwił, że taka istota, jak Raczek, mogła chodzić po świecie, cudem jakimś uniknąć zagłady. Tego tylko nie wiedział, że ten nieporadny, śmieszny Raczek, tak roztargniony, że czasem własnego nie zauważył głodu i własnej nędzy, dorósł nagle i przestał wreszcie być dzieckiem, kiedy ujrzał śmierć. Nigdy nie przejmował się cierpieniem własnym, ale tak przejął się cierpieniem ludzi ukochanych, że jego dziecinna dusza przez jedną noc osiwiła. Dobry, zacny Alojzy Raczek...

Głośny do niedawna, jest teraz bardzo cichy. Słynny awanturnik przypomina teraz “rycerza smętnego oblicza”, przedziwnego hidalga Don Kichota²⁹, pobitego i leżącego bez ruchu we własnym smutku. Pracownik niezmordowany spełnia dalej swoje obowiązki, ale już nie wykrzykuje na widok cyfr astronomicznych swego hasła “Hol ho! To rozumiem!” Teraz już więcej rozumie towarzysz wyborny, uczestnik przyjacielskich zebrań, na których świetnymi swoimi pomysłami zdumiewał i o szął radości wszystkich przyprawiać, już nie chce zatrzymywać kuli ziemskiej, aby Amerykę pogrążyć w mroku i postawić ją w kącie wszechświata. Woli być samotny. Bardzo rzadko wychodzi ze swojej izdebki. Zdaje się, że i sił nie ma na to. Odżywia się

²⁹ H i d a l g o — szlachcic hiszpański; Don Kichot — bohater tytułowy arcydzieła Cervantesa, powieści satyrycznej z r. 1605 o ostatnim błędnym rycerzu Don Kichocie. W osobie swego bohatera Cervantes sparodiował (ośmieszył) przeżytki romantyzmu rycerstwa średniowiecznego oraz awanturniczej literatury, pod wpływem której Don Kichot, spokojny szlachcic hiszpański, zostaje opanowany manią rycerskich przygód.

marnie, jest jakiś zabiedzony i schudł, jeśli to było możliwe. Czasem wieczorem, kiedy niebo jest czyste, Raczek patrzy przez okienko i błądzi wzrokiem wśród gwiazd. Nikt nie wie, o czym myśli, widać tylko, że się do nich uśmiecha. Noce ma teraz wolne, gdyż wskutek głośnych i burzliwych starań Lepajłły Raczek pracuje we dnie, więc może gadać z gwiazdami albo pisać długie, śliczne listy do swojego najdroższego chłopca. Jeśli kto pragnie ujrzeć jasny uśmiech dobrego człowieka, niech tylko o nim wspomni. Uśmiech matki, najcudowniejszy uśmiech matki, który zjawia się w jej oczach na dźwięk imienia jej dziecka, nie miał w sobie nigdy tyle słodczy, ile jej było w spojrzeniu Raczka, kiedy kto wspomniał o Ignasiu. Zapadłą pierś Raczka nappełniła дума, jak wiatr nappełnia opadły w niemocy żagiel. Jego syn jest lotnikiem. Jego syn jest żołnierzem. Jego syn nie będzie samotny, kiedy on umrze. Ma przecież tysiące, tysiące braci, a wszyscy przybrani są w mundury, wszyscy mają serca miłujące.

Raduje się pan Raczek cichą, szczęśliwą, pogodną radością.

Strasznie tylko jakoś osłabnął. Lepajłło najpierw napadł na niego ze swoją furią i zwymyślał go grubymi słowami, ale spojrzawszy na tę twarz zabiedzoną i na oczy, z miłością w niego wpatrzone, zdławił swoje perkunowe pioruny i zaczął dobrotliwie:

— Panie Alojzy kochany! Co się z panem dzieje? Przecie pan z każdym dniem marnieje i niedługo nic z pana nie zostanie... Co pan dzisiaj jadł?

— Doskonale jadłem — bronił się Raczek.

— Do stu... wszystko jedno zresztą! Pewnie to, co dla pana spitrasili, stygnie na pańskim stole i kiśnie, bo pan Raczek, wielki filozof, gryzie na śniadanie własną duszę jak piernik? Co pan wyprawia?

— Przyznam się, że nie mam apetytu...

— Musi go pan mieć! Ignasia nie ma, więc nie ma nikogo, co by na pana uważał, i pan się rozpuścił jak dziadowski bicz. Oj, stary, stary! Ale tak dłużej trwać nie może! Rozumie pan, że nie może! Od jutra zabieram pana z pańskiego mieszkania i zamieszka pan u mnie,

— Jest pan najlepszym człowiekiem na świecie — rzekł Raczek żywo.

— Więc się pan przeniesie? — ucieszył się Lepajłło.

— Nie! — odrzekł Raczek ze spokojem. Lepajłło sięgnął zapalczywie po piorun, a ten mu mówił: — Ja się nigdy stamtąd nie wyprowadzę. Mój złoty, mój drogi, niech pan tak nie zgrzyta zębami, bo ja i tak tam zostanę. Co mi zostało, panie Michale? Trochę smutnej starości, a pan mi chce odebrać to, co tę starość jedynie jeszcze cieszy. Niech się pan nie śmieje, ale ja stamtąd widzę

lotnisko i widzę aeroplany, o, tak, przyjacielu dobry! To jest ostatnia moja pociecha. Czasem patrzę na aeroplan na niebie i serce moje raduje się. Mówię sobie: “A może to mój chłopak?” Ja już tak jak i on znam wszystkie aeroplany i umiem poznawać je po głosie... A oni, ci z lotniska, też mnie znają. Czasem do mnie któryś krzyknie: “A co tam z Ignasiem?” Często przyjdzie do mnie Wroński i ryczy ze śmiechu, kiedy mu czytam list mojego chłopca... Oni mnie może nawet kochają, czy ja wiem? Wiedzą przecie, że ja ich Kocham... Przecież to koledzy Ignasia... Cudowni chłopcy. Wiedział Ignasz, co robi, że do nich przysłał. Więc niech mnie pan tam zostawi... Błagam pana, drogi panie!

— Dobrze, już dobrze... — rzekł Lepajłło odwracając się szybko, bo nie chciał, aby wierny przyjaciel widział, że jego straszliwa srogość ma na oczach wzruszenie.

Coraz częściej go jednak odwiedzał i Latysza prosił, aby czynił to samo. Lotnik nie dał się prosić, lecz przybiegał, ile razy była jaka o Ignasiu wiadomość, a było ich coraz więcej. Latysz miał swoje ściśle wiadomości i mówił z radością:

— To będzie lotnik najpierwszej klasy! Nie macie pojęcia, jak ten dryblas szybko się uczy i jak doskonale się uczy. Pisał do mnie porucznik Sołecki, że się dusza raduje na jego widok. Lata jak stary! Przecie to rok dopiero, a on już jest praktyk.

— Panie Michale! — wołał Raczek. — Słuchaj pan! Słuchaj pani Niech pan to jeszcze raz powie, panie majorze! Ten Litwin patrzył w okno i nie słuchał!

Chociaż Litwin dobrze słyszał, ale też prosił o powtórzenie, a major byłby sto razy to uczynił widząc radość dobrego człowieka.

— Rwie się chłopak do latania, więc cóż dziwnego, że lata tak świetnie. On musi oblatać każdą maszynę, on musi być wszędzie, on musi latać, kiedy jest najgorszy do latania dzień! To ptak nie człowiek... Panie Alojzy! Może pan być dumny z takiego chłopca.

Pan Raczek nie był dumny. Był tylko nieludzko szczęśliwy. Przymykał oczy z zachwytem i wtedy widział wyraźnie pełną mądrej powagi twarz Ignasia, co oczy zamieniwszy we dwa ostre noże, czujny, baczny, skupiony, walczy z wichrem. Oto leci młodość polska, skrzydlata młodość! Oto leci duma i przyszłość, radość i męstwo! „Orły z drogi, sępy z drogi!” A kiedy wszystka młodość zerwie się do lotu, powietrze napełni się niezmiernym szumem i wielką pieśnią o potędze. Któż ją zatrzyma w pędzie, kto będzie śmiały zmierzyć się z nią na wysokościach?! Dajmy jej tylko skrzydła, dajmy jej skrzydła! Nie ma dość ciężkiej ofiary, aby je tylko móc przypiąć do młodych ramion, nie ma dość ciężkiego trudu, aby je zdobyć dla nich, bo aż drżą niecierpliwie i wyciągają

się ku niebiosom! Nędzarz, Alojzy Raczek, ostatni kęs chleba od ust sobie odjął, aby te skrzydła ofiarować swojemu chłopcu. Dlatego jest szczęśliwy. Dlatego przymknął oczy i uśmiecha się całą twarzą.

Uciszył swoją tęsknotę i chociaż już go nie widział dawno, nie upomina się o to. To trudno. Żołnierz to nie jest taki pan,

który może, kiedy zechce, przyjechać, aby go uściskać. Ważniejsze ma sprawy... Raczek zna dyscyplinę. Raczek wie wszystko, o czym ojciec lotnika wiedzieć powinien. Jest bardzo jakiś słaby, jest jakiś ociężały i z trudem oddycha, ale przecież nie będzie tym niepokoił Ignasia. Lepajłło bardzo dzisiaj wykrzykiwał i groził, ale Lepajłło zawsze krzyczy. Sprowadził doktora, co kręcił głową, kazał pić lekarstwo i stare wino. Wyprawiają z nim śmieszne awantury, a cóż to wielkiego, że Raczek dzisiaj prawie zemdlął?

— To wiosna temu winna — twierdził Raczek. — Nagła zmiana powietrza uderzyła mi do głowy.

Wiosna rozkwiciła się i rozśpiewała. W ogródku dobywały się z ziemi zielone czuby, jak gdyby wysłane na zwiady, czy już słońce rządzi światem i czy można rosnąć i kwitnąć bezpiecznie. Wiatr ciepły i łagodny cesał drzewa, aby wyglądały przystojnie, bo zbliżała się Wielkanoc. Ptaki śpiewały każdego poranka, a zaraz po nich zaczynały śpiewać aeroplany.

Raczek w wielkiej niemocy leżał w łóżku i nasłuchiwał. Wesolo śpiewają! Dzień jest cudowny, niebo jest jak kryształ. Ale dzień ten jest parodią tego dnia, co się jutro narodził Takiego dnia nie było jeszcze w długim żywocie Raczka, bo jutro — słuchajcie! słuchajcie! — przyleci Ignaś... Przecie to już prawie półtora roku minęło, a zaledwie raz go widział, podczas świąt... Jutro przyleci! Wiadomość jest wyraźna, jasna i prosta. Raczek pozna jego aeroplan, opisany jest bowiem szczegółowo, a Latysz obiecał, że przyjdzie o świcie, i Lepajłło obiecał, więc nie pomylą się we trzech. Zresztą on sam poznał Cóż to za wielka sztuka poznać maszynę, na której leci Ignaś? Gdyby był ślepy nawet, to też by ją poznał... Śmieszne rzeczy!... On, stary praktyk... Teraz dokładnie oblicza czas i sprawdza pilnie bystrym umysłem astronoma. Coś mu się z tym czasem mąci i wciąż jakoś inaczej wypada, ale to pochodzi ze wzruszenia. Nakazał sobie wprowadzić mądry spokój, ale to serce zupełnie oszalało. Około ósmej rano powinien Ignaś zjawić się nad lotniskiem... Wszyscy zostali zawiadomieni i zwołani dziennym rozkazem, a ten szybkooci Michałek zapewne oka nie zmruży i przez noc całą będzie siedział na płocie, śmieszny chłopaki

Raczek uśmiechnął się. I on gdyby nie był taki bezradny i niemocny, też by usiadł na płocie i wypatrywałby oczy.

Noc miał bardzo niespokojną, wciąż bowiem zdawało mu się, że leniwie zaspał — sybaryta obrzydły! — a Ignas już leci, bo słyhać wyraźny rumor motoru, z samych twardych i złożony. Raczek zerwał się i nasłuchuje. Nie! To jeszcze głucha noc i nie aeroplan tak huczy. W głowie jego jest pełno szumów, a w sercu wielkie stukoty. Otarł zimny pot z czoła i znowu śpi niespokojnie.

Świt brylantami się iskrzył, a Raczek jeszcze spał, ciężko dysząc. Kiedy otworzył z trudem oczy, ujrzał ponad sobą bladą, zatroskaną twarz Lepajłły, a major Latysz siedział na krześle. Po co oni przyszli tak rano? O Boże jedyny! Zaraz przyleci Ignas!... Chciał się podnieść, ale nie mógł: głowa ciężko opadła na poduszki, jak gdyby biedna głowa Raczka zaciężyla mu nagle, wielkimi napelniona myślami i złotem mądrości. Przeląkł się i spojrzal na nich dobrymi, poczciwymi oczami.

— Jakoś mi trudno... — wyszeptał. — Czy Ignas... zaraz przyleci?...

— Niedługo — odrzekł głucho Lepajłło.

— Wstawać, wstawać... — rzekł Raczek z nagłą mocą.

Znowu uczynił wysiłek i dusza w nim zamarła ze zgrozy.

— Nie mogę — szepnął znowu bardzo cicho. — Słyhać... już go słyhać... Pomóźcie mi...

Lepajłło porozumiał się wzrokiem z majorem, który skinął głową. Owinęli biedaczynę troskliwie, potem go ujęli ostrożnie i podnieśli. Lepajłło ogarnął to chude, wymizerowane ciało i niósł je bez wysiłku jak bezbronne dziecko, cicho śpiące w ramionach. Zanieśli go do ogródka, w którym słońce pełło grędy roślinek. Byli tam wszyscy mieszkańcy domku. Lepajłło ze swoim lekkim ciężarem przysiadł na ławce i szeptał bezładnie:

— Zaraz przyleci... No i jakże tam?... Dzisiaj jest sobota... W sobotę miał przylecieć. Trzymaj się, drogi Alojzy...

“Ciężki wróg” tulił “straszliwego wroga” j, przymykał oczy, aby w nich schować łzy, których nie mógł otrzeć ręką.

Z daleka przybiegł głos, jakby brzęczenie muchy. Nikt go nie zauważył, tylko Raczek szepnął:

— Ignas... leci...

Głos nabrzmiwał i zaczął napelniać kryształową banię nieba. Huczał i rósł, i radował się.

— To on! — rzekł Latysz bystrze spojrzawszy.

Wszyscy zadarli głowy, a Raczek, leżąc w ramionach przyjaciela, utkwił spojrzenie w srebrnej maszynie, co parła przed siebie pyszniąc się tysiącem na sobie blasków. Wielki ptak leciał ze śpiewem zwycięstwa, dumny, silny i radosny.

Oni spojrzeli na Raczka i ujrzeli na jego twarzy nadludzkie szczęście. Było ono tak niezmiernie, że nie mogło się objawić inaczej, tylko łzami. W dobrych oczach, niebieskich jak niebo, ukazały się dwie łzy, wielkie i przezyste. Cichutkim szeptem Raczek mówił:

— Mój chłopiec... mój... skrzydlaty chłopiec...

Lepajłło czuł, że biedne ciało drży w jego ramionach.

W tej chwili aeroplan zmienił głos, jakby chciał zwrócić na siebie czyjąś uwagę, i zatoczył krąg, począł się zniżać. Uderzył w nich wielki terkot i huczne warczenie. Lotnik obniżył aeroplan tuż nad ogródkiem, że ujrzeli wyraźnie rękę, która ich pozdrowiła.

— Ignaś! Ignaś! — krzyknął Raczek przejmującym głosem, którym krzyknęła cała jego dusza.

Srebrny ptak cisnął się w powietrze i wspiąwszy się na nieznaczną wysokość zaczął okrążać lotnisko. — Jezus Maria! — krzyknął Lepajłło zdławionym głosem. Alojzy Raczek zasnął na wieki z nadludzkim szczęściem na twarzy. Uśmiechał się słodko i łagodnie. Dwie łzy jeszcze nie obeschły, ale już je suszyło słońce, myśląc, że to rosa.

Alojzy Raczek, nie mogąc się doczekać swojego chłopca, wyleciał do niego pod błękit i leciał teraz jak gołąb, tuż przy nim, śpiewając ze szczęścia, jak to było w jego zwyczaju.